

Po prostu miłość

Balogh Mary



calibre 0.9.27

PO PROSTU

MIŁOŚĆ

Podwójny szereg uczennic w schludnych granatowych strojach sunął przez Great Pulteney Street. Dziewczęta wyszły ze szkoły panny Martin, znajdującej się na skrzyżowaniu Daniel Street i Sutton Street, i zmierzały ku mostowi Pulteney oraz miastu po drugiej stronie rzeki. Towarzyszyła im jedna z nauczycielek, Susanna Osbourne.

Grupa liczyła jedynie dwanaście dziewczynek, bo inne - w asyście rodziców lub służby - wyjechały dzień wcześniej na wakacje. Pozostały tylko te, których edukację opłacała szkoła z pieniędzy wpłacanych przez inne pensjonariuszki i z datków anonimowego dobroczyńcy. Dobroczyńca ów kilka lat wcześniej uratował szkołę od niechybnego upadku. Tak hojnie wspomagał pannę Martin, że mogła zrealizować marzenia i uczyć zarówno dziewczęta niezamożne, jak i te lepiej sytuowane. Z czasem szkoła zyskała sobie opinię placówki dającej solidne wykształcenie młodym damom ze wszystkich klas społecznych. Dziewczęta, których naukę opłacano z datków dobroczyńcy, nie miały gdzie wyjechać i dlatego przynajmniej dwie nauczycielki musiały pozostać w szkole, żeby zapewnić im opiekę i rozrywkę aż do początku nowego roku szkolnego.

Tego lata w szkole pozostały trzy nauczycielki - panna Martin, Susanna Osbourne i Anne Jewell.

Claudia Martin i Anne szły nieco z boku - dwanaście posłusznych dziewczynek nie wymagało obecności wszystkich trzech wychowawczyń. Uczennice zachowywały się bardzo grzecznie, gdy już spędziły w szkole choćby tydzień czy dwa.

Był to pierwszy dzień wakacji. Dziewczęta szły do herbaciarni na mleczne bułeczki z rodzynekami, wspaniałą, wytęskniony coroczny poczęstunek, na który nie zapraszano uczennic z lepiej sytuowanych rodzin.

Claudia i Susanna miały towarzyszyć dziewczynkom w herbaciarni, Anne udawała się

gdzie indziej, lecz że cel jej wizyty leżał po drodze, szła razem z innymi. David, jej syn, maszerował pomiędzy dwiema dziewczynkami i gawędził z nimi wesoło, mimo że obie były od niego o parę lat starsze.

- Nie pojmuję, dlaczego wolisz wytworny salon pełen tytułowanych osób od zatłoczonej herbaciarni z mnóstwem hałaśliwych i rozchichotanych pensjonarek - zauważyła sarkastycznie panna Martin.

- Przecież wiedziałaś, że zaproszono mnie tam właśnie dziś. - Anne roześmiała się z przymusem. - Mimo to nie chciałaś przełożyć tego podwieczorku na jutro. Nieładnie się zachowałaś, Claudio.

- Zachowałam się rozsądnie - odparła cierpko panna Martin. - Doprawdy, Anne, herbatka u lady Potford, która już wiele razy okazywała ci życzliwość, to co innego, ale herbatka z tą osobą...

Mianem „tej osoby” panna Martin określała markizę Hallmere, niegdyś Freyę Bedwyn, siostrę księcia Bewcastle. Claudia była niegdyś guwernantką Freyi. Dziewczynka zmusiła do porzucenia posady kilka innych wychowawczyń. Panna Martin także odeszła, ale nie dlatego, że przestraszyła ją wychowanka. Powodem była raczej urażona duma. Opuściła posadę z dnia na dzień, zabierając ze sobą wszystko, co miała. Odmówiła też przyjęcia od księcia referencji, nie pozwoliła się nawet odwieźć. Po prostu utarła nosa całej książęcej rodzinie.

Anne została zaproszona na herbatkę do lady Potford w związku z wizytą jej wnuka, Joshuy Moore'a, markiza Hallmere, który złożył babce wizytę wraz z żoną i dziećmi.

- Zaproszono mnie tylko dzięki staraniom Joshuy - wyjaśniła. - Wiesz przecież, że zawsze był dobry dla mnie i Davida.

Owszem, również i wtedy, gdy wszyscy ją opuścili - przynajmniej tak się jej zdawało.

Pomagał jej finansowo przez kilka lat, kiedy mało brakowało, a znalazłaby się w nędzy.

Pociągnęło to za sobą przykre i całkiem fałszywe plotki, że jest ojcem Davida. Joshua był jednak dla niej dużo więcej niż tylko „dobrym człowiekiem”.

Susanna kazała dziewczętom śpiewać. Skwapliwie wypełniły polecenie, nie dbając o to, że wzbudzą wśród przechodniów zaskoczenie. Claudia, sztywna i wyprostowana jak struna, przyjęła to obojętnie.

- A gdybym choć przez chwilę podejrzewała - ciągnęła - kiedy cztery lata temu zgodziłaś się u mnie uczyć matematyki i geografii, że właśnie ta osoba poleciła ci moją szkołę, nie zatrudniłabym cię. Miała czelność odwiedzić mnie parę miesięcy wcześniej i wtykać nos w każdy kąt z tą swoją wojowniczą i pyszałkową miną! Śmiała mi wypominać dziurawy dywanik w saloniku gościnnym! I jeszcze pytała, czy czegoś nie potrzebuję! Co za zuchwalstwo! Rzecz jasna, pożegnałam ją czym prędzej.

Anne uśmiechnęła się dyskretnie. Słyszała już tę historię co najmniej tuzin razy.

Wszystkie nauczycielki wiedziały o nieprzejednanej niechęci Claudii do arystokratów, zwłaszcza tych, którzy mieli pecha nosić książęcy tytuł. A już do księcia Bewcastle i lady Hallmere w szczególności.

- Ona ma swoje zalety... - zaczęła Anne.

- Zalety! - parsknęła wściekle Claudia Martin. - Lepiej o nich nie wspominaj! Ale bynajmniej nie żałuję, że cię zatrudniłam, choć nie miałam wtedy pojęcia, co łączy Lydmere w Kornwalii, skąd przybyłaś, z markizem Hallmere, który przecież mieszkał gdzie indziej, aż w Penhallow, i z lady Freyą Bedwyn. Panno Osbourne!

Głos Claudii zagłuszył wszystko inne. Dziewczynki przestały śpiewać. Susanna kazała im się zatrzymać.

- Chyba już widać dom lady Potford. - Claudia wskazała najbliższy budynek. - Baw

się dobrze, Anne, choć nie wiem, czyja byłabym do tego zdolna na twoim miejscu.

David opuścił uczennice i dołączył do matki. Susanna pożegnała ją uśmiechem. Sznur dziewcząt ruszył dalej. Herbaciarnia leżała za opactwem, po drugiej stronie rzeki.

- Do widzenia, Davidzie! - zawołało głośno kilka z dziewczynek śmielej niż zwykle.

Udzielił im się radosny wakacyjny nastrój.

- Do zobaczenia, panno Jewell! Miłej wizyty! Przełożona przewróciła oczami.

- Och, te nieznośne smarkule!

Jak wspomniała panna Martin, Anne nie po raz pierwszy składała wizytę lady Potford.

Zjawiła się tam - nie bez obaw - cztery lata temu z listem polecającym, gdy tylko zaczęła uczyć w szkole, a potem bywała u niej jeszcze nieraz.

Dzisiejszy dzień był jednak szczególny. Gdy zastukała kołatką, w oczach synka zobaczyła błysk podniecenia. David uwielbiał Joshuę, mimo że nieczęsto mógł go widywać.

Ten zaś nieodmiennie traktował go z serdecznością. Chłopiec spotkał się z nim już cztery razy. Dwukrotnie Joshua zaprosił ich oboje na tydzień do Penhallow, swojej siedziby w Kornwalii. A gdy bawił przejazdem w Bath, zabrał go do swojej kariolki na przejażdżkę.

Chłopiec nigdy też nie zapominał, że Joshua przysyła mu prezenty na urodziny i święta.

Anne uśmiechnęła się do syna. Czekali, aż otworzą im drzwi. Jak on szybko rośnie, przemknęło jej przez myśl. Nie jest już małym dzieckiem.

Teraz jednak David zachował się właśnie jak małe dziecko. Widząc, że Joshua wychodzi im na spotkanie, podbiegł do niego. Zaniósł się radosnym śmiechem, kiedy krewny go uniósł i obrócił wkoło.

Anne ścisnęło w gardle na ten widok. Kochała syna całym sercem, ale nie mogła mu zapewnić ojcowskiej miłości.

- O, chłopcze! - Markiz postawił malca z powrotem na ziemi.

- Masz chyba kamienie w butach! Jesteś taki ciężki! A może po prostu wyrosłeś?

Czekaj, ile ty masz właściwie lat? Dwanaście?

- Nie! - pisnął wesoło David.

- No, nie mów mi, że trzynaście!

- Nie! Dziewięć!

- Tylko dziewięć? To niemożliwe! - Joshua zmierzwił chłopcu włosy, uśmiechając się jednocześnie do Anne.

- Miło mi cię widzieć - pozdrowiła go.

Joshua Moore był wysokim, postawnym mężczyzną, jasnowłosym, z przystojną, dobroduszną twarzą i błękitnymi pogodnymi oczami. Anne bardzo go lubiła, choć nigdy nie pozwoliła, żeby ta sympatia przerodziła się w coś więcej. Joshua zawsze traktował ją przyjaźnie. Wtedy gdy była guwernantką u jego ciotki i stryja, i wtedy gdy ją zwolniono. Ta przyjaźń była dla niej czymś o wiele bardziej wartościowym niż nieodwzajemniona miłość.

A prócz tego gdy go spotkała, kochała już innego. Była z nim nawet zaręczona.

- Witaj, Anne. - Joshua uściskał mocno jej dłonie. - Świetnie wyglądasz, widocznie klimat Bath ci służy.

- Istotnie. A jak się miewa lady Hallmere i dzieci?

- Freya jest w salonie, zobaczysz ją za chwilę, a Daniel i Emily - na piętrze, razem z nianią. Powinnaś do nich zajrzeć. Daniel przez ostatnią godzinę ciągle powtarzał, że nie może się doczekać Davida. Trzyletni malec nie jest wprawdzie dla ciebie odpowiednim towarzyszem zabaw - tu Joshua przeprasząco zerknął na chłopca - ale jeśli poświęcisz mu chwilkę, będzie najszczęśliwszym berbeciem na świecie.

- Bardzo bym chciał się z nim pobawić!

- Zuch chłopak! - Joshua znów zmierzwił mu czuprynę. - Ale najpierw przywitaj się

ze wszystkimi w salonie. Tylko bardzo małe dziecko pobiegłoby od razu do pokoju dzieciennego. Ty już chyba tak nie robisz, prawda?

- Nie! - przyznał David. Joshua podał ramię Anne i mrugnął do niej dyskretnie.

Lady Potford przyjęła ich życzliwie, a lady Hallmere wstała nawet z fotela, by odkłonić się Davidowi. Spojrzała uważnie na Anne.

- Dobrze pani wygląda, panno Jewell.

- Dziękuję za życzliwość, milady. - Anne dygnęła w odpowiedzi.

Markiza zawsze ją trochę onieśmiałała. Była niewysoka i miała nieco dziwne, ni to ostre, ni regularne rysy. Początkowo Anne jej nie lubiła. Freya była tak niepodobna do bezpośredniego, serdecznego Joshuy! Przekonała się jednak, że jej była wychowanka, Prudence Moore, kuzynka Joshuy, uwielbia Freyę. Ta zaś była dla dziewczynki wyjątkowo cierpliwa. Prue, choć nieco opóźniona w rozwoju, zawsze umiała trafnie wyczuć zalety charakteru. A potem, gdy Freya dowiedziała się, jak żalosne życie pędzi Anne - matka nieślubnego synka i niedoszła nauczycielka w małej rybackiej wiosce Lydmere - odwiedziła ją pewnego dnia i zaproponowała posadę w szkole panny Martin, którą wspomagała jako anonimowy dobroczyńca.

Gdyby Claudia dowiedziała się prawdy, dopiero byłby kłopot! Anne, rzecz jasna, zobowiązano do zachowania tego faktu w tajemnicy. Z czasem zaczęła szanować, lubić, a nawet podziwiać Freyę.

Przez kilka minut David znajdował się w centrum uwagi i odpowiadał na różne pytania. Wodził oczami za Joshua z prawdziwym uwielbieniem. Zanim pokojówka wniosła herbatę, odesłano go do pokoju dzieciennego, obiecując ciastka i lemoniadę.

- Przyjechaliśmy tu prosto z Lindsey Hall - opowiadał Joshua. - Z okazji chrzcin syna i dziedzica księcia urządzono tam wspaniałą uroczystość.

- Czy dziecko i księżna mają się już dobrze? - spytała uprzejmie Anne.

- Jak najbardziej. - Joshua uśmiechnął się promiennie. - Nowy markiz Lindsey okazał się godny miana Bedwynów. Wrzeszczy, ile ma sił w płucach, kiedy tylko czegoś chce.

- A teraz - dodała Freya - wybieramy się wszyscy do Walii na cały miesiąc. Bewcastle ma tam majątek. Ponieważ księżna koniecznie chciała mu towarzyszyć, postanowiliśmy pojechać tam razem z nimi.

- Wakacje nad morzem to miła perspektywa - przyznał pogodnie Joshua - mimo że przecież mieszkamy niedaleko, - w Kornwalii, Bedwynowie nieczęsto się gromadzą razem, ale nasze dzieci tak szalały z radości, że będą się miały z kim bawić i dokazywać! Wydało się nam okrucieństwem pozbawiać ich towarzystwa rówieśników na blisko miesiąc.

Jak miło należeć do dużej, zżytej z sobą, choć hałaśliwej rodziny, pomyślała. Jak szczęśliwe czują się tu dzieci.

- Zajęcia w szkole już się chyba skończyły, panno Jewell? - spytała lady Potford.

- Tak, większość dziewczynek rozjechała się do domów.

- A pani?

- Ktoś musi czuwać podczas wakacji nad uczennicami, które nie mają żadnych krewnych, milady.

Oczywiście nie musiały w tym celu pozostać w szkole wszystkie trzy. Tylko że żadna nie miała się gdzie podziać, dopóki ich przyjaciółka, Frances Marshall, hrabina Edgecombe, która wcześniej też tam uczyła, nie wróci z podróży po Europie. Tylko ona mogłaby zaprosić którąś z nich do Barclay Court w hrabstwie Somerset, jak już robiła wcześniej.

- Nadal nie odwiedzasz rodziny? - spytał Joshua.

- Nadal. Nie widziała nikogo z bliskich, odkąd urodził się David. Miała wówczas

dziewiętnaście lat, a jej siostra Sarah - siedemnaście. Matthew, ich brat, teraz pastor, liczył

sobie wtedy dwadzieścia jeden lat i wciąż jeszcze studiował w Oksfordzie. Henry Arnold też dopiero co przekroczył dwudziestkę. Była na jego urodzinach. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że nie przyjedzie na kolejne, gdy osiągnie już pełnoletność, i że go więcej nie zobaczy.

- Chcielibyśmy cię o coś prosić, Anne - zaczął Joshua.

- Tak?

- Coraz bardziej mnie martwi - tu Joshua westchnął - że David jest moim krewnym.

Moim kuzynem.

- Nie! - Anne zeszywniała. - To mój syn!

- I że należałby mu się mój tytuł - ciągnął Joshua - a także wszystko, co się z nim wiąże, gdyby Albert cię poślubił.

Anne zerwała się na nogi tak gwałtownie, że wylała herbatę na spodek.

- On jest mój!

- Ależ oczywiście. - Lady Hallmere powiedziała to wyniosłym i nieco znudzonym tonem, choć w istocie patrzyła na nią badawczo. - Po prostu Joshua pomyślał, że David mógłby spędzić lato w towarzystwie innych dzieci. Nawet jeśli większość z nich będzie dużo młodsza od niego. Przyjedzie tam także Davy przybrany syn Aidana i Eve, który ma już jedenaście lat. Obydwaj noszą to samo imię, ale chyba nikt ich nie będzie mylił, mimo że mogliby się wykręcać od niewygodnych poleceń, mówiąc, że chodzi o drugiego. Przyjedzie też bratanek księżnej, Alexander. Razem byłoby ich dziesięcioro.

- Bardzo chcielibyśmy zabrać tam Davida - powtórzył Joshua. - Co ty na to?

Anne przygryzła wargę i siadła z powrotem przy stole.

- Zawsze mnie martwiło, że rośnie wyłącznie w otoczeniu uczennic i nauczycielek, bo jedynymi mężczyznami w szkole są nauczyciel tańca i rysunków. Wprawdzie wszyscy go

lubią i rozpieszczają, ale nie ma tam żadnych kolegów.

- Rozumiem cię - odparł Joshua. - Mam zresztą zamiar posłać go do szkoły, gdy podrośnie, oczywiście za twoją zgodą. Daniel i Emily są co prawda dużo młodszy, ale zawsze to rodzina, mimo że nieco dalsza, a wszystkie inne dzieci Bedwynów są z nim spokrewnione. Nie chciałbym nalegać, wiem, jak ci go będzie brakowało, ale chyba pozwolisz mi w końcu pojechać z nami?

Anne poczuła, że ogarnia ją panika. Jeszcze nigdy jej rozłąka z synem nie trwała dłużej niż kilka godzin. David należał do niej bez reszty, choć wiedziała, że kiedyś się to zmieni. Pewnego dnia wyjedzie do szkoły. Ale czy musi się z nim żegnać już teraz? Na miesiąc albo na dłużej?

Czy powinna odmówić? Gdyby pytanie zadano samemu Davidowi nie wątpiła, jaka byłaby jego odpowiedź. Wystarczyło na niego spojrzeć.

Zdała sobie nagle sprawę, że drżą jej ręce. Po raz pierwszy poczuła niechęć do Joshuy, niemalże go znenawidziła. Zwłaszcza za to, że położył taki nacisk na swoje pokrewieństwo z Davidem.

David nie był jego krewnym, tylko jej synem!

- Panno Jewell - wtrąciła markiza - uważam, że dziewięcioletni chłopiec jest za mały, żeby go rozdzielać z matką na cały miesiąc, chociaż mówię tak jedynie jako matka trzyipółletniego malca. Oczywiście pani również musi pojechać do Walii.

- Masz zupełną rację, Freyo - poparła ją lady Potford. - Czy pani obecność w szkole jest niezbędna?

- Nie, madame, panna Martin i panna Osbourne świetnie dadzą sobie radę.

- A więc załatwione - odparł wesoło Joshua. - Jedzicie obydwójce. Daniel bardzo się ucieszy!

- Ale czy mogę? - spytała z przestrachem, domyślając się, że postanowiono ją zaprosić dopiero w tej chwili. - Przecież to siedziba księcia Bewcastle.

- Ach, drobnostka. - Lady Hallmere prychnęła lekceważąco. - W końcu to dom Bedwynów, a ja jestem przecież jedną z nich. Zresztą rezydencja jest ogromna. Musi pani pojechać z nami.

Księżę Bewcastle, o czym Anne wiedziała, miał opinię jednego z najozięblejszych arystokratów w całej okolicy. Zresztą wszystkich Bedwynów uważano za pyszałków. A ona była tylko córką skromnego ziemianina. W dodatku nauczycielką i była guwernantką! A także matką nieślubnego dziecka. I nie miała męża! Jakżeby śmiała...

- Nie może pani odmówić - powiedziała władcym tonem lady Hallmere, zadzierając energicznie do góry swój raczej okazały nos. - Proszę spakować rzeczy zaraz po powrocie do szkoły.

Markiza twierdziła, że dom w Walii jest obszerny. Będzie w nim mnóstwo Bedwynów, z żonami i dziećmi. W takim razie łatwo jej będzie pozostać niezauważoną wśród liczego towarzystwa. Spędzi większość czasu, pomagając przy dzieciach. A David wykorzysta okazję i swobodnie pohasa po majątku położonym blisko morza. Co ważniejsze, będzie miał się z kim bawić. Mógłby się też wzorować na Joshui, dorosłym mężczyźnie.

Nie mogła temu zaprzeczyć i nie potrafiła sobie wyobrazić rozłąki.

- Dobrze. Przyjedziemy obydwój. Dziękuję bardzo.

- Wspaniale! - Joshua aż zatarł ręce z radości.

Gdy Anne wróciła do szkoły, nie wiedziała, czy postąpiła słusznie, lecz było już za późno. Joshua powiedział o wszystkim Davidowi i Danielowi, kiedy Anne witała się z jego młodszą córeczką w pokoju dzieciennym. David był tak uradowany i mówił tak głośno, że aż

przechodnie się za nim oglądali.

- Będziemy pływać łódką, kąpać się w morzu i wdrapywać na skały! I budować zamki z piasku, grać w krykieta, włązić na drzewa, bawić się w piratów! Davy też tam będzie. I jeszcze jeden chłopiec, który ma na imię Alexander. I dziewczynki. Pamiętam Becky, mamó! Tak się cieszę! lubię Daniela, on na mnie patrzy, jakbym był bohaterem! Czy to naprawdę mój kuzyn?

- Nie - odparła pospiesznie Anne. - Ale możesz być dla niego kimś w rodzaju bohatera, bo jesteś starszy. Masz już dziewięć lat.

- To będą wspaniałe wakacje! - dodał David, kiedy skręcili z Sutton Street w Daniel Street i zapukali do drzwi. - Mogę o tym opowiedzieć?

I zaczął od starego odźwiernego, który 'wydawał okrzyki zdziwienia dokładnie tam, gdzie było trzeba.

- Tak, to prawda - potwierdziła. - Jedziemy latem do Walii, panie Keeble.

David pędził już po schodach, żeby obwieścić Claudii wspaniałą nowinę.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała godzinę później Claudia. Dziewczęta wróciły już do szkoły i podzieliły się na grupki plotkujących przyjaciółek. Wszystkie po kolei żałowały, mijając ją na schodach, że nie towarzyszyła im w herbaciarni i że po olbrzymich bułeczkach z rodzynkami nie zjedzą nic innego aż do samego rana.

Pytanie Claudii miało, rzecz jasna, czysto retoryczny charakter, bo Anne oznajmiła jej właśnie, że zamierza pojechać. Susanna, siedząca razem z nimi w pokoju, nie wtrącała się do rozmowy. Rozparta w fotelu przy kominku, odpoczywała po długiej wędrówce wśród letniego upału. Wachlowała się słomkowym kapeluszem dopiero co zdjętym z głowy. Claudia wyglądała za to tak, jakby przez cały boży dzień nie wychodziła z domu - chłodna i schludna, z brązowymi włosami zebranymi w surowy węzeł z tyłu głowy.

- Jeśli zdołasz się beze mnie obejść przez miesiąc, to pojedę do Walii - powtórzyła

Anne. - Mówią, że to piękna kraina. Morskie powietrze dobrze zrobi Davidowi. Będzie też miał towarzystwo, zarówno chłopców, jak i dziewczynek.

- Wszystkie te dzieci są oczywiście Bedwynami? - Claudia wymówiła to nazwisko tak, jakby chodziło o wyjątkowo odrażające insekty. - A twoim gospodarzem będzie książę Bewcastle?

- Pewnie go nawet nie zobaczę. I nie wiem, czy spotkam się z wieloma Bedwynami.

Najwyraźniej przywiozą ze sobą mnóstwo dzieci. Pewnie będę je zabawiać.

- Bez wątpienia - odparła szorstko Claudia. - Jakby Bedwynowie nie mieli dosyć nianiek i guwernantek.

- Jedna więcej nie robi im różnicy. Nie wypada mi odmówić. Joshua zawsze był dla mnie bardzo dobry, a David za nim przepada.

- Żal mi go z całego serca. - Claudia przysunęła się z krzesłem do kominka, sadowiąc się po przeciwnej stronie niż Susanna. - Być mężem podobnej osoby to doprawdy wielkie wyzwanie.

- I mieć księcia Bewcastle za szwagra - rzuciła z rozbawieniem Susanna. Mrugnęła ukradkiem do Anne. - Co za szkoda, że się ożenił. W przeciwnym razie pojechałabym tam z tobą i zawróciła mu w głowie. Zawsze chciałam wyjść za księcia.

Claudia prychnęła gniewnie, lecz później się roześmiała.

- Z wami dwiema osiwieję pewnie przed czterdziestką.

- Zazdroszczę ci, Anne. - Susanna opuściła kapelusz i siadła prosto w fotelu. - Już sama myśl o miesiącu wakacji nad morzem jest bardzo pociągająca. Gdybyś nie chciała tam pojechać, sama zabrałabym Davida. Pasujemy do siebie znakomicie!

Oczy wciąż się jej jeszcze śmiały, lecz Anne wiedziała, że to tylko pozory. Susanna

miała dwadzieścia dwa lata i była urocza ze swoją drobną figurką, kasztanowatymi włosami i szarymi oczami. Przybyła do szkoły jako dwunastoletnia sierota. Jedno z towarzystw charytatywnych opłaciło jej naukę. Przedtem usiłowała zatrudnić się w jednym z londyńskich domów jako pokojówka. Nie udało jej się to, bo się wydało, że dodaje sobie lat. Sześć lat później Claudia zaoferowała jej posadę i Susanna bez trudu przedzierzgnęła się z uczennicy w nauczycielkę. Anne nie wiedziała wiele o jej przeszłości, jedynie to, że Susanna nie ma żadnych bliskich. Nigdy też nie starał się o nią żaden młodzieniec, mimo że każdemu potrafiła zawrócić w głowie. Niezależnie od pogodnej natury tkwił w niej cień melancholii, lecz tylko dobra przyjaciółka potrafiła go dostrzec.

- Jesteś pewna - spytała Claudia - że nie wolałabyś tu zostać? Nie, z pewnością tego nie chcesz i masz rację. Davidowi potrzeba towarzystwa rówieśników, zwłaszcza chłopców, a to doskonała okazja, żeby ich poznał. Jedź więc, z moim błogosławieństwem, choć wcale go nie potrzebujesz, i spróbuj trzymać się tak daleko od dorosłych Bedwynów, jakby byli trędowaci!

- Uroczyście ci to przysięgam. - Anne uniosła prawą dłoń. - Chociaż jest rzeczą równie możliwą, że zrobię coś zupełnie innego - dodała z przekornym błyskiem w oku.

Sydnam Butler przeniósł się z Glandwr House do krytego strzechą, pobielanego domku, który stał na niewielkiej polance wśród drzew, pomiędzy brzegiem morza a parkiem. Jako rządcą księżęcy mieszkał przez ostatnie pięć lat we własnych, obszernych apartamentach pałacowych i nie ruszał się stamtąd nawet wtedy, gdy w Glandwr pojawiał się właściciel majątku, księżę Bewcastle. Księżę zawsze przyjeżdżał sam i nigdy nie zatrzymywał się na dłużej niż kilka tygodni. Rzadko oddalał się od pałacu. Składał tylko sąsiadom wizyty, jak wymagało tego dobre wychowanie. Sporo czasu spędzał z Sydnamem, bo dozór nad majątkiem był głównym powodem odwiedzin; zazwyczaj zapraszał go wtedy do stołu, gdy nie miał innych gości.

Wizyty te nie były wcale dla Sydnama przykre, choć Bewcastle potrafił być surowym, wymagającym zwierzchnikiem. Sydnam zarządzał jednak Bewcastle Welsh tak, jakby to była jego własna posiadłość. Nie miał więc powodów, by spodziewać się przykrości.

Tegoroczna wizyta była zupełnie inna. Tym razem Bewcastle miał przybyć z żoną. Sydnam nigdy jeszcze nie spotkał księżnej. Słyszał jedynie od swego brata, Kita, wicehrabiego Ravensberga, który mieszkał w majątku graniczącym z Lindsey Hall, siedzibą Bewcastle'a, że to wesoła, sympatyczna osoba, która potrafiła rozruszać nawet zimnego jak góra lodowa księcia. Od bratowej, wicehrabiny Lauren, wiedział też, że księżna darzy wszystkich serdecznym uczuciem, a oni z kolei lubią ją, łącznie - w co wręcz nie chciało się wierzyć - z samym Bewcastle'em. Lauren dodała również, że księżę jest żoną zupełnie zauroczony.

Sydnam wolał trzymać się z dala od nieznanymi osobami, zwłaszcza gdy musiał z nimi przebywać pod jednym dachem. Pogodził się z myślą, że księżna będzie tym razem towarzyszyć mężowi, dopiero gdy otrzymał kolejny krótki list od sekretarza jego księżęcej

mości. Napisano w nim, że przyjadą także wszyscy inni Bedwynowie wraz z żonami i dziećmi, żeby blisko miesiąc spędzić nad morzem.

Sydnam wychował się razem z Bedwynami. Byli oni towarzyszami zabaw młodych Butlerów: jego, Kita i Jerome'a. Pamiętał figle, jakie płatali z braćmi księcia, jego dumną siostrą Freyą - która nigdy nie pozwalała, by traktowano ją jak dziewczynę - a także Morgan. Ta ostatnia, choć najmłodsza ze wszystkich, prawdziwa mała kobietka, potrafiła dokazywać nie gorzej niż rodzeństwo. Jedynie Wulfric, czyli przyszły książę Bewcastle, trzymał się nieco z boku.

Znał ich tak dobrze, że nie musiał się niepokoić perspektywą ich przyjazdu. Może co najwyżej czuł się nieco zakłopotany, bo wszyscy byli już żonaci. Poznał żonę Aidana i Rannulfę, a także markiza Hallmere, męża Freyi - i uznał, że traktują go życzliwie. Wszyscy mieli już dzieci. Być może właśnie to sprawiło, że czuł się nieswojo. Maluchy mogły się go przestraszyć. Przecież o niczym nie wiedziały.

Poza tym dom, mimo że duży, będzie pełen ludzi.

Sydnam nie był odludkiem. Jako rządcą Bewcastle'a musiał się spotykać z mnóstwem ludzi. Miał też sąsiadów, którzy często się go radzili w sprawach gospodarskich. Zjednął sobie wśród nich wielu przyjaciół, choćby miejscowego pastora i nauczyciela. Byli to jednak wyłącznie mężczyźni. Owszem, w ciągu ostatnich pięciu lat jedna czy dwie kobiety oferowały mu przyjaźń. Wszyscy przecież wiedzieli, że jako syn hrabiego Redfielda jest na tyle zamożny, że nie musi zarabiać na życie. Nie podtrzymał jednak tych znajomości, dobrze wiedząc, że tylko jego pozycja i majątek były powodem, dla którego otwarcie nie okazywały mu odrazy. Musiały ją przecież czuć.

Kiedy tu przyjechał, był szczęśliwy, że może żyć niemal w całkowitym odosobnieniu.

Lubił tę część południowo - zachodniej Walii, która - mimo że od dawna znajdowała się pod

panowaniem Anglii - zachowała swój śpiewny akcent. Często słyszało się tu język celtycki, a morze, muzyka i wszechobecna stara, bogata kultura dopełniały reszty.

Sydnam chciał spędzić w Walii resztę życia. Był tu pewien dom i posiadłość - Ty Gwyn, po angielsku Biały Dom, choć w istocie wcale biały nie był. Stał w pewnej odległości od Glandwr i również był własnością Bewcastle'a, nie należał jednak do majoratu. Sydnam zamierzał namówić Wulfrica, żeby mu go sprzedał. Miałby wówczas własną siedzibę i ziemię, choć nadal pozostałby rządcą Glandwr, gdyby Bewcastle sobie tego życzył.

Perspektywa pobytu w Glandwr House pośród mrowia gości przerażała go. Przywykł do opustoszałego, spokojnego pałacu. Dlatego właśnie wołał przenieść się do chatki, przynajmniej dopóki pałac się nie opróżni.

Najazd gości budził w nim niechęć, choć dobrze wiedział, że nie może zabronić księciu pobytu we własnym domu z żoną, rodzeństwem i każdym, kogo podobało mu się tu zaprosić.

Nie cieszyła go jednak myśl o takim lecie. Wołał trzymać się na uboczu, a już zwłaszcza z dala od dzieci. Nie chciał ich przestraszyć. Najgorszy ze wszystkiego był dla niego właśnie widok wykrzywionych ze strachu i wstrętu buzi dziecięcych. I świadomość, że przeraża je jego wygląd.

Sekretarz księcia donosił, że wizyta potrwa miesiąc. Trzydzieści jeden dni wydało się Sydnamowi wiecznością.

Jakoś to przetrwa.

Przeżył coś o wiele gorszego, choć bywały dni i noce, kiedy żałował, że tak się stało.

A jednak przeżył.

Musiało minąć kilka lat, żeby mógł się z tego cieszyć.

Anne się uparła, żeby długą drogę do wiejskiej posiadłości Bewcastle'a przebyć w

drugim powozie, wraz z dziećmi i niańką, mimo że na każdym postoju zaglądała do karety Freyi. Woląca uważać się raczej za kogoś ze służby niż za gościa - w końcu księżę i księżna nawet nie wiedzieli ojej przyjeździe!

I właśnie dlatego się bała. Na pewno będą z jej przybycia niezadowoleni, nawet gdyby przez cały miesiąc nie wystawiała nosa z pokoju dziecinnego.

Próbowała zająć się dziećmi i je zabawiać, bo niańka, choć obowiązkowa, źle znosiła podróż. Anne wraz z Davidem i Danielem liczyła więc krowy, a czasami owce za oknem. Trzymała Emily na kolanach, grała z nią w łapki i śpiewała jej. Dziecko zanosiło się wtedy śmiechem, co bardzo ją cieszyło.

Widząc wzgórza południowej Walii, zielone poletka poprzedzielane żywoplotami i wody Kanału Bristolskiego, uświadomiła sobie, jak daleko znalazła się od domu. Chwilami żałowała, że David nie pojechał sam razem z Joshua.

Było już jednak za późno na zmianę zdania.

Dotarli do celu wieczorem trzeciego dnia podróży. Skręcili na szlak, wiodący wzdłuż wybrzeża, które przypomniało jej Kornwalię. Potem minęli wielką, otwartą na oścież bramę i odtąd jechali już po podjeździe, który wił się wśród krzewów i drzew, okolony zewsząd trawnikiem. Tuż przy bramie Anne dostrzegła ładny, kryty strzechą domek i pomyślała ze smutkiem, że chętnie by się w nim skryła na cały miesiąc.

- Spójrz, mamó! - David siedział dotąd posłusznie przy niej, podczas gdy Daniel i Emily drzemali na przeciwległym siedzeniu. - Teraz pociągnął ją mocno za rękaw sukni i wskazał coś, przyciskając twarz do szyby.

W oddali ukazał się budynek. Na jego widok żołądek podjechał jej gwałtownie do gardła. A przecież Glandwr, imponująca budowla w stylu palladiańskim, wzniesiona z szarych kamiennych bloków, imponująca i piękna zarazem, nie była główną siedzibą księcia.

Joshua wspominał kiedyś, że Bewcastle spędzał tu ledwie tydzień czy dwa na rok.

Jakże ktoś może być aż tak bogaty?

- Nie mogę się doczekać. Chciałbym już tam być! - Policzki Davida zaróżowiły się z podniecenia. - Czy inne dzieci już tu są?

Rzecz jasna David, w odróżnieniu od niej, nie miał się czego bać. Cieszył się na samą myśl, że przez cały miesiąc będzie się mógł bawić z innymi chłopcami.

Na szczęście ich przyjazd nie zwrócił niczyjej uwagi w ogólnym zamieszaniu.

Wszystkie trzy powozy podjechały pod taras przed głównym wejściem, na który wyległo mnóstwo ludzi. Anne rozpoznała wśród nich - po wojskowych manierach - wysokiego bruneta, Aidana Bedwyna, i smagłą, bardzo przystojną Morgan Bedwyn. Nazwiska jej męża nie potrafiła sobie przypomnieć, ale spotkała już obydwój w Kornwalii cztery lata temu.

David i rozespany, zarumieniony od snu Daniel zostali entuzjastycznie powitani.

Zupełnie jakby nie widziano ich od lat, a nie od tygodnia. Anne zostawiła synka z innymi dziećmi i wraz z niańką pospiesznie weszła do pałacu tylnymi schodami. Za nic nie chciała, żeby wzięto ją za gościa. Szybko jednak stwierdziła, że nie uda się jej przemknąć niepostrzeżenie. Gospodyni przyszła po nią, gdy tylko Anne zajrzała do Davida, ten zaś zdążył się już rozgościć w dużej sypialni, którą miał dzielić z Davym i Alexandrem. Cały drżał z podniecenia. Pozostałe dzieci przyjęły go tak naturalnie, jakby od początku był jednym z nich.

Anne zrozumiała, że znalazł się w swoim żywiole. Gospodyni zaprowadziła ją do obszernej sypialni, położonej piętro niżej, wygodnie urządzonej, z ładnymi, kwiecistymi zasłonami. W oddali widać było morze.

Bez wątplenia umieszczono ją w pokoju gościnnym, a nie w izdebce służącej, pomyślała z zaskoczeniem. Szkoda, że nie ustaliła tego wyraźnie z Joshua i Freją jeszcze

przed wyjazdem. Powinna była postawić sprawę jasno - jest kimś równym piastunce czy guwernantce, jeśli w ogóle mieli tu jakąś.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu - odezwała się z przeproszającym uśmiechem - przybywając tak nieoczekiwanie.

- Ależ skąd, byłam rada, kiedy pan Butler powiedział, że księżę i księżna przyjadą w większym towarzystwie - odparła gospodyni z wyraźnym walijskim akcentem. - Jest nas tutaj za mało, ale pan Butler wynajął ludzi do pomocy, zdążyłam więc sobie poradzić ze wszystkim. Nazywam się Parry, proszę pani.

- Dziękuję. Co za śliczny widok!

- A, rzeczywiście. Choć z tylnych pokoi także widać morze. Pewnie zechce się pani odświeżyć i odpocząć po podróży? Przyślę dziewczynę, żeby rozpakowała pani rzeczy.

- Nie trzeba - zapewniła ją pospiesznie. O Boże, przecież nie jest gościem! Nie potrzebuje pokojówki. - Ale odpoczynek dobrze mi zrobi.

- Droga była pewnie męcząca? Naprawdę nie wiem, po co tyle płacimy za rogatkowe! Musiało panią porządnie wytrząść. A jakby chciała pani pójść do salonu, wystarczy zadzwonić i ktoś wskaże drogę. Przyślę przed obiadem służącą, żeby się pani pomogła ubrać i pokazała, którądy iść do jadalni. Czy potrzebuje pani jeszcze czegoś?

- Nie. - Anne uśmiechnęła się do gospodyni. - Dziękuję.

Ma pójść do salonu? Jadać razem ze wszystkimi? Cóż ten Joshua o niej naopowiadał?

Chyba nie sądził, że śmiałyby się spoufalać z Bedwynami, dygać przed księciem i księżną Bewcastle? Och, z Joshuą nigdy nic nie wiadomo! W dosyć szczególny sposób traktował i ją, i Davida.

Rozpakowała skromny kuferek. Zauważyła, że do sypialni przylega garderoba.

Położyła się na łóżku raczej dlatego, że nie wiedziała, co ze sobą począć, niż ze zmęczenia.

Gdyby tylko mogła, nie wychodziłaby stąd wcale. Niestety, teraz mogła tylko żałować, że nie pozostała w Bath.

I wśród tych zmartwień zasnęła.

Gdy jakiś czas później się ocknęła, zeskoczyła pospiesznie z łóżka. Jeśli służąca rzeczywiście przyjdzie, nie wykręci się od zejścia na obiad. A była, jak zdała sobie sprawę, bardzo głodna. Nie jadła niczego od śniadania w przydrożnej oberży. Wolała jednak głód od obiadowania z księciem i jego rodziną.

O Boże, czy naprawdę Joshua wyobrażał sobie, że będzie przestawała z nimi jak równa z równymi?

Wsunęła stopy w wyjściowe pantofelki i otuliła się płaszczem na wypadek, gdyby morska bryza okazała się chłodna. Rzecz jasna, nie może unikać wspólnych posiłków przez cały miesiąc; może nazajutrz poczuje się na tyle wypoczęta i przytomna, żeby omówić z gospodynią tę kwestię?

Zeszła po cichu na dół i wyslizgnęła się z domu tymi samymi drzwiami, przez które weszła. Pospiesznie przebiegła przez podjazd. Nie wiedziała, dokąd pójdzie. Chciała się tylko znaleźć z dala od siedziby Bedwynów! Dotarła do krytego strzechą domku i musiała rozstrzygnąć, czy zapuścić się dalej, czy wrócić. Nagle spostrzegła ścieżkę. Musiała prowadzić nad morze.

Podążyła nią i wkrótce stanęła nad wysokim urwiskiem. Poniżej rozciągało się morze, po obu stronach dróżki rosły wysokie krzewy, kępy janowca i polne kwiaty. Znów przypomniało jej to Kornwalię. Poniżej urwiska rozpościerała się rozległa, złocista plaża.

Anne zeszła ze ścieżki i najpierw stanęła, a potem usiadła w zagłębieniu, skąd mogła widzieć morze, spokojne i niemal przejrzyste w świetle wczesnego wieczoru. Drobne fale były o brzeg, zamieniając się w pianę, nim legły na piasku. Plaża tworzyła wielki, złoty łuk. Po

prawej piaski ciągnęły się daleko, aż po skalisty, porośnięty gdzieniegdzie trawą cypel, który wyglądał jak garbaty smok z uniesionym łbem.

Zdała sobie sprawę, że tęskni za Kornwalią. Kochała ją, mimo że spotkało ją tam tyle złego. A morze lubiła zawsze. Człowiek wydawał się przy nim taki maleńki, ale - dziwna rzecz - ta myśl raczej ją koła, niż przygnębiała. Gdy wpatrywała się w morze, czuła się częścią czegoś potężnego, a jej troski nikły. Och, mogłaby mieszkać w Kornwalii przez resztę życia, gdyby nie...

Właśnie.

A przecież nie były to jej rodzinne strony. Zamierzała wyjść za Henry'ego Arnolda z hrabstwa Gloucester, gdzie sama się wychowała.

Siedziała tak dosyć długo, póki nie zauważyła, że już się ściemniło. Dobrze, że wzięła płaszcz. Dzień był ciepły, ale nadchodziła noc, a wiatr był chłodny i nieco wilgotny. Miał smak i zapach morza.

Wstała pospiesznie i wróciła ku ścieżce, z twarzą wystawioną na wiatr. Spoglądała to w mroczniejące niebo, to znów na morze, które stawało się srebrzyste, mimo że nad nim narastała ciemność - jedna z małych tajemnic natury. Pomyślała, że gdyby była malarką, chciałaby uchwycić właśnie ten efekt. Nie miała w sobie jednak nic z artystki. Nie potrafiłaby przelać na płótno swojej wizji.

Wtedy zdała sobie sprawę, że nie tylko ona wyszła zaczerpnąć wieczornego powietrza.

Ktoś stał na wzniesieniu i również patrzył na morze, nieświadomy jej obecności.

Anne się zatrzymała, niepewna, czy ma się starać, by ten człowiek jej nie spostrzegł, czy też przejść obok niego z przelotnym pozdrowieniem.

Nie widziała go przedtem. Nie był to ani Aidan, ani Alleyne. Zapewne ktoś inny, należący do rodziny, przechadzał się nad morzem. Chociaż oczywiście książe mógł też

pozwolić komuś obcemu korzystać z parku.

Mimo zmierzchu było jeszcze na tyle jasno, by przyjrzeć się nieznajomemu. Powinna do niego podejść, czy też lepiej będzie się cofnąć?

Nie miał na sobie stroju odpowiedniego na wieczorny spacer. Ubrany był w spodnie, wysokie buty, dopasowany surdut i kamizelkę, białą koszulę, halsztuk. Wysoki, szeroki w ramionach, a wąski w pasie i biodrach, miał muskularne nogi. Ciemne, krótkie włosy wicherzył mu wiatr.

Ale to jego twarz, widziana z profilu, przyciągnęła jej uwagę - z subtelnymi rysami, wręcz piękna. Był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Chciała przyjrzeć mu się z przodu, lecz mężczyzna najwyraźniej jej nie dostrzegając, zatopiony w myślach, znieruchomiał. Jego sylwetka rysowała się ostro na tle wieczornego nieba.

Nagle coś się w niej obudziło. Coś, co od lat spoczywało w uśpieniu. O Boże!

Przecież to nieznajomy, zapewne czyjś mąż i ojciec. Nikt, kto mógłby w niej wzbudzać romantyczne fantazje.

Uznała, że nie powinna odchodzić bez słowa. Mógłby uznać jej zachowanie za dziwne, a nawet niegrzeczne. Należało powiedzieć mu choćby „dobry wieczór”. Aby to uczynić, nie musi być oficjalnie przedstawiona. Nie spowoduje to zakłopotania ani konieczności powrotu razem z nim do domu i wymuszonej konwersacji.

Może jest mężem Morgan Bedwyn albo Rannulfem Bedwynem? A może księciem we własnej osobie? Mówiono przecież, że Bewcastle to przystojny mężczyzna.

Za późno już, żeby się mogła dyskretnie wycofać. Kiedy się do niego zbliżyła, zauważył ją wreszcie i odwrócił się ku niej gwałtownie.

Zamarła w miejscu. Pusty prawy rękaw miał przypięty do ubrania, lecz to prawa

strona jego twarzy sprawiła, że zdrętwiała ze zgrozy. Może był to efekt wieczornego światła, lecz wydało się jej, że niczego tam nie ma. Dopiero po chwili dojrzała czarną opaskę na oku. Mężczyzna nie miał połowy twarzy. Jego lewy profil wydał się jej teraz groteskowy - nic go nie równoważyło. Piękność i potwór w jednej osobie. Nagle wysoka sylwetka, muskularne i szerokie ramiona nabrały groźnego wyglądu.

Zrobił krok w jej kierunku. Nie czekała na kolejny. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki, potykając się na nierównościach gruntu i zaczepiając płaszczem o kępy janowca. Drzewa w parku były mroczne i przerażające, gdy przebiegła koło nich, nie dbając, że robi mnóstwo hałasu. Trawnik stał się nagle dwa razy większy. Biegła najszybciej, jak mogła, rada, że usłyszano by jej krzyk, nim ten człowiek ją złapie, bo znalazła się już w zasięgu ludzkich głosów.

Ale gdy się obejrzała, zrozumiała, że nikt jej nie goni. Strach osłabł i powrócił rozsądek.

Poczuła głęboki wstyd.

Przecież nie jest dzieckiem, które wierzy w potwory.

Ten mężczyzna musiał paść ofiarą jakiegoś strasznego wypadku. A wybrał się nad morze po prostu dlatego, żeby - podobnie jak ona - zaczerpnąć świeżego powietrza. I tak samo jak ona był zatopiony we własnej samotności, zauroczony pięknym widokiem. Nie zrobił niczego, co mogłoby jej zagrozić. Po prostu podszedł do niej, zapewne po to, żeby powiedzieć „dobry wieczór”. A potem pójść własną drogą.

Ona zaś uciekła, bo był przeraźliwie okaleczony.

Uznała go za potwora z powodu jego wyglądu. A przecież zawsze szczyliła się tym, że okazuje serdeczność słabszym i upośledzonym. Jako guwernantka świadomie przyjęła posadę opiekunki opóźnionego w rozwoju dziecka. Serdecznie kochała Prue Moore. I wpajała

uczennicom i Davidowi, że każda ludzka istota zasługuje na szacunek, życzliwość i miłość.

A teraz uciekła przed mężczyzną, którego lewy profil był skończenie piękny, a prawy - straszliwie zdeformowany. Ten człowiek nie miał też prawej ręki. Cóż mógł jej zrobić złego?

Głód i wstyd sprawiły, że poczuła zawrót głowy. Zaciśnęła powieki i zaczerpnęła głęboko tchu, a potem otworzyła oczy i zawróciła.

Było już całkiem ciemno i niełatwo jej przyszło znaleźć drogę. Musiała jednak wrócić i go przeprosić.

Odnalazła ścieżkę, a za nią cypel. Rozejrzała się wokoło. To to samo miejsce, w którym go zobaczyła.

Nie było tam jednak nikogo. Nigdzie go nie dostrzegła.

Stała tam przez jakiś czas ze zwieszoną głową. Mogła go pozdrowić i się uklonić. On zapewne zrobiłby coś podobnego. A potem wróciłaby do siebie zadowolona z własnego zachowania, głowiąc się, co mogło zniszczyć jego urodę.

A tymczasem rzuciła się do ucieczki. Jakże on się musiał czuć. Czy inni też go tak traktowali? Biedny człowiek. Ona przynajmniej doznała tylko obrażeń na duszy. Ludzie - zwłaszcza mężczyźni - którzy się nią interesowali, wycofywali się zaraz, gdy tylko wychodziło na jaw, że jest matką nieślubnego dziecka. Ale przynajmniej nikt się od niej nie odwracał ze zgrozą ani nie uciekał.

Jak mogła zrobić coś takiego? Potraktowała haniebnie kogoś, kto nie zrobił jej nic złego. Może to jakiś nieznajomy, który znalazł się tu przypadkiem? Może nigdy więcej go nie zobaczy?

Zbeształa się za to w myśli.

Dostateczną karą było to, że pójdzie spać bez obiadu. Nie mogła przestać myśleć o

tym człowieku. Będzie się budzić w nocy z myślą o nim. Pewnie jest bardzo samotny! Jak okrutnie obszedł się z nim los, niszcząc tak doskonałą urodę.

Sydnam patrzył w ślad za kobietą. Przez chwilę pragnął ją dogonić, ale to przeraziłoby ją jeszcze bardziej. No i nie wzbudziła w nim życzliwych uczuć.

Kim u licha była? Może żoną Alleyne'a? Nigdy jej nie poznał. Co tu robiła? Dlaczego nie było z nią Alleyne'a? Czy nikt jej nie uprzedził, jak wygląda rządcą Bewcastle'a? Przebywał w innym świecie. Zachwycał się tą chwilą, gdy słońce już zaszło, a noc jeszcze nie zapadła. Chwilą pełną szarości, srebrzystości i majestatu. Chciałby wziąć w rękę pędzel, żeby ją uwiecznić. Ale nie miał już prawej ręki, prawego oka ani pędzla.

Musiał przyznać przed samym sobą, że nie ocenia już należycie głębi ani perspektywy. Niełatwo się jednak do tego zmusić.

Potem spostrzegł coś kątem oka lub może usłyszał kroki i nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

A kiedy się odwrócił, zobaczył ją.

Wyczuł jej obecność chwilę wcześniej. Przez moment kobieta na ścieżce wydała mu się częścią pięknego wieczoru. Była wysoka i wysmukła. Wiatr targał jej płaszczem, odsłaniając suknię w jaśniejszym kolorze. Była bez kapelusza, miała jasne włosy, owalną twarz i niebieskie oczy, ale trudno mu było dostrzec to jednym okiem, z takiego oddalenia i w mroku. Tak, koloru oczu nie mógł być pewien.

Wyglądała jak uosobienie piękna. Przez chwilę myślał, że...

Cóż takiego pomyślał? Ze porusza się jak lunatyczka?

Zrobił ku niej krok, bez słowa. A ona stanęła, jakby czekając na niego. Potem dojrzał grozę w jej oczach. Odwróciła się i uciekła. Czego mógł się spodziewać? Ze z uśmiechem otworzy mu ramiona?

Spoglądał za nią. Znow stał się Sydnmem Butlerem bez oka, z twarzą pokrytą purpurowymi bliznami po oparzeniach. Człowiekiem, który nie władał do końca lewą połową ciała, gdyż oparzenia spowodowały paraliż licznych nerwów, aż po kolano.

Znow był Sydnmem Butlerem, który nigdy już nic nie namaluje i do którego żadna piękna kobieta nie podejdzie o zmroku.

Dawno przestał litować się nad sobą i nienawidził chwil takich jak ta, kiedy uczucie to powracało. Wiedział, że dręczyć go będzie przez wiele dni, mimo że był Sydnmem

Butlerem, najlepszym i najsprawniejszym rządcą, jakiego kiedykolwiek mieli Bedwynowie.

Był Sydnmem Butlerem, który nauczył się żyć sam.

Bez pędzla i bez prawej ręki.

Bez kobiety.

Nie stał już dłużej na cyplu. Magia uleciała. Morze przestało się srebrzyć, było ciemnoszare, wkrótce stanie się czarne. Wiatr zrobił się chłodny. Czas wracać do domu.

Szedł w tym samym kierunku, w którym uciekła. Po kilku krokach spostrzegł, że znow utyka. Z wysiłkiem starał się stąpać równo.

Był jeszcze bardziej zadowolony, że przeniósł się z pałacu do chatki. Lubił ją. Chatkę z kucharką, gospodynią i lokajem. Samotnemu mężczyźnie niczego więcej nie trzeba.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że płaszcz ani suknia kobiety nie były wytworne. Nie miała też wymyślnej fryzury. Widocznie to ktoś ze służby, przybyłej razem z gośćmi. Gdyby istotnie była żoną Alleyne'a, spotkałby ją na obiedzie lub w salonie.

A więc to tylko służąca, pomyślał z ulgą. Mało prawdopodobne, żeby znow ją zobaczył. Na pewno będzie się teraz trzymać z dala od urwiska i plaży, gdzie mogłaby się kolejny raz natknąć na potwora z Glandwr.

Miał nadzieję, że to się już nie powtórzy, że nigdy już nie ujrzy odrazy na jej pięknej

twarzy.

Przez chwilę zatęsknił za nią całym sercem. Z zalem pomyślał, że może będzie się jej śnił przez kilka nocy z rzędu.

Gdybym tylko wiedział, jak długo Bewcastle zamierza się tu zatrzymać, pomyślał, gdy wrócił już do swego domku i z ulgą zamknął za sobą drzwi. Liczyłbym wtedy dni, niczym dziecko spragnione obiecanej zabawki.

Po prostu zniknęła! - stwierdził Joshua. - Nie ma jej w sypialni, ani w pokoju dzieciennym, a już na pewno w salonie i jadalni.

- Założyłbym się - odparł Gervase, hrabia Rosthorn i mąż Morgan, krojąc bekon - że ją onieśmielamy. No, może nie my wszyscy - dodał z dyskretnym uśmiechem - ale wy, Bedwynowie, na pewno.

- Ależ nie ma żadnego powodu, żeby czuła się onieśmielona - odezwała się Eve, żona Aidana. - Chociaż możesz mieć słuszość, Gervase. Pamiętam, jak sama się kiedyś czułam.

- I ja też - dorzuciła skwapliwie Judith, żona Rannulfa.

- A teraz je śniadanie w pokoju dzieciennym? - Christine, księżna Bewcastle, skrzywiła się z niezadowoleniem. - Doprawdy, wstyd mi, że do czegoś podobnego dopuściłam.

Powinnam była wczoraj dołożyć starań, żeby poczuła się tu dobrze. Obydwoje powinniśmy byli tak zrobić, Wulfricu. Zaraz tam pójde.

- Daj jej skończyć śniadanie - poradził Aidan. - Pamiętaj, że jesteś księżną. Twój widok może odebrać jej apetyt.

Większość zebranych przy stole uznała tę uwagę za zabawną. Księżę, co prawda, uniósł do oczu lorgnon, lecz opuścił szkła, gdy księżna wybuchnęła śmiechem.

- Freya i Joshua zaniedbali wczoraj swoje obowiązki względem gościa - uznał w końcu. - Christine, radziłbym ci odszukać pannę Jewell i zaprosić ją na dzisiejszy obiad. - I skinieniem palca dał znak lokajowi, żeby dolał mu kawy.

- No i powinnaś jej dać do zrozumienia - Rannulf uśmiechnął się szeroko - że jeśli zapraszają Wulf, równa się to rozkazowi. Wy tłumacz tej nieszczęsnej kobiecie, że nie ma wyboru.

- A jeśli już mowa o tym, że wczoraj zabrakło kogoś przy stole - dodał Alleyne. - Co

właściwie dzieje się z Sydem? Szukałem wszędzie, ale nigdzie go nie było.

- Pewnie się mnie boi - wyjaśniła księżna. Zgromadzeni przy stole ponownie parsknęli śmiechem i tylko księżę uniósł wyniośle brwi.

- Wyszedł na taras, żeby nas przywitać - ciągnęła księżna - ale potem już go nie widziałam. A wieczorem, w jakiś czas po obiedzie, przysłał kartkę, że przeprasza za nieobecność. Zapewne znalazł nasze zaproszenie dopiero po powrocie do siebie.

- Zwykły wykręt - uznał Alleyne.

- Myślę - odezwała się Rachel, jego żona - że wasz rządca może się niezręcznie czuć na obiedzie, zwłaszcza że ma tylko jedną rękę, w dodatku lewą.

- Jeśli to istotnie prawda - Freya zmarszczyła brwi - zasłużył sobie na naganę. Syd był zawsze milczkiem, ale nie tchórzem.

- O czym świadczą jego blizny - odparł sucho Aidan.

- Pamiętam, że gdy już wyzdrowiał, na nowo uczył się jeździć - mruknął Rannulf. -

Poszedłem raz rankiem do Alvesley Trzydzieści razy wsiadał wtedy na konia i dwadzieścia dziewięć razy z niego spadał, nim mu się udało. Ale nie pozwolił sobie pomóc stajennemu ani mnie. A chodziło tylko o to, by wsiąść na konia.

- Biedak - uznała Rachel. - Nauka jazdy, bo Alleyne się upierał, żebym została amazonką, była dla mnie koszmarem. A przecież mam obydwie ręce. Czułam się, jakbym połamała sobie wszystkie kości, mimo że ani razu nie spadłam z konia.

- Bo zawsze zdołałem cię złapać w samą porę - dodał jej mąż.

- Nigdy nie nazywaj Sydnama biedakiem, Rachel - pouczyła ją Freya. - Nawet w myślach.

- Wulfricu, przecież będziesz się z nim dzisiaj widział, prawda? - spytała księżna. -

Zaproś go na obiad jeszcze raz. Nie powinien zachowywać się jak służący, jest twoim rządcą.

Mówiłeś przecież, że przyjął to miejsce tylko dlatego, żeby robić coś pożytecznego.

- Twoje życzenie jest rozkazem - zażartował książę. - Zaproszę go, a raczej, jak radzi Rannulf, każę mu przyjść.

- I w ten sposób dwoje opornych gości spotka się przy stole dziś wieczór. - Rannulf wyszczerzył zęby. - Posadź ich koło siebie, Christine, żeby mogli sobie wzajemnie współczuć.

- Cóż to za pomysł. - Gervase skrzywił się ostentacyjnie. - Czy mamy ich pożenić? Aidan chrząknął pod nosem.

- Poprzednim razem - dodał Alleyne - poszło nam nadzwyczajnie. Inaczej Christine nie siedziałaby tu razem z nami. No i nie byłaby księżną Bewcastle!

Księżna roześmiała się radośnie.

Książę odstawił filiżankę z kawą i ponownie sięgnął po lorgnon.

- Musiałeś upaść na głowę, Alleynie - oznajmił. - Księżna Bewcastle siedzi z nami przy stole, bo ja ją zdobyłem.

I spojrzał wyniośle przez całą długość stołu, podczas gdy jego rodzina znów zatrzęsała się ze śmiechu. Księżna posłała mu czuły uśmiech.

- Stanowczo muszę zepsuć pannie Jewell apetyt - oświadczyła, wstając. - Mam nadzieję, że tylko chwilowo. Masz rację, Eve, jesteśmy tylko ludźmi, a ona powinna się tu znaleźć razem z nami. Przecież ojciec jej syna był stryjecznym bratem Joshuy.

- Lepiej przy niej o nim nie wspominaj, Christine - ostrzegł Joshua. - Nigdy nie lubiła Alberta. Zresztą ja też nie, jeśli już muszę o tym mówić.

- I miała powody - dodała Eve. - Czy mogę z tobą pójść, Christine. Poznałam pannę Jewell, gdy przyjechaliśmy do Kornwalii z okazji zaręczyn Freyi i Joshuy.

- Ja również chętnie będę ci towarzyszyć. - Morgan odepchnęła krzesło kolanem. -

Pamiętam, że raczej ją lubiałam.

- Biedna kobieta - zauważył Aidan. - Założyłbym się, że wolałaby przesiedzieć w pokoju dziecinnym cały pobyt u nas.

Gdy służąca przyszła, aby pomóc jej się przebrać do obiadu, Anne podziękowała jej z zakłopotaniem. Nie wiedziała, co począć. Nigdy nie miała pokojówki, no i zdołała już bez niczyjej pomocy włożyć najlepszą suknię z zielonego jedwabiu.

- Uczeszę panią - zaofiarowała się dziewczyna. Anne posłusznie usiadła przy gotowalni przed lustrem. Spędziła całkiem przyjemny dzień - co prawda nie na świeżym powietrzu, bo siąpił deszcz. Zajmowała się dziećmi i wymyślała dla nich zabawy. Ale nie robiła tego sama. W ciągu dnia spotkała większość Bedwynów, wyjąwszy samego księcia. Wszyscy już mieli dzieci i większość zaglądała co jakiś czas do pokoju dziecinnego albo zostawała tam na dłużej, żeby się pobawić z malcami.

Wszyscy traktowali ją bardzo uprzejmie, choć starała się trzymać jak najdalej od nich. Nie mogła jednak uniknąć wieczornego obiadu. Księżna zaprosiła ją osobiście i Anne w żaden sposób nie mogła jej odmówić.

- Jakie pani ma śliczne włosy - odezwała się służąca, szczotkując fryzurę, z której wyjęła wcześniej wszystkie szpilki. Istotnie, były koloru miodu i falowały lekko po rozpuszczeniu. Henry Arnold nazwał je kiedyś, niezbyt oryginalnie, jej największym atutem. W jego oczach zalśnił wtedy podziw i... coś innego. Obcięła je małymi nożyczkami do haftu w dniu, kiedy nie miała już wątpliwości, że spodziewa się dziecka. Potem już tego nie robiła, co najwyżej przycinała same końce.

Z rozpuszczonymi włosami wyglądała zupełnie inaczej niż uczesana w gładki kok.

Wiedziała o tym i zwykle unikała patrzenia w lustro, kiedy spinała włosy. Wyglądały tak... tak zmysłowo. Czy to było właściwe słowo? Być może, chociaż go nie cierpiała.

Nienawidziła swoich jasnych, błyszczących włosów, owalnej twarzy, dużych błękitnych oczu, prostego nosa, wysoko osadzonych kości policzkowych i miękkich, pełnych warg.

Nienawidziła bujnych piersi, wąskiej talii, zgrabnych bioder i długich, smukłych nóg.

Niegdyś lubiła, gdy chwalono jej urodę. Ale potem stała się ona przekleństwem.

- Gotowe, proszę pani. - Służąca sapnęła, odstępując w tył, żeby podziwiać w lustrze efekt swoich starań. - Spodobałaby się pani nawet lordowi. Szkoda, że wszyscy już się poženili, no, ale został jeszcze pan Butler, a on też jest hrabiowskim synem, choć pracuje jak ktoś całkiem zwyczajny.

- Jeśli zakocha się we mnie na zabój i ofiaruje mi rękę, serce oraz fortunę, zanim noc zapadnie, będzie to twoją zasługą, Glenys.

Roześmiały się obydwie.

- Kim jest pan Butler? - spytała Anne.

- Naszym rządcą, tylko... No, mniejsza z tym. Nie wiem zresztą, czy przyjdzie dziś wieczór na obiad i może męczyć się na darmo. - Westchnęła. - Ale mogę panią uczesać jeszcze raz, bo teraz przyjechało mnóstwo gości. Pewnie będzie wiele przyjęć. Na przyjęcie uczeszę panią wyjątkowo pięknie!

- A czy ta fryzura nie jest wyjątkowa? - Anne zaśmiała się, chcąc ukryć zmieszanie.

Uczesanie podkreślało jej rysy i długą szyję.

- Och, sama pani zobaczy - mruknęła szelmowsko Glenys. - Proszę już zejść do jadalni. Straciłam za dużo czasu na czesanie. Gospodyni da mi reprimendę, jeśli się pani spóźni. No i gotowa mi nie pozwolić więcej pani usługiwać.

Anne, w drodze do salonu, czuła się niepewnie. Podejrzewała, że wypadnie blado w porównaniu z wystrojonymi paniami. Nie miała jednak wyboru. Może później uda jej się ukryć w jakimś ciemnym kącie?

Wypatrywała niespokojnie Joshuy, lecz to księżna we własnej osobie wyszła jej naprzeciw.

Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażała. Christine była bardzo miła. Miała ciemne, krótkie, kręcone włosy i wydawała się niezwykle ładna, lecz zawdzięczała to bardziej swojej witalności niż rysom. Uśmiechała się często, a oczy zawsze jej błyszczały. Nie zachowywała się sztywno jak większość arystokratek. Dzieci wprost za nią przepadały.

Gdy zjawiała się w pokoju dzieciennym zaraz po śniadaniu, wraz z Eve i Morgan, które Anne знаła z Kornwalii, robiła wszystko, żeby tylko Anne poczuła się swobodnie. Nie pozwoliła na ukłon, za to wyciągnęła rękę ku gościowi. Zaraz też zaprowadziła Anne do pokoju, którego okna zasłonięto kotarami, gdzie jej dziecko spało w łóżeczku, z piąstkami zaciśniętymi przy główce. Tak jakby chciało gestykulować nimi tuż po przebudzeniu.

Opowiedziała też, że jest córką skromnego szlachcica, który musiał dorabiać nauczaniem w wiejskiej szkole, i że ona sama także tam niekiedy uczyła, dopóki nie poznała księcia podczas jakiegoś przyjęcia, na które wcale nie miała ochoty iść.

- To było coś okropnego, panno Jewell - dodała takim tonem, jakby chodziło o zupełnie błahą rzecz. - Znalazłam się w wiejskim dworku wśród całkiem obcych ludzi, którzy tak zadzierali nosa, że chciałam jak najprędzej stamtąd uciec. Próbowałam schować się w jakimś kącie, lecz Wulfric wyciągnął mnie stamtąd. Co za okropny człowiek! No i musiałam go posłuchać, żeby nie stracić szacunku dla samej siebie. - Księżna roześmiała się pogodnie.

Wulfric, jak domyśliła się Anne, to zapewne książę Bewcastle. A cała historia była zachętą, żeby i ona wyszła z ciemnego kąta, czyli z pokoju dzieciennego.

Tylko że księżna nigdy nie urodziła nieślubnego dziecka.

A teraz znów wyciągała ku niej rękę.

- Muszę panią wszystkim przedstawić, panno Jewell, a przede wszystkim Wulfricowi.

Mimo że Anne nie знаła tu nikogo, domyśliła się natychmiast, kim jest mężczyzna, który wyszedł jej naprzeciw. Wysoki, śniady, przystojny, był arystokratą w każdym calu - wyniosłym, z imponującą prezencją. I ona, była guwernantka, matka nieślubnego dziecka, nieproszony gość, miała zasiąść razem z nim do stołu!

Odwróciłyby się i uciekła, gdyby księżna nie chwyciła jej za ramię.

A może by tego nie zrobiła? W końcu miała jeszcze w sobie odrobinę dumy.

- Wulfricu - powiedziała księżna - przyszła panna Jewell. To mój mąż, ksiązę Bewcastle.

Anne dygnęła. Czowała się tak, jakby za chwilę ziemia miała się pod nią rozstąpić.

- Witam Waszą Wysokość - szepnęła.

Ksiązę skłonił przed nią głowę. Zauważyła, że długie palce zacisnął na rączce lorgnon, choć nie uniósł go do oczu. Ten gest nie wiadomo czemu przejął ją lękiem.

- Panno Jewell, księżna i ja szczerze żałujemy, że wczoraj nie przywitaliśmy pani osobiście. Proszę nam wybaczyć. Mam nadzieję, że i pani, i syn czujecie się tu dobrze.

Słowa brzmiały mile, lecz w jego osobliwych, szarych oczach nie dostrzegła uśmiechu.

- Panna Jewell cały dzień spędziła w pokoju dzieciennym, Wulfricu. Próbowwała zabawiać dzieci i nie dopuścić do bójek. - Księżna uśmiechnęła się do męża tak promiennie, jakby był najmilszym człowiekiem na świecie.

- Nie widzę siniaków, madame. - Tym razem ksiązę zdobył się na żart. - Ale nasze potomstwo zapewne dopiero jutro pokaże, na co je stać. Może to i lepiej, że nasz syn leży jeszcze w kołysce. Mamy nadzieję, że podtrzyma w przyszłości reputację rodu. Niektórzy twierdzą, że Bewcastle'owie to najokropniejsze osoby pod słońcem.

Księżna parsknęła śmiechem.

Anne uznała, że księżę ma jednak poczucie humoru. Spodobało się jej również, że powiedział „nasz syn”, a nie „mój syn”, jak zrobiliby wielu innych arystokratów.

Księżna przedstawiła ją osobom, których Anne jeszcze nie знаła: pani Pritchard - starej Walijsce, ciotce Eve - Rannulfowi i jego żonie, a także hrabiemu Rosthorn, który wprawdzie zajrzał już przedtem do pokoju dziecinnego, ale ona akurat bawiła się wtedy z Davidem i starszymi dziećmi w zagadki. Dalej przyszła kolej na barona Westona - wuja Rachel, żony Alleyne'a - panią i pannę Thompson, matkę i starszą siostrę księżnej - oraz drugą siostrę Christinę i jej męża, wielbnego Loftera, rodziców Alexandra.

Usiłowała zapamiętać twarze i nazwiska, choć miała nadzieję, że ta wiedza w żaden sposób nie przyda jej się w ciągu następnych tygodni.

- Ach! - oznajmiła księżna, wciąż trzymając ją za ramię. - Przyszedł pan Butler!

A więc rządca, który - dzięki wytwornej fryzurze - miał się w niej bez pamięci zakochać i oświadczyć tego samego wieczoru, zjawił się dopiero teraz. Anne odwróciła się ku drzwiom, po raz pierwszy lekko rozbawiona.

Przez moment przyciągnęła jej uwagę świetna prezencja i uroda człowieka, który stanął w progu. Widziała go wyraźnie w wieczornym świetle, wpadającym przez zachodnie okna. I znów ujrzała go z lewego profilu.

Kiedy już opanowała się po wstrząsie, jakiego doznała, zdumiało ją, że Alleyne i Rannulf powitali nowo przybyłego tak serdecznie.

- Syd, stary chłopie - usłyszała Rannulfa - gdzieś ty się podziewa!? Wulf napędził ci może strachu dziś rano?

A więc ten mężczyzna nie był kimś obcym i będzie go musiała widywać. To rządca Glandwr.

Zrobiło się jej słabo. Nie miała już ochoty na kolację.

Jakże chciałyby cofnąć swoje wczorajsze okropne zachowanie. Tak bardzo pragnęła go przeprosić.

Gdyby mogła uciec do pokoju, zanim ją zobaczy, na pewno by to zrobiła. Ale on już wchodził do salonu. Poza tym księżna nadal obejmowała ją ramieniem. Zachowała się wczoraj tak podle, wręcz okrutnie. Teraz miała sposobność, żeby przeprosić.

Problem w tym, że była ostatnią osobą, którą rządcą Bewcastle'a chciałby spotkać na dzisiejszym obiedzie.

Sydnam wybrał się do pałacu mimo mżawki, mimo że zdecydowanie wolałby zostać w domu. Wszedł frontowymi drzwiami, oddał przemoczony płaszcz i kapelusz lokajowi, a potem skierował się do salonu. Rankiem Bewcastle osobiście zaprosił go na obiad. A kiedy księżę kogoś zapraszał, należało to traktować jak rozkaz, zwłaszcza gdy robił tak w imieniu żony.

- Księżna poczuła się rozczarowana, że nie przyszedł pan wczoraj na obiad - zaczął, przysuwając sobie po blacie bibliotecznego biurka jeden z rejestrów, jak to zawsze robił w Glandwr. - A ja, dziwna rzecz, nie lubię, żeby była rozczarowana, Sydnamie. Chociaż oczywiście rozumiem, że zaproszenie przyszło za późno. Dziś wieczór będzie inaczej.

Bewcastle, rzecz jasna, potrafił rozpoznać kłamstwo, choćby nawet miało wszelkie pozory prawdy. Sydnam nie przeczytał zaproszenia przed wyjściem na spacer, ale przecież widział list i mógł się domyślić, co zawiera. Świadomie go nie otworzył, póki nie było za późno.

- Przeproszę Jej Wysokość osobiście - odparł. Bewcastle przewracał stronicę rejestru, udając, że go nie słyszy. Dlatego Sydnam musiał się tu pojawić. Uśmiechnął się ze smutkiem, wyobrażając sobie wszystkich Bedwynów, zmuszonych zasiąść do stołu z opaskami na oku i prawymi rękami przywiązanymi do ciała. Nie powinien jednak być złośliwy Zaproszenie

świadczyło o uprzejmości. Cóż, człowiek jest tylko człowiekiem. Gdyby przez cały miesiąc ich pobytu nie otrzymał zaproszenia na obiad, czułby się przecież urażony.

Znów uśmiechnął się smutno na tę myśl.

Chyba się trochę spóźniłem, pomyślał, wchodząc do salonu. A nawet jeśli nie, to w każdym razie przyszedł ostatni. Wielkie wejście było akurat tym, czego najmniej sobie życzył. Stał w drzwiach, szukając wzrokiem Bewcastle'a i księżnej. Rannulf i Alleyne podeszli do niego, witając się. Pomyślał wtedy, że nie będą to chyba aż takie męczarnie.

Wielu z tych ludzi znał od dawna, a nikt z pozostałych nie życzył mu źle. Nikt nie będzie się w niego wpatrywał. No i nie było tam żadnych dzieci.

- Byłem na plaży - wyjaśnił Rannulfowi, gdy zapytał, dlaczego nie było go na wczorajszym obiedzie. - Mógłbyś mnie tam znaleźć, gdybyś tylko poszukał.

Drugi z braci poklepał go po prawym barku, co ucieszyło Sydnama, gdyż większość ludzi wolała unikać wszelkiego zetknięcia z prawą stroną jego ciała.

- Jak się masz? Nie widziałem cię od wieków! - oświadczył Alleyne. - Dostaliśmy mnóstwo listów od Lauren, jakiś tuzin od twojej matki, jeden czy dwa od Kita i jeden od twego ojca, ale ani rusz nie mogę sobie przypomnieć, co w nich pisali. A ty, Ralf?

- Założę się, że było tam coś o noszeniu ciepłej bielizny w dni deszczowe. - Ralf pokazał wszystkie zęby w uśmiechu. - Ja też niczego nie pamiętam. Może panie będą miały lepszą pamięć. Dobrze, że przyszedłeś, poznasz kogoś nowego, Syd. Ach, otóż i Christine.

Czy już spotkałeś naszą wspaniałą księżnę?

- Oczywiście. - Christine uśmiechnęła się do niego ciepło. - Miło mi, że zechciał pan nas dzisiaj odwiedzić.

- Muszę przeprosić za moją wczorajszą nieobecność. Nie było mnie w domu, a kiedy otworzyłem kopertę z zaproszeniem, okazało się, że... że jest już za późno.

Zająknął się, gdy ujrzał kobietę, którą księżna trzymała za rękę.

Rozpoznał ją od razu.

Co do jednego się nie mylił. Była uderzająco piękna. „Włosy koloru miodu, błękitne oczy ocienione długimi rzęsami, regularne rysy. A teraz, kiedy nie miała na sobie płaszcza, mógł dostrzec, że ma równie wspaniałą figurę.

Pierwsze wrażenie okazało się więc słuszne. To żona któregoś z Bedwynów.

Poczuł dziwne i całkowicie nieuzasadnione rozgoryczenie.

- Nie musi pan przepraszać - zapewniła go księżna. - Czy mogę panu przedstawić pannę Jewell□, dobrą znajomą Freyi i Joshuy? To pan Butler, nasz rządca.

Sydnam się skłonił. Ona dygnęła. Panna Jewell. Nazwisko bardzo odpowiednie. No i nie jest niczyją żoną. Nie budziła w nim jednak sympatii.

Przypomniało mu się, że śnił o niej zeszłej nocy. Stała na ścieżce, czekając na niego.

Podszedł do niej i dotknął jej policzka - palcami prawej ręki. Spojrzał w piękne błękitne oczy obydwójgiem swoich. Prosił, żeby go nie dotykała, bo nie chce się nigdy obudzić, ale odparła, że muszą się natychmiast obudzić, żeby poszukać jego ramienia, które spadło z urwiska, zanim uniesie je z sobą przyływ. Był to jeden z tych dziwnych, cudaczkich snów na granicy jawy i fantazji.

- Witam panią, panno Jewell.

- Dzień dobry, panie Butler - szepnęła w odpowiedzi. Nie lubił spotykać nieznajomych, choć dawno już zaniechał starań, żeby ukrywać przed nimi prawą stronę ciała. Jego oszpecenie musiało być czymś trudnym do zniesienia. Przedtem patrzono na niego wyłącznie z podziwem. Niektóre kobiety robiły to nawet z adoracją, choć nigdy nie uczynił z tego użytku. Był bardzo młody, kiedy jego życie całkiem się zmieniło. Uroda nie zdążyła uczynić go próżnym. Uważał ją za coś oczywistego, póki nie uległa zniszczeniu.

□ *Jewell* (z ang.) - klejnot (przyp. tłum.).

Wszyscy obecni zostali uprzedzeni o jego wyglądzie, zdał sobie sprawę, gdy wszedł do jadalni w towarzystwie Eleanor Thompson, siostry księżnej. Nikt się nie wzdrygnął.

Ale panna Jewell o niczym nie wiedziała. Uciekła przed nim wczoraj wieczorem, jakby był diabłem wcielonym. Czuł do niej niechęć, gdyż była piękna, choć wiedział, że to niemądre. Po prostu niektórym jest w życiu łatwiej.

Odwrócił się i zauważył, że Morgan siadła po jego prawej stronie. Zaczął rozmawiać najpierw z nią, a potem z panną Thompson. No, przynajmniej służba przyzwyczała się już, żeby nie stawiać przed nim niczego, co nie da się pokroić jedną ręką, a najlepiej widelcem.

Dostrzegł, że panna Jewell uśmiechnęła się serdecznie do barona Westona i powiedziała coś, co wywołało uśmiech na jego twarzy. Urzekła go, podporządkowała sobie bez reszty.

Nie, stanowczo nie powinien mieć o to do niej pretensji. Ani też nie powinien zazdrościć Westonowi i Alleyne'owi, którzy towarzyszyli jej przy stole.

O Boże, przecież nigdy nie był zazdrośnikiem ani złośliwcem. Nie obrażał się też o byle co.

Ujął łyżkę lewą ręką i nabrał nią zupy.

Obiad okazał się nie taki straszny, jak sądziła Anne. Nie wszyscy goście byli arystokratami czy potomkami arystokratów.

Pani Pritchard musiała kiedyś zarabiać na życie pracą w walijskiej kopalni, a jej siostrzenicę, Eve Bedwyn, wychowano na damę wyłącznie dlatego, że ojciec Eve dorobił się fortuny na węglu i kupił posiadłość ziemską. Żona Rannulfa, jak Anne się później dowiedziała, była córką wiejskiego proboszcza i wnuczką londyńskiej aktorki, o czym mówiła z prawdziwą dumą. Sama księżna zaś pochodziła z drobnego ziemiaństwa, o czym powiedziała jej rano. Szwagier księżnej był pastorem w małej wiejskiej parafii, a jej matka i siostra mieszkały tam w niewielkim domku.

Mimo to Bedwynowie traktowali ich wszystkich tak, jakby w ich żyłach płynęła najbłękitniejsza krew.

Oczywiście, nikt z nich nie miał nieślubnego dziecka, ale też nikt nie dał jej odczuć, że jest z tego powodu gorsza. Eve wypytywała o Davida i się śmiała, gdy Anne opowiadała, jak bardzo psują go nauczycielki i dziewczęta ze szkoły panny Martin.

- Dla jego własnego dobra muszę go posłać do męskiej szkoły, kiedy podrośnie - wyjaśniała. - Choć będzie to trudne dla niego i dla mnie.

- Na pewno - zgodziła się z nią Eve. - Davy pójdzie do szkoły w przyszłym roku, kiedy skończy dwanaście lat. Już teraz czuję się, jakby mi go zabierano.

I wymieniły między sobą uśmiechy - dwie matki zatroskane o swoje pociechy.

- Co za biedny człowiek - odezwała się pani Pritchard, gdy mężczyźni dołączyli do kobiet. Miała melodyjny walijski akcent. - Jak to dobrze, że nie należy do niższych sfer!

Nigdy by nie znalazł pracy po wojnie. Musiałby, jak wielu żołnierzy, żebrać, żeby nie umrzeć z głodu.

- Wątpię w to, ciociu Mari - zaprzeczyła Eve. - Pod powłoką spokoju i dobrych manier jest twardy jak stal. Pokonałby wszelkie przeciwności losu, nawet nędzę.

Najwyraźniej mówiły o panu Butlerze. Przez cały wieczór czuła się wobec niego winna. Dlatego właśnie unikała patrzenia na niego, choć bez przerwy miała świadomość jego obecności.

- Co się mu stało?

- Wojna - odparła krótko Eve. - Razem z bratem, wicehrabią Ravensbergiem, pojechał walczyć do Hiszpanii, mimo że wszyscy mu to odradzali. Brat przywiózł go niedługo potem do domu na wpół umarłego. Udało mu się wyzdrowieć. Zatrudnił się potem u Wulfrica i przyjechał tutaj. Wszystko to zdarzyło się, zanim jeszcze spotkałam Aidana, który też walczył w Hiszpanii, jako pułkownik jazdy. Był dowódcą mego brata, który z wojny nie wrócił. Och, jaka jestem szczęśliwa, że ona się wreszcie skończyła!

Jakiś czas później Anne spostrzegła, że Butler siedzi w najodleglejszym zakątku salonu, podczas gdy inni zasiedli do kart. Ona sama, wraz z panną Thompson oraz hrabiostwem Rosthorn, wolała pozostać przy stole. Wstała jednak i przeprosiła towarzystwo. Musi to zrobić, nim opuści ją odwaga. Nie może przecież przez cały wieczór nie zamienić z nim ani słowa, nawet jeśli wątpiła, by chciał z nią w ogóle rozmawiać.

Spojrzał na nią badawczo, gdy się do niego zbliżała, a potem wstał.

- Panno Jewell... Coś w jego zachowaniu i głosie mówiło, że wolałby zostać sam i że jej nie lubi. Nie mogła go za to winić.

Spojrzała mu prosto w oczy, świadomie stojąc dokładnie naprzeciw niego, żeby widzieć jego twarz. Miał czarną opaskę na prawym oku lub raczej w miejscu, gdzie ono niegdyś było. Całą prawą stronę - od czoła aż do podbródka i szyi - pokrywały czerwone ślady oparzeń. Pusty prawy rękaw był przypięty do poły wieczorowego stroju.

Zauważyła, że przewyższają o pół głowy, a pierś i ramiona ma szerokie. Najwyraźniej nie był kimś, kto demonstracyjnie obnosi się ze swoim kalectwem.

- Wróciłam tam - wyjaśniła - kilka minut po tym, jak uciekłam, ale już pana nie znalazłam.

Patrzył na nią w milczeniu.

- Przykro mi, że panią przestraszyłem. Nie chciałem tego. Powiedział to bardzo uprzejmie, ale wciąż wyczuwała, że jest do niej negatywnie nastawiony.

- Pan mnie źle zrozumiał. To mnie jest przykro. Wróciłam, żeby panu o tym powiedzieć. Bardzo mi przykro.

Cóż więcej mogła rzec? Zrobiłaby jeszcze gorzej, próbując się usprawiedliwiać.

I znów zaległa między nimi cisza na tyle długa, że stało się to krępujące. Już miała się odwrócić i odejść. W końcu powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Nic więcej nie pozostało.

- Postąpiła pani odważnie - odezwał się w końcu. - Ściemniało się, a cypel w nocy nie jest bezpiecznym miejscem. W dodatku byłem kimś obcym. Dziękuję, że pani tam wróciła, mimo że mnie już nie było.

A więc jej wybaczył! Nie wiedziała, czy nadal budzi w nim niechęć, ale to się już nie liczyło. Uśmiechnęła się i skinęła głową, chcąc się odwrócić.

- Czy nie zechciałaby pani usiąść koło mnie, panno Jewell? - Wskazał jej krzesło, stojące tuż przy swoim.

Trochę za długo się wahała, więc teraz z czystej grzeczności proponuje jej rozmowę.

Wolałaby odejść. Nie miała ochoty siedzieć tak blisko niego. Przecież nie może się przyznać nawet przed sobą, że patrzenie na tego mężczyznę sprawia jej przykrość.

Trudno było spoglądać na niego tak, jakby był kimś normalnym. Nie skupiać wzroku

na lewej stronie jego twarzy, nie odwracać oczu, żeby nie pomyślał, że nie chce go oglądać.

Czy ludziom, którzy znają jej przeszłość, też jest trudno traktować ją jak normalną kobietę? A jednak niektórzy potrafili to zrobić.

Usiadła, sztywno wyprostowana, na brzeżku krzesła i złożyła dłonie na kolanach.

- Jest pan bratem wicehrabiego Ravensberga? - spytała uprzejmym tonem, chociaż w głowie miała pustkę.

- Owszem.

No i co dalej? Nie wiedziała nawet, kim właściwie jest ten wicehrabia. Ulitował się nad nią.

- I synem hrabiego Redfielda z Alvesley Park w Hampshire. Te ziemie graniczą z Lindsey Hall, główną siedzibą Bedwynów. Moi bracia i ja wychowywaliśmy się razem z nimi. Były z nich prawdziwe półdiablęta, ale my w niczym im nie ustępowaliśmy.

- A pańscy bracia?

- Jerome, najstarszy z nas, zmarł na zapalenie płuc. Zapadł na nie po tym, jak ratował dzierżawców i ich rodziny przed powodzią. Zostaliśmy we dwóch, Kit i ja.

Nerwy po prawej stronie jego twarzy musiały widocznie ulec uszkodzeniu, bo była całkowicie nieruchoma, a usta krzywiły się lekko, gdy mówił.

- To musiała być dla pana ogromna strata.

- Istotnie.

Nigdy jeszcze zwykła rozmowa nie była tak trudna. Wszystko, co dotąd powiedziała, było przeraźliwie głupie. A tymczasem w głowie roilo się jej od pytań, których - jak dobrze wiedziała - nie mogła mu zadać.

Kiedyś musiał być bardzo przystojny, pomyślała.

- To było niemądre pytanie! Przecież nie mógłby pan na nie odpowiedzieć: „ależ skąd,

wręcz przeciwnie”.

Spojrzał na nią tak, jakby na końcu języka miał ostrą odpowiedź. Lecz potem w jego oku coś błysnęło i obydwójce się roześmiali. Lewy kącik jego warg uniósł się przy tym wyżej od prawego i ten krzywy uśmieszek wydał się jej dziwnie sympatyczny.

- Panno Jewell, czy moglibyśmy się umówić, że wczorajszego zdarzenia po prostu nie było i że widzimy się po raz pierwszy?

- Och! - Anne odchyliła się do tyłu na krześle. - Chciałabym, żeby tak właśnie było.

Jego lewa dłoń spoczywała na biodrze. Była to ręka o długich palcach, godna - jak pomyślała - artysty, ale pewnie się myliła. A może był leworęczny?

- Przez cały wieczór czułam się taka onieśmielona... - Zaskoczyły ją własne słowa.

- Doprawdy? A dlaczego?

Nie chciała tego mówić, lecz czekał na odpowiedź. - Joshua... lord Hallmere...

zaofiarował się, że zabierze tu mego synka, żeby chłopiec miał towarzystwo - wyjaśniła. -

Tylko że on ma ledwie dziewięć lat, a ja nigdy jeszcze się z nim nie rozstawałam. Ponieważ się wahałam, markiza Hallmere postanowiła zaprosić również i mnie. Zgodziłam się, bo nie chciałam, żeby syn był rozczarowany. Ale się nie spodziewałam, że potraktują mnie tutaj jak gościa.

Milczał, więc uznała, że powiedziała mu zbyt wiele. Ale może teraz to on okaże jej niechęć?

- Uczę i mieszkam w szkole dla dziewcząt w Bath. Bardzo lubię mój zawód, a

Davidowi zawsze było tam dobrze, lecz on przecież rośnie. Może powinnam była pozwolić, żeby przyjechał tu sam, tylko z Joshua? Chłopiec go uwielbia.

- Dzieciom potrzeba towarzystwa innych dzieci - odparł. - Potrzeba im także ojca,

zwłaszcza jeśli są chłopcami. Przede wszystkim jednak potrzebują matki, panno Jewell. Na

pewno postąpiła pani słusznie, przyjeżdżając tu razem z nim.

- Och... - Dziwne, że jego słowa niosły tak wiele pociechy. - Jak to uprzejmię z pańskiej strony.

- Mam nadzieję, że to nie Bewcastle panią onieśmiela. Ale jeśli tak jest, mogę panią pocieszyć. On onieśmiela niemal każdego. Pozbawiono go swobody, gdy umierający ojciec przerzucił na niego odpowiedzialność za ród. Bewcastle odziedziczył po nim tytuł, mając zaledwie siedemnaście czy osiemnaście lat. Nauczył się swojej roli dobrze - aż za dobrze, jak mógłby ktoś powiedzieć. Ale nie jest człowiekiem pozbawionym uczuć. Okazał mi wyjątkową życzliwość.

- Poznałam go dopiero dziś wieczór. Był dla mnie bardzo łaskaw, choć muszę przyznać, że o mało nie padłam na ziemię ze strachu.

Po raz drugi roześmiali się obydwójce.

- Księżna jest osobą niezwykle przyjacielską...

- Zdaniem Lauren, mojej bratowej, było to małżeństwo z miłości i stało się prawdziwą sensacją zeszłego sezonu. Nikt by nie przypuszczał, że właśnie Bewcastle zechce się ożenić z miłości. A jednak to zrobił.

Wniesiono tacę z herbatą. Gra w karty zbliżała się do końca.

- Muszę wrócić do siebie - powiedział. - Miło mi było panią poznać, panno Jewell.

Wsparła się obydwoma rękami na poręczach krzesła, żeby wstać. Zauważyła, że on podniósł się trochę wolniej ze swojego fotela. Na pewno utrata ręki i oka zaburzyła jego wyczucie równowagi. Jak długo musiał się do tego przyzwyczajać? I czy w ogóle mu się to udało?

- Muszę się pożegnać z księżną - powiedział, wyciągając ku niej rękę. - Dobranoc.

- Dobranoc, panie Butler.

Wyciągnęła z kolei rękę ku niemu, a on ją uściśnął i odszedł. Przygryzła wargę.

Oczywiście, powinna była mu podać lewą, jak zrobiła księżna. Wtedy ich pożegnalny uścisk nie wypadłby tak niezręcznie - jakby wykręcali sobie dłonie. Co za kłopot! I jaki żenujący!

Złożył ukłon księżnej, która uśmiechnęła się do niego życzliwie, położyła mu dłoń na ramieniu i nachyliła się ku niemu, jakby chcąc coś powiedzieć. Rannulf stanął przy nim i poklepał go po prawym barku. Wyszli z salonu.

Gdzie on mieszka? Czy go jeszcze zobaczy?

Nie miało to zresztą większego znaczenia. Wspomnienie wczorajszego incydentu przestało ją już nękać. Czuła ulgę z tego powodu. Następne spotkanie nie będzie tak trudne.

Czy czuje się samotny? Czy ma jakichś przyjaciół? Ludzie okaleczeni są zazwyczaj samotni. Pomyślała o swoim życiu w kornwalijskiej wiosce Lydmere. Większość czasu spędzała tam niemal w całkowitym odosobnieniu.

Była taka szczęśliwa, że w końcu znalazła przyjaźń, gdy zaczęła pracować w szkole. I że trzy z przyjaciółek - Claudia, Susanna i Frances - traktowały ją jak rodzoną siostrę. Trudno było w to uwierzyć po długich latach samotności.

Miała nadzieję, że pan Butler ma choć kilku przyjaciół.

- Napij się z nami herbaty, Anne. - Joshua pojawił się nagle przed nią. - Mam nadzieję, że dobrze ci z nami?

- O, tak. Bardzo ci jestem wdzięczna.

Przypomniała sobie słowa Butlera, że dzieciom najbardziej potrzeba matki, i uznała, że postąpiła dobrze. David będzie mógł się teraz całymi dniami bawić z innymi. Uściskał ją mocno, gdy przysłała powiedzieć mu dobranoc.

- Dziękuję ci, mamó. Tak się cieszę, że tu przyjechaliśmy!

„Przyjechaliśmy”, a nie „przyjechałem”.

Gotowa była znosić wszelkie niedogodności i zażenowanie, byle tylko David był szczęśliwy. Wprawdzie w szkole wszyscy go lubili, ale brak mu było bliskich przyjaciół.

No i ojca.

Prawie cały następny dzień Sydnam był bardzo zajęty. Nigdy nie brakowało mu okazji do wynajdywania sobie zajęć, ale teraz oprócz zwykłych obowiązków musiał przeprowadzić z księciem poranne inspekcje dworskich farm, jak również farm dzierżawców. Księżę nie mógł zbyt długo przebywać w swojej walijskiej posiadłości, ale wiedział o niej wszystko, co trzeba, odkąd zaczął przeglądać comiesięczny raport Sydnama. Kiedy przyjeżdżał, nie musiał już poświęcać zbyt wiele czasu sprawdzaniu ksiąg. Zajmowały go raczej konne przejażdżkach i wycieczki po okolicy, podczas których rozmawiał z ludźmi i przyglądał się ich życiu.

Od niedawna Bewcastle był także mężem i Sydnama często zaskakiwało, że księżę wraca do domu w południe, bo księżna ma zamiar urządzić po południu piknik na plaży.

Dawnemu Bewcastle'owi nawet by się nie śniło uczestniczyć w tak płochych rozrywkach.

Księżna wydawała się Sydnamowi dość zwyczajną kobietą. Była ładna, ale nie piękna, starannie ubrana, ale nie wytworna, uprzejma i życzliwa, ale nie za bardzo wyrafinowana i ani trochę nie despotyczna. Miała żywe usposobienie i lubiła się śmiać. No i była córką wiejskiego nauczyciela. W sumie zupełnie przeciwieństwo cech, których spodziewano by się po żonie Wulfrica. Najbardziej Sydnama zdumiewała osobliwa władza, jaką miała nad mężem. Bewcastle raz się nawet do niej uśmiechnął zeszłego wieczoru, coś niesłychanego! Obecność księżnej sprawiła, że Sydnam zaczął się czuć osamotniony. To musi być coś wspaniałego, mieć kogoś, dla kogo rzuca się codzienną pracę, nawet z tak błahej okazji, jak piknik na plaży. Kogoś, kto zdoła zmusić cię do uśmiechu.

A teraz Bewcastle'owie mieli też dziecko.

Przez całe popołudnie trzymał się z dala od plaży. Nie brał udziału w pikniku, a poza

tym nie chciał przestraszyć dzieci. Znalazł sobie jakieś zajęcie na farmie. Nie było powodu, by spędzać ciepły letni dzień w domu, skoro na walijskim wybrzeżu tak często pada deszcz. Późnym popołudniem, kiedy wracał do domu, usłyszał odgłosy partii krykieta rozgrywanej na trawniku przed pałacem. Uczestniczyło w niej kilka osób. Piknik na plaży niewątpliwie już się skończył. Będzie się mógł tam wybrać.

Sydnam kochał plażę. Lubił też przypatrywać się cyplowi. Można było w nim dostrzec całą dzikość natury, jej potencjalne okrucieństwo i piękno. Plaża była dla niego szerokim łukiem złotego piasku, ziemią w jej najbardziej elementarnej formie, niszczoną przez żywioł oceanu.

To właśnie podczas długich godzin spędzonych na plaży zdawało mu się, że ścisła w prawej ręce pędzel i doświadcza wizji, której nigdy nie przeniesie na płótno. Bywało, że miał tych wizji aż za dużo.

Był akurat w połowie drogi między urwiskiem a plażą, gdy zdał sobie sprawę, że nie wszyscy wrócili do domu. Jedna z osób pozostała i szła brzegiem morza po błyszczącym, wilgotnym piasku odsłoniętym przez odpływ. Ręką podtrzymywała suknię, a w drugiej niosła buty.

Westchnął głośno. Już miał zawrócić, czując nieuzasadnione rozgoryczenie, gdy zdał sobie sprawę, że myśli o parku i o plaży jak o swojej własności, a przecież nią nie były. Należały do Bewcastle'ów, a panna Jewell była ich gościem. Bo to właśnie ona szła po piasku.

Och, jest tu dość miejsca dla nich obojga. Plaża była przecież rozległa, a odpływ powiększał ją z każdą chwilą. Ruszył dalej. Hm, miała syna, ale mówiono do niej „panno”. Uczyła w szkole dla dziewcząt, a syn mieszkał tam razem z nią. Joshua i Freya znali ją, i to oni zaprosili ją tutaj. Chociaż właściwie Hallmere chciał tutaj przywieźć tylko chłopca.

Dopiero Freya zaprosiła również i jego matkę.

Wydało mu się dziwne, że Bewcastle'owie ją tutaj zaprosili. Nie wspomniała o niczym, co mogłoby wyjaśniać ich zainteresowanie jej synem. Dlaczego księżę toleruje obecność niezamężnej kobiety z nieślubnym dzieckiem? Sydnam zastanawiał się nad tym przez chwilę, aż w końcu uznał, że obecność panny Jewell w Glandwr to nie jego sprawa. Wolałby wszakże, by Freya jej nie zapraszała. Panna Jewell burzyła jego spokój. Mile go zaskoczyło, że przeprosiła go wczoraj wieczorem. Dobrze się czuł podczas ich krótkiej rozmowy, a w nocy znów mu się przyśniła. Tym razem to ona stała na cyplu, a on szedł ścieżką. Miała na sobie luźny, przejrzysty strój, który powiewał na wietrze, a długie włosy barwy miodu były rozpuszczone i trzepotały, odrzucone do tyłu. Gdy się do niej zbliżył i wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, spojrzała na niego ze zgrozą, odwróciła się i uciekła na skraj urwiska. Chciał ją zatrzymać ramieniem, którego nie miał. Obudził się gwałtownie, gdy spadał ze skały.

Nie życzył sobie nonsensownych snów. I tak miał dość udręki z własnymi koszmarami.

Zszedł ścieżką na dół, przedarł się przez osypisko u stóp skał i stanął na piasku, patrząc na nieświadomą jego obecności pannę Jewell. Wystawiała twarz na wiatr, przechylając powoli głowę z boku na bok, aby owiewał równomiernie jej policzki. Sydnam dostrzegł teraz, że kobieta trzyma w ręku zarówno buty, jak i kapelusz.

Dziwne, wydała mu się zupełnie inna niż dzień wcześniej. Wtedy myślał o niej jak o przepięknej kobiecie, która nie doznała w życiu żadnych trosk i jest osobą płytką i niezdolną do współczucia. Wiedział wtedy o niej tylko tyle, że uciekła, widząc go po raz pierwszy, i dlatego wzbudziła w nim niechęć.

Ale wczoraj przyszła go przeprosić. A potem wspomniała o dziecku i o tym, jaka

czuje się onieśmielona wśród Bewcastle'ów. Zdał sobie wówczas sprawę, że uroda nie zapewniła jej poczucia bezpieczeństwa. A potem doszedł do wniosku, że niezamężne matki nie mają łatwego życia. Może wycierpiała równie wiele jak on, choć z zupełnie innych powodów?

Ruszył. Chciał pójść w przeciwnym niż ona kierunku, lecz musiała go dostrzec kątem oka, bo odwróciła ku niemu głowę i się zatrzymała.

Zachowałby się po grubiańsku, gdyby poszedł teraz swoją drogą. Niechętnie podszedł więc do niej.

Była w bladoniebieskiej sukni z wysokim stanem, której skraj unosiła nad kostką.

Uczesanie miała prostsze niż wczoraj, ale było jej w nim bardziej do twarzy. Wydawało mu się, że to jedna z najpiękniejszych kobiet na Ziemi. Co dziwne, wyglądała tak, jakby to było właściwe dla niej miejsce. Jakby do niego należała.

- Wszyscy poszli już do domu. Zostałam, żeby nacieszyć się ciszą po całym tym gwarze i zamieszaniu.

- Przepraszam, że pani przeszkodziłem.

- Och, bynajmniej. Założyłabym się, że to właśnie ja przeszkadzam panu.

- Czy piknik się udał? - spytał, zatrzymując się na granicy mokrego piasku, tuż przed nią.

- Raczej tak. - Przez chwilę wyglądała na zasmuconą, lecz zaraz coś ją rozbawiło.

Zaskoczyło go to. - Księżna wraz z kilkorgiem dzieci weszła do wody, ale straciła równowagę i upadła, a wtedy książę pospieszył jej na pomoc. W ubraniu i w butach, więc był później prawie tak samo mokry, jak ona. Inni uznali to za świetny kawał, a dzieci nie posiadały się z radości. Księżna śmiała się z całego serca, mimo że szczekała zębami.

- Cóż to musiał być za widok - Bewcastle brnący przez wodę w butach! Czy on też się

śmiały?

- O nie, ale oczy tak mu błyszczały, jakby chichotał w duchu. Uśmiechnęli się obydwój. Spostrzegł, że zęby także miała wspaniałe, białe i równe.

- Powinnam wrócić do domu - jej uśmiech zbladł - i zostawić pana w spokoju.

Istotnie, właśnie tego sobie życzył. Dlatego tutaj przyszedł. Nie po to, żeby się jej przyglądać. A jednak...

- Czy pójdzie pani ze mną na spacer? - zaproponował.

Nagle zrozumiał, co mu się w niej najbardziej spodobało. Spoglądała mu prosto w twarz. Ludzie zazwyczaj starali się nie patrzeć na niego wcale albo zatrzymywali wzrok na jego lewym uchu lub ramieniu. Wolał wtedy odwracać nieznacznie głowę, żeby nie czuli do niego wstrętu. A z nią nie musiał tego robić.

Być może czuła do niego odrazę, jakżeby mogło być inaczej? Mimo to traktowała go z niezwykłą uprzejmością. Był jej za to wdzięczny.

- Chętnie. - Spojrzała na jego wysokie buty i znów się uśmiechnęła. - Czy mam wejść na suchy piasek?

On jednak naumyślnie wstąpił na mokry i szedł koło niej.

Przez chwilę milczeli. Sydnam patrzył, jak słońce migocze na wodzie, i czuł lekki wiatr na lewym policzku. Wciągał w płuca ciepłe, pachnące solą powietrze. Zdawało mu się, że jest tu u siebie. Pięć lat temu przyjechał do tego zapadłego kąta Walii, bo Kit wrócił do domu z wojny. Małżeństwo brata z Lauren sprawiło, że Sydnam nie chciał dłużej pozostawać w Alvesley jako młodszy syn, który kurczowo czepiał się rodzinnego domu, bo nie potrafił rozpocząć życia na własny rachunek. Przybył tu jako rządcą Bewcastle'a i starał się wykonywać swoją pracę równie dobrze, jak ktoś z obydwoma rękami. Na początku czuł się jednak obco. Przez jakiś czas traktowano go jak wyrzutka. Wiedział, że ludziom trudno

przebywać w jego towarzystwie i patrzeć na niego.

Wytrwał jednak i od dwóch lat czuł, że trzyma go tutaj jakaś dziwna siła. Nigdy nie mówił z Bewcastle'em o Ty Gwyn, ale kiedyś będzie musiał tak zrobić. Chciał mieć tu własny dom.

Świadomość, że koło niego idzie kobieta, była dla niego miła. Nikt jej do tego nie zmuszał. Mogła mu bez trudu odmówić.

- Czy czuje się pan samotny? - spytała nagle. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

Zmieszała się.

- Przepraszam - powiedziała. - Czasami myślę na głos.

Czy czuje się samotny, bo jest okaleczony, oszpecony i żyje w miejscu, które musi się jej wydawać zapadłą dziurą? Pierwszą reakcją Sydnama był gniew. Okazała się taka sama, jak wszyscy. Dlaczego sobie uroił, że będzie inna?

- A pani? - spytał cierpko.

Znów odwróciła od niego wzrok. Opuściła skraj sukni. Kapelusz i buty trzymała teraz oburącz za plecami.

- Mieszkam w szkole dla dziewcząt i rzadko miewam trochę czasu dla siebie. Muszę się zajmować moim synem. Mam przyjaciółki wśród nauczycielek. Często koresponduję ze znajomą, która niegdyś uczyła w naszej szkole, a teraz została hrabiną Edgecombe. Jakże mogłabym być samotna?

- Ale mimo to tak się pani czuje?

Nagle zrozumiał, że pytań nie dyktowała jej niezdrowa ciekawość, tylko własna samotność. Widocznie ujrzała w nim pokrewną duszę. A może on poczuł między nimi jakieś pokrewieństwo? Bo przecież wiedział, że jest samotna, choć wydawało się to nieprawdopodobne. Ale dlaczego kobieta tak piękna była samotna? Czy dlatego że urodziła

nieślubnego syna?

- Chyba nawet nie wiem, czym jest samotność. Może lękiem przed przestawianiem wyłącznie z sobą? Ja takiego lęku nie czuję, lubię być sama.

- A więc czego pani się boi? Spojrzała na niego przelotnie, a wyraz jej twarzy powiedział mu wszystko, nim jeszcze znalazła odpowiednie słowa.

- Tego, że nie odnajdę własnej tożsamości - rzuciła po chwili milczenia. Sydnam sądził już, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Utraciła ją pani?

- Nie jestem pewna. Usiłowałam być jak najlepszą matką. Próbowалам, tak czy inaczej, zastąpić Davidowi ojca. Myślałam, że jeśli wyrosnie na kogoś szczęśliwego i twórczego, ja również stanę się szczęśliwa. Ale co ze mną będzie, jeśli mi go zabraknie? Musi przecież pójść do szkoły, a potem wydorosłeje. Czy zdołam przetrwać tę czarną dziurę, którą się stanie kilkanaście lat zupełnej pustki? Och, cóż ja plotę? Z nikim o tym jeszcze nie rozmawiałam. Tak naprawdę staram się o tym nie myśleć.

- Czasami łatwiej się zwierzyć obcej osobie niż przyjacielowi czy krewnemu.

- A czy pan jest kimś takim? - Znow spójrzała na niego, a on dostrzegł, że skóra zaczęła jej już ciemnieć od słońca i wkrótce pokryje się niepożądaną opalenizną.

- Współczującym nieznajomym? Tak. Czy nie zauważyła pani, że ludzie prędzej przyznają się do występku czy gafy niż do samotności? Zupełnie jakby było w niej coś hańbiącego.

- Tak... A ja jestem samotna - powiedziała pospiesznie, bez tchu. - Straszliwie samotna. Owszem, jest to coś żenującego, ale czy nie świadczy o niewdzięczności? Mam przecież syna.

- Który aż się pali, żeby przebywać w towarzystwie innych dzieci.

- Zdarzyło się coś bardzo przykrego - odparła pospiesznie. - Właśnie dlatego

odłączyłam się od innych. Gdy wszyscy stąd odchodzili, odruchowo chciałam go wziąć za rękę. Czasami zapominam, że już nie jest małym dzieckiem. David jęknął „och, mam!” i podbiegł pędem do Joshuy, który gawędził z nim potem, mimo że niósł własnego synka na barana. Żaden z nich nie chciał mnie źle potraktować i nie powinnam mieć do nich żalu, to po prostu śmieszne. W końcu mogłam wrócić do domu z całą resztą. A tymczasem poczułam się bardzo samotna i przygnębiona. Czy mam walczyć o uczucia syna z innymi dziećmi i dorosłymi, którzy zechcą poświęcić mu trochę uwagi? I czego właściwie chcę? Przecież jestem z niego dumna. Nienawidzę własnej małościowości!

Jakże się mylił co do niej. Uroda nie liczyła się w jej życiu, bo powoli i nieodwracalnie ulegało ono zmianom w miarę dorastania syna. Kim właściwie był jego ojciec? Co się z nim stało? Dlaczego go nie poślubiła? I - co ważniejsze - dlaczego on się z nią nie ożenił?

- Nikt - odparł stanowczo - nie może z panią rywalizować pod tym względem, teraz ani w przyszłości, panno Jewell. Pani jest matką chłopca. Pani mu zapewnia miłość, pociechę, wsparcie, bezpieczeństwo i aprobatę. I zawsze tak będzie. Nikt nigdy nie zastąpi mi pod tym względem mojej matki. Ale relacja matka - syn nie jest wystarczająca. On jest samotny, mając tylko panią, a pani jest samotna, mając tylko jego.

- Przecież mam przyjaciół.

- Ja także. Mieszkam tu od pięciu lat i zjednałem sobie kilkoro ludzi, a niektórzy z nich są mi tak bliscy, że mogę na nich liczyć w każdej potrzebie. Mogę też z nimi rozmawiać na każdy temat. Mam w Hampshire rodzinę - matkę, ojca, brata, bratową - która kocha mnie szczerze i zrobiłaby dla mnie wszystko.

Zauważył, że panna Jewell nie wspominała o swojej rodzinie. Tylko o synu.

- A jednak jest pan samotny?

- Tak - przyznał.

Nie mógł uwierzyć, że powiedział te słowa na głos. Tym bardziej że były one prawdziwe, absolutnie prawdziwe.

- Dziękuję panu - powiedziała nieoczekiwanie i nabrała tchu, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale tego nie zrobiła.

Za co mu dziękowała? A jednak i on czuł, że jest jej za coś wdzięczny. Spytała go o samotność, a potem przyznała się do własnej. I do poczucia zagrożenia. Połączyła ich wspólnota bolesnych doświadczeń i niepewności losu, tak jakby w jego własnej samotności nie było nic wyjątkowego ani żalosego.

Zbyt dużo ludzi darzyło go litością, by pragnął litować się sam nad sobą, lecz nie zawsze mu się to udawało, zwłaszcza na początku. Przywykł do swojej samotności, jeśli w ogóle można do niej przywyknąć.

- Lepiej już wróć - powiedziała. - Gdy tylko rozstaję się z Davidem na godzinę czy dwie, tęsknię za nim niewyobrazalnie. Och, jak to głupio zabrzmiało! Dziękuję panu za przechadzkę. To było bardzo miłe pół godziny.

- Może, gdy pani syn będzie zajęty zabawą z innymi dziećmi, a pani dokuczy sytuacja przymusowego gościa, zechce pani jeszcze raz pójść ze mną na przechadzkę? No cóż... mniejsza o to. - Poczł się nagle zakłopotany.

- Chętnie - odparła pospiesznie.

- Naprawdę? Może jutro o tej samej porze? Wie pani, gdzie mieszkam? W tamtym domku.

- W tej ładnej chatce krytej strzechą?

- Właśnie w niej. A więc... może jutro znów przespacerujemy się tym samym

szlakiem?

- Zgoda. Spojrzeli na siebie i Sydnam zauważył, że przygryzła dolną wargę.

- A więc do jutra - odpowiedziała. Odwróciła się i bosy ruszyła ku ścieżce.

Patrzył za nią. Przeprosiła go za wynurzenia o synu, ale jej słowa nadal rozbrzmiewały w jego myślach i przez chwilę poniosła go fantazja.

A gdyby tak właśnie o nim, Sydnamie Butlerze, a nie o synu, powiedziała, że tęskni za nim niewyobrażalnie?

Następnego ranka walebny Charles Lofter z żoną pojechali do pobliskiego miasteczka odwiedzić proboszcza. Wzięli ze sobą panią Thompson i dzieci, a wśród nich także i dziesięcioletniego Alexandra.

Księżna Bewcastle w towarzystwie Aidana i Eve wybrała się na pogawędkę do sąsiadów, których poznali podczas ostatniego pobytu w Walii. Davy i Becky również poszli na tę wizytę, lecz synek księżnej i dwuletnia córeczka Eve, Hannah, pozostali w domu.

Zarówno pastor Lofter, jak i księżna chcieli zebrać ze sobą Davida. Chłopiec wolał jednak zostać. Anne znalazła go w pokoju dzieciennym. Bawił się znakomicie z młodszymi dziećmi. Maluchy wyklócały się zawzięcie, które z nich David weźmie na barana.

- Teraz kolej na Laurę - oświadczył chłopiec - a potem na Mirandę.

Jedno z bliźniąt Alleyne'a wdrapało mu się na ramiona i David obiegł z nim wokoło cały pokój, udając, że rży i parska. Anne przygarnęła go do siebie ze śmiechem, podczas gdy Miranda, córeczka Rannulfa, podskakiwała z niecierpliwości, czekając na swoją kolej.

Dziesięć minut później David oświadczył, że koń jest głodny, i odszedł wraz z Anne, zarumieniony, rozczochrany i szczęśliwy.

- Prosiły mnie, żebym z nimi został, więc się zgodziłem - wyjaśnił.

- Ładnie postąpiłeś - odparła, odgarniając mu z czoła niesforny lok, który zaraz opadł z powrotem. Wiedziała, ile znaczą te zabawy dla chłopca, który w Bath przez wszystkich był traktowany jak małe dziecko. Tutaj to on był najstarszy.

- Wieczorem będę grał ze wszystkimi w krykieta - oznajmił. - Kuzyn Joshua nauczy mnie rzucać kulą.

Kuzyn! Przez chwilę była zła. Nigdy się nie pogodziła z zażyłością między chłopcem a Joshua, mimo że lubiła tego ostatniego i doceniała wszystko, co dla niej robił. Pohamowała

się jednak i nie nauczyła synka, że powinien mówić „lord Hallmere”. „Kuzyna Joshuę” musiał mu ktoś podsunąć. David nie wymyśliłby tego sam.

- Potrafisz grać w krykieta?

- Jeszcze nie - przyznał - ale księżna mi powiedziała, że dobrze sobie radzę. I

obroniłem bramkę przed lordem Rannulfem, choć myślę, że on trochę oszukiwał.

- A więc - odparła z rozbawieniem i się nachyliła, żeby podnieść Julesa Ashforda, synka hrabiego Rosthorna, który uczepił się nogi Davida - chcesz się nauczyć, jak go pokonać nawet wtedy, kiedy nie pozwoli ci już łatwo wygrać? - Uniosła malca na rękach wysoko w górę, aż zaczął się śmiać, a potem opuściła go na tyle, żeby obydwójce mogli zetknąć się nosami.

- Mamo - zaczął David z wyraźną nadzieją w głosie - lady Rosthorn powiedziała, że dziś rano będzie malować. I obiecała, że jeśli z nią pójdę, pozwoli mi używać sztalug i farb. Czy możemy pójść razem z nią? Proszę. Mogłabyś popatrzeć.

- To bardzo uprzejmie z jej strony - powiedziała Anne. Dziecko w jej ramionach domagało się, żeby uniosła je jeszcze raz. Zrobiła to i roześmiała się razem z malcem. David zawsze lubił rysować i malować. Uważała, że dobrze mu to idzie. Pan Upton, nauczyciel rysunków, mówił, że chłopiec ma prawdziwy talent, który należy rozwijać.

- Zaskarbiła sobie pani raz na zawsze uwielbienie mojego syna - odezwał się spoza jej pleców hrabia Rosthorn. - Ale gotów panią zamęczyć. Chodź do mnie, maluchu!

Jules już wyciągał ku niemu rączki. Hrabina weszła do pokoju w ślad za mężem.

- Czy mama się zgodziła, Davidzie?

- Mam nadzieję, że mój syn nie sprawi pani kłopotu.

- Ależ skąd - zapewniła ją hrabina, przytulając trzyletnią córeczkę, która podbiegła do niej przez całą długość pokoju. - Cieszę się, że David interesuje się malarstwem. A ty,

Jacques, kochanie moje, pójdiesz z tatą, Julesem i ciocią Judith pooglądać owce. Może nawet przejedziesz się na którejś, jeśli tylko tata zdołają złapać! Czy to nie będzie wspaniałe?

- Zwłaszcza moja pogoń za owcą. - Hrabia westchnął.

- Może wybierze się pani razem ze mną i z Davidem? - spytała hrabina. - Idę malować morze. Wciąż wierzę, że uda mi się uchwycić jego istotę, choć mówiono mi, że to po prostu niewykonalne.

- Ja tak nie uważam, moja droga - zapewnił ją hrabia. - Rzekę potrafiłaś namalować prześlicznie!

Poranek był piękny, słoneczny i Anne czuła się doskonale. Hrabina rozstawiła sztalugi na cyplu, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie trzy dni temu stał Sydnam Butler. Anne wybrałaby raczej jakieś bardziej malownicze miejsce, lecz hrabina usiadła, objęła kolana rękami i wyjaśniła, o co jej chodzi.

- Moja guwernantka doprowadzała mnie do szału, kiedy wskazywała mi najpiękniejsze fragmenty parku wokół Lindsey Hall i pouczała, jak mam malować kwiaty, drzewa i ptaki. A potem zaglądała mi przez ramię i krytykowała wszystko, próbując mówić mi, co mam robić i w jaki sposób. Tymczasem malarstwo nie ma nic wspólnego z banalnym pięknem i trzymaniem się regulek, przynajmniej ja tak sędzę. Nie trzeba wcale przedstawiać tego, co się widzi, tylko dotrzeć do ich wnętrza.

- Widzieć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę - wtrącił się nieoczekiwanie David.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - A więc ty to rozumiesz! Czy wybrałam takie miejsce, którego nie chciałbyś malować?

- Nie. Ja mógłbym malować wszędzie. Anne siedziała obok nich, rozmyślając. Po południu pójdzie na spacer z Sydnamem Butlerem. Tym razem zaprosił ją wcześniej, a ona się zgodziła. A jeszcze dwa dni temu miała wrażenie, że jej nie lubi. Ale to było jeszcze przed

ich pierwszą rozmową. Problem w tym, że wciąż czuła się nieswojo w jego towarzystwie, chociaż spędzili razem trochę czasu. Niełatwo było na niego patrzeć.

A przecież mnóstwo sobie powiedzieli podczas poprzedniego spaceru. Wprost niewiarygodne, że tak otwarcie rozmawiała z nim o tylu rzeczach, o których zazwyczaj wolała milczeć.

Rzadko myślała o sobie jako o kimś samotnym.

Miała dwadzieścia dziewięć lat. Dziesięć lat temu jedyne, czego się spodziewała, to zwykle, szczęśliwe życie z mężczyzną, którego sama wybrała. Wtedy jeszcze wierzyła, że będą żyli długo i szczęśliwie. Ale potem urodziła Davida. A przedtem nastąpiło coś, co sprawiło, że cała jej przyszłość legła w gruzach.

Przez dziewięć lat David był dla niej wszystkim. Teraz też żyła tylko dla niego. Ale to się musi zmienić. Dobrze o tym wiedziała. Chłopiec dorastał i nie mógł wiecznie stanowić centrum jej egzystencji. Powinna patrzeć w przyszłość i zacząć ją planować.

I wcale nie to jest najważniejsze, czy zrealizuje swoje plany. Ale jeśli nie będzie ich snuła i skupi się jedynie na chwili obecnej, straci nadzieję na to, że cokolwiek się zmieni w jej życiu.

To brak nadziei sprawiał, że czuła się samotna. Niekiedy nawet stała na skraju rozpacz. Czy przyjdzie jej spędzić całe życie w szkole u Claudii Martin? Bardzo lubiła swoją pracę i uczennice - zwłaszcza dziewczęta, których naukę opłacało towarzystwo dobroczynne - a także samą Claudię, Susannę i pozostałe nauczycielki. Wydawało się więc, że nie jest to przygnębiająca perspektywa.

I niczego nie zmienił fakt, że Sydnam Butler zaprosił ją na przechadzkę. To zupełnie bez znaczenia. Sydnam zrobił to, bo chciał z nią spędzić nieco czasu. A ona się zgodziła, bo chciała spędzić nieco czasu z nim. Tylko tyle.

Zupełnie proste.

Nie liczył się jego wygląd. W końcu się do niej nie zalecał.

Była mu wdzięczna, a nawet czuła się zaszczycona, że w ogóle zaprosił ją na spacer.

Przez dziesięć lat żaden inny mężczyzna tego nie zrobił.

David pierwszy skończył malować. Wypłukał pędzle i spojrzał na nią.

- Chcesz zobaczyć, mamó? Jako temat wybrał skałę, tak bardzo wystającą poza cypel, jakby chciała się od niego oderwać i spaść na plażę, lecz wciąż - choć tylko w jednym miejscu - była z nim złączona. David namalował ją tak, że Anne mogła dostrzec szczegóły, które jej wcześniej umknęły, chociaż siedziała tu kilka godzin. Posłużył się też kilkoma kolorami, żeby oddać to, co dla niej było po prostu szarością i bladą zielenią. Wielu dorosłych, w tym i ona, byłoby dumnych z takiej pracy.

- Pan Upton miał rację, kiedy cię chwalił.

- Ależ to zwykły obrazek, mamó! Hrabina uśmiechnęła się do nich spoza sztalug.

- Podziwiam pani cierpliwość. David i ja nie byliśmy zbyt interesującym towarzystwem. Mogę zobaczyć, co namalowałaś?

Gdy skinął głową, podeszła i obejrzała jego pracę.

- Ach! - odezwała się po chwili. - Masz oko prawdziwego artysty. Może teraz ty obejrzysz moją akwarelę?

David podszedł do jej sztalug, Anne podążyła za nim.

- Ho, ho! - zawołał. Obydwoje stali przez chwilę bez słowa. Morgan namalowała rozmigotane w słońcu morze, odbijające błękit nieba, po którym sunęło kilka obłoczków.

Anne nie uznałaby jednak tego malowidła za ładne. Nie było zwykłym przedstawieniem rzeczywistości. Mimo że trudno to było ująć w słowa, zdawało się wciągać widza w głąb wody i nieba.

David powiedział wcześniej, że trzeba widzieć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

Gdzie się tego nauczył?

- Patrzcie, kto przyszedł! - Morgan zaczęła nagle machać dłonią. - Sydnam! Miło cię widzieć.

Anne się obejrzała. Istotnie, szedł ścieżką wzdłuż urwiska, ubrany dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Był dziś w kapeluszu. Uchylił go na jej widok.

David przywarł do niej, jakby się chciał za nią schować.

- Mamo... - wyszeptał. Zabrzmiało to niemal jak jęk.

- Dzień dobry, Morgan. Witam, panno Jewell. - Butler zatrzymał się na ścieżce. - Czyż to nie piękny dzień? Właśnie wracam z farmy.

- A my malowaliśmy, jak widzisz - wyjaśniła Morgan. - Może zechcesz wytknąć mi wszystkie błędy w moim bohomazie?

Przez chwilę jakby się wahał, lecz potem jej posłuchał. Spojrzał przelotnie na Anne.

Serce zabiło jej nieco mocniej, co było dość absurdalne - zupełnie jakby łączył ich jakiś wspólny sekret. Przecież chodziło o zwykłą przechadzkę.

Co za idiotyzm! Czują się, jakby to był rodzaj zalotów. Och, to nieznośne!

- Czy kiedykolwiek krytykowałem twoje malarstwo, Morgan? - spytał, stając przed sztalugami. David przywarł jeszcze mocniej do jej boku. - Nie przypominam sobie.

- Istotnie, nigdy, zawsze byłeś życzliwy i zawsze mnie zachęcałeś. Ale też zawsze czułam wtedy nerwowe napięcie.

- To... - rzekł po chwili milczenia, która wydała się bardzo długa, wskazując głową obrazek - jest doprawdy bardzo dobre, Morgan. Zrobiłaś ogromne postępy, odkąd ostatni razem widziałem twoje prace.

- No, może to jest coś niecoś warte. - Zaśmiała się. - Ale dziś rano przyszedłam tu z

kolegą. Poznaj Davida Jewella, syna panny Anne. Davidzie, to pan Butler, tutejszy rządcą i mój dobry przyjaciel z dzieciństwa.

- Witaj, Davidzie. - Sydnam Butler przeniósł na niego wzrok.

- Dzień dobry. - David się uklonił, ale zaraz potem przytulił się jeszcze mocniej do matki.

- To, co ja namalowałem, nie jest takie dobre, jak tamto - powiedział.

- W obydwu pracach można dostrzec coś, co głęboko porusza - zabrała głos Morgan. - Pamiętam, jak mi to powiedziałaś, kiedy uznałam, że nigdy nie potrafię malować tak jak ty. Anne przypomniała sobie, że długie palce Sydnama wydały się jej godne artysty. A więc rzeczywiście nim był!

- Czy mogę zobaczyć, co namalowałeś, Davidzie? - spytał Butler.

Wszyscy odstępili od sztalug chłopca. David nadal tulił się do Anne.

- To jest takie sobie.

Butler przyglądał się jego pejzażowi z takim samym skupieniem, jak przedtem malowidłu Morgan.

- Ktoś cię już nauczył, jak za pomocą wielu kolorów oddać jeden, który widzimy, patrząc na coś.

- Pan Upton - wyjaśnił David. - Nauczyciel rysunków w szkole mamy.

- Jak na swój wiek świetnie przyswoiłeś sobie lekcję. A gdybyś namalował tę samą skałę o innej porze dnia lub przy odmiennej pogodzie, posłużyłbyś się innymi barwami, prawda?

- A ona by wtedy wyglądała inaczej - odparł David. - Światło bywa dziwną rzeczą.

Pan Upton mi o tym powiedział. Ono jest jak tęcza. Ma w sobie wszystkie kolory na raz, choć nie możemy tego dojrzeć.

- Prawda, że to niezwykle? - zgodził się Butler. - A jeśli o tym pamiętamy, wiem też, że wokół nas istnieje całe mnóstwo rzeczy, których nie dostrzegamy, bo mamy tylko pięć zmysłów. Wiesz, jakich?

- Wzrok, dotyk, węch, słuch i smak - wyliczył David na palcach. - Ale może istnieć jeszcze wiele innych zmysłów, których my nie mamy. Panna Martin mi o tym powiedziała.

Sydnam Butler wskazał na malowidło miejsce, w którym skałę łączyła z cyplem zdawałoby się tylko kępka trawy.

- Lubię patrzeć na ten punkt - wyjaśnił. - Skała oderwie się kiedyś, ale teraz wygląda tak, jakby wciąż kurczowo trzymała się cypla i pragnęła pozostać w tym miejscu jak najdłużej. Jesteś bystrym chłopcem, skoro to zauważyłeś. Nie wiem, czy mnie by się to udało, choć tyle razy tutaj bywałem.

Anne poczuła, że David już się jej tak kurczowo nie trzyma i że stanął bliżej sztalug.

A także bliżej Sydnama Butlera.

- Mogę dojrzeć zbocze skały, część otchłani poniżej i łąd powyżej - wyjaśniał Butler. -

Perspektywa jest naprawdę dobrze uchwycona. Co miałeś na myśli, mówiąc, że twój pejzaż jest taki sobie?

- Bo... - Przez chwilę David nie umiał znaleźć właściwych słów. - Jest dokładnie taki, jak ten cypel. I dlatego... płaski.

Sydnam Butler spojrzał na niego i Anne uderzyło, z jak wielką życzliwością traktuje chłopca.

- Czy malowałeś kiedyś farbami olejnymi? David pokręcił głową.

- W szkole się ich nie używa. Pan Upton mówi, że dla pań stosowne są akwarele. A oprócz mnie nie ma tam żadnych chłopców.

- Akwarele są stosowne także i dla panów - odparł Sydnam - a farby olejne dla pań.

Niektórzy malarze używają tylko jednego rodzaju farb, inni obydwu, zależnie od okoliczności. Niektórzy muszą malować farbami olejnymi. Myślę, że ty jesteś właśnie jedną z takich osób. Dzięki tym farbom łatwiej można oddać strukturę rzeczy. Pomagają artyście tworzyć obraz na płótnie. Pomagają mu też pracować z pasją, jeżeli jesteś dość duży, żeby zrozumieć, co to znaczy. Może twoja mama przekona pana Uptona, żeby nauczył cię malować farbami olejnymi. Mimo to twoja akwarela jest naprawdę bardzo dobra. Dziękuję, że pozwoliłeś mi ją obejrzeć. David odwrócił się ku Anne, rozpromieniony.

- Porozmawiasz z panem Uptonem, mamó?

- No cóż, będę musiała. - Uśmiechnęła się do niego i odgarnęła mu znowu lok z czoła.

Spostrzegła, że Sydnam Butler przygląda się jej uważnie.

A potem się pożegnał, życząc wszystkim miłego dnia. Założył kapelusz i dotknął palcami runda.

- Och, Syd! - zawołała za nim Morgan. - Tak bym chciała, żebyś kiedyś przyszedł tu malować razem z nami!

Obejrzał się.

- Nie sędzę, Morgan - odparł żartobliwie. - Wulfric nie za to mi płaci.

- Pan Butler - rzekł z przejęciem David, gdy tylko rządcą odszedł na tyle daleko, że nie mógł go usłyszeć - to potwór.

- Davidzie! - krzyknęła. Morgan położyła mu dłoń na ramieniu.

- Potwór? Jaki znów potwór?

- Alexander powiedział, że on nocami czyha na dzieci i wyžera im wątroby.

- Davidzie - odezwała się ostro Anne - pan Butler jest rządcą księcia, a przedtem jako dzielny żołnierz walczył z Napoleonem Bonaparte podczas wojny, o której powinieneś wiedzieć z lekcji historii. Wtedy został okaleczony. Nie wolno tak o nim mówić!

- Ja tylko powtórzyłem to, co opowiada Alexander! - zaprotestował David. - Powiem mu zaraz, że jest głupi.

- Wychowałam się w Lindsey Hall, Davidzie - zaczęła Morgan, płucząc pędzle i porządkując swoje malarskie przybory. - Bawiliśmy się z Butlerami, chłopcami z sąsiedztwa. Byłam najmłodsza, więc moi bracia i siostra woleli mnie zostawiać samą, kiedy szli się bawić. Uwielbiałam Kita Butlera, bo mnie wtedy nosił na barana, żebym nie płakała. Ale to Sydnam zawsze był dla mnie najbardziej serdeczny i rozmawiał ze mną tak, jakbym była całkiem duża. To on zachęcił mnie do malowania. Kiedy przywieziono go z wojny na wpół żywego, czułam się, jakby we mnie coś umarło. Wiedziałam, że nigdy już nie będzie taki sam, i rzeczywiście, stał się kimś zupełnie innym. A potem przybył tu jako rządca. Ci, którzy nie znali go wcześniej, a także ci, którzy nie zadali sobie trudu, by poznać go potem, mogą w nim widzieć potwora. Ale ty i ja jesteśmy artystami. Wiemy, że prawdy zawsze trzeba szukać głębiej, a kiedy się już ją znajdzie, okazuje się piękna, bo jest nią po prostu miłość.

- On się zna na malarstwie - mruknął David. - Chciałbym, żeby mi pokazał, jak się maluje farbami olejnymi. Ale nie może, prawda? Nie ma przecież prawej ręki.

- Nie może - przyznała ze smutkiem Morgan. - Och, moi drodzy, chyba się tu trochę zasiedzieliśmy. Widzę, że zmierza tu Gervase z Joshua, żeby zabrać nas do domu.

- I cóż, moja droga? - odezwał się hrabia, gdy tylko znalazł się na tyle blisko, że mogli go usłyszeć. - Udało ci się tym razem?

- Niezupełnie. - Zaśmiała się niewesoło. - Nie ustaję jednak w staraniach.

I przechyliła głowę, przytulając policzek do dłoni, którą położył na jej ramieniu. Ten przelotny, zupełnie nieostentacyjny gest powiedział Anne wiele o ich wzajemnej bliskości.

Joshua pochwalił tymczasem Davida i poklepał go serdecznie po plecach. W drodze powrotnej szedł koło niej, niosąc sztalugi Davida i jego obrazek, podczas gdy chłopiec pędził

przez park, a potem po trawniku z rozpostartymi rękoma, udając latawiec na wietrze.

- Mówił mi, że zrobisz z niego gwiazdę krykieta - odezwała się Anne.

- Poradzi sobie, jeśli się postara. Czy będziesz się dziś przyglądać meczowi, czy też znów się gdzieś schowasz, jak wczoraj?

- Wybieram się z kimś na przechadzkę.

- Coś podobnego! Z jakąś inną nieśmiałą trusią? Powiedz mi tylko, kto to jest, już on mnie popamięta!

- Z panem Butlerem, rządcą księżęcym. - Poczwała, że się czerwieni. Miała nadzieję, że nikt tego nie spostrzeże. Dlaczego ją to peszyło?

- Naprawdę? - Spojrzał na nią bystro. Przez chwilę szli koło siebie w milczeniu.

- To zwykły spacer. Pana Butlera spotkałam wczoraj na plaży. Rozmawialiśmy dłuższą chwilę, przechadzając się brzegiem morza. Spytał, czy nie zechciałabym pospacerować z nim również i dzisiaj.

Joshua się uśmiechnął.

- A więc to była schadzka? Ciekawiło mnie, dlaczego zostałaś na plaży.

- Nonsens! - Parsknęła śmiechem, lecz spoważniała prawie natychmiast. - Chciałabym cię o coś prosić. Nie zachęcaj Davida do nazywania cię kuzynem.

- Wolałabyś, żeby się do mnie zwracał „milordzie”? Przecież naprawdę jest moim kuzynem.

- Nie.

- Anne, Albert był nędznikiem bez sumienia. Powiem ci coś. Ze względu na dobro twoje, Davida i Prue cieszę się, że już nie żyje. Był jednak jednym z moich najbliższych krewnych, a David jest jego synem. Jestem kuzynem Davida, a nie obcym człowiekiem, którego z bliżej niesprecyzowanego powodu obchodzi jego los. Prue, Constance i Chastity są

z kolei jego ciotkami. Davidowi potrzeba rodziny. Tym bardziej że nie życzysz sobie, aby poznał kogoś z twoich bliskich.

- Bo oni nie chcą znać jego! - krzyknęła. Joshua westchnął.

- Uraziłem cię - przyznał. - Szczerze tego żałuję. Freya zawsze mi mówi, że doskonale wie, co czujesz, i doradza, bym uszanował twoją wolę wychowywania Davida samotnie. Ale pozwól mu chociaż nazywać mnie kuzynem. Wszystkie inne dzieci mogą tu kogoś nazywać tatą albo, jak w przypadku Davy'ego, stryjem, skoro Aidan i Eve dbają, żeby nie zapominał o zmarłym ojcu.

Spierałaby się z nim dalej, chociaż rozumiała, o co mu chodzi, i doceniała życzliwość, a także to, że uznawał jej nieślubne dziecko za krewnego. Tylko że ona właśnie tego nie mogła ścierpieć. Na szczęście w tej chwili Morgan zwróciła się do nich z jakimś pytaniem i całą resztę drogi rozmawiali już wspólnie, we czworo.

Anne przyglądała się przez chwilę partii krykieta, nim wymknęła się dyskretnie i poszła ku krytemu strzechą domkowi, który dostrzegła tuż po przyjeździe. Cieszyła się, że nie tylko ona zrezygnowała z rozrywki. Księżna bawiła się nieopodal w kółeczko z najmniejszymi dziećmi, a książe stał i przyglądał się jej, srogi i poważny jak zwykle, chociaż w ramionach piastował owiniętego w ciepłą kołderkę syna. Nikt nie zauważył, gdy odeszła. Miała nadzieję, że Joshua także nie zwrócił na to uwagi.

Przerażała ją myśl, że - wiedząc, gdzie idzie - Bedwynowie mogliby wyciągnąć z tego błędne wnioski. Przecież to nie była miłosna schadzka! Ale z pewnością posądziliby ją o to, że chce dla własnych korzyści romansować z samotnym, okaleczonym mężczyzną.

Zeszła z podjazdu i zbliżyła się do domku. Była niespokojna. Czy jest tam jakaś służba? Co sobie pomyślą o kobiecie, która spyta o pana Butlera? Na szczęście nie musiała tego robić. Zanim zdążyła podejść do niskiego, kamiennego murku z drewnianą furtką, za którym widniał ładny, pełen kwiatów ogródek, drzwi domu się otworzyły i Sydnam Butler stanął na progu.

Anne zatrzymała się na ścieżce.

- Ciekaw byłem, czy pani przyjdzie - powiedział, otwierając przed nią furtkę, a potem zamykając ją starannie. - Zaproszenie było z mojej strony pewnym zuchwalstwem, skoro jest tu pani gościem. A rano widziałem panią z synem i z Morgan. Może...

- Ależ ja chciałam przyjść.

- A ja chciałem, żeby pani przyszła. - Uśmiechnął się blado. Poczowała się nagle zmieszana, jakby rzeczywiście chodziło o schadzke. Jak żalosne wrażenie zrobiliby na przygodnym obserwatorze! Miała nadzieję, że żaden sługa nie zerka na nich zza zasłony.

Wyglądają chyba na równie onieśmiałonych, jak chłopak i dziewczyna, gdy po raz pierwszy

uścisną sobie ręce.

- Widziała już pani dolinę? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tylko park wokół pałacu, urwisko i plażę.

- Nie jest to wprawdzie najodpowiedniejsza pora roku na jej zwiedzanie - odparł,

wskazując, w którym kierunku pójdą. - Wiosną zonkile i dzwonki, których pełno wtedy w

lesie, czynią z niej prawdziwie magiczny świat, a jesienią ma się - wielobarwny dach nad

głową i równie barwny dywan pod stopami. Ale w dolinie zawsze jest pięknie, nawet zimą.

Teraz wszystko się tam zieleni. Spostrzeże pani na pewno, ile różnych odcieni ma zieleń, a

także to, że drzewa i trawy mogą w lecie radować oko również i bez kwiatów.

Istotnie w pobliżu rezydencji była dolina. Kiedy minęli zagajnik, pełen z rzadka

rozsianych drzew i krzewów, grunt zaczął się obniżać i wyrósł przed nimi gęsty las.

Zeszli po długim, stromym zboczu, porośniętym kępami suchych traw i zrytym przez

grube korzenie drzew. Wreszcie stanęli na samym dole, tuż obok krętego strumienia,

zmierzającego ku morzu. Samego morza nie było widać z tego miejsca, lecz Anne czuła jego

- woń. Czuła też zapach drzew i ciepło letniego powietrza, a gałęzie nad głową osłaniały ją od

żaru słońca.

Po chwili ogarnął ją tak wielki spokój, jakby znalazła się o całe mile od miejsca, gdzie

przebywali ledwie kilka minut temu.

- Jak tu pięknie - powiedziała, wspierając się o pień i przechylając na bok głowę.

Usłyszała nad sobą skrzek mewy.

- Walia jest przepiękną krainą - oświadczył. - Różni się ogromnie od Anglii. Można tu

znaleźć spokój i piękno. A jeśli nie słyszała pani Walijszyka grającego na harfie ani

tutejszych chórów, nie wie pani, co muzyka może uczynić z ludzką duszą. Tudor Rhys, pastor

w tutajszym kościele, uczy mnie języka walijskiego. Idzie mi to powoli i opornie. Jest bardzo

zawily.

- Widzę, że zakochał się pan w Walii.

- Pragnę spędzić w niej resztę życia, choć niekoniecznie w Glandwr. Człowiekowi potrzeba własnego miejsca. Domu.

- Myśli pan o takim miejscu jak to?

- Tak. Przez chwilę sądziła, że powie coś więcej, lecz nie zrobił tego.

Odwrócił się i widziała teraz tylko nietkniętą bliznami połowę jego ciała. Może uznał ten temat za zbyt osobisty? W końcu była obcą osobą. Poczowała zazdrość. Przecież kobiecie też potrzeba takiego miejsca.

- Jeśli pójdziemy wzdłuż strumienia, przejdziemy przez most, po którym musiała pani wcześniej przejechać, a potem trafimy na niewielką plażę, która podczas odpływu łączy się z tą większą, którą pani już zna? Chce ją pani zobaczyć?

- Chętnie - odparła i poszła za nim. - Tak, przypominam sobie teraz ten most.

Pamiętam, że pomyślałam, iż znajduje się on w pięknej, zalesionej dolinie. I właśnie tu jestem!

Przez minutę czy dwie milczeli obydwój. Cieszyła się, że ta cisza nie stanowi dla nich ciężaru, lecz w końcu ją przerwała.

- Dziękuję, że poświęcił pan dziś rano tak dużo czasu Davidowi. Pańskie uwagi wiele dla niego znaczyły.

- Jak na dziewięciolatka ma zaskakująco wiele wyobraźni i niemałą zręczność w posługiwaniu się pędzlem. Trzeba go zachęcać do malowania. Ale nie muszę chyba tego pani mówić.

- Malował pan? Od razu zrozumiała, że nie należało o to pytać. Zesztywniał cały, ale było już za późno. Odpowiedział dopiero po chwili.

- Kiedyś tak, lecz teraz już nie - odparł zwięźle. - Urodziłem się praworęczny, panno Jewell.

Ponownie zapadło milczenie, ale już nie tak miłe, jak przedtem. Najwyraźniej wdarła się w jego prywatny świat i sprawiła mu ból, jeśli Morgan mówiła prawdę o jego talencie. Był praworęczny, ale nie miał już prawej ręki. Nie mógł więcej malować.

Zatrzymał się nagle i oparł o drzewo plecami. Ona również stanęła, tuż przy brzegu strumienia, i spojrzała na niego ostrożnie. Patrzył gdzieś ponad jej głowę, na przeciwległe zbocze.

- Przepraszam. Nie powinnam była o to pytać. Proszę mi wybaczyć.

Jego wzrok spoczął teraz na niej.

- W tym cały problem, panno Jewell. Ludzie unikają w rozmowie ze mną wielu tematów. Zwłaszcza ci, których najbardziej lubię, boją się rozmawiać ze mną o czymkolwiek prócz pogody i polityki. A nawet mówiąc o polityce, wolą nie nawiązywać do zdarzeń, które mają coś wspólnego z niedawnymi wojnami. Każdy się boi, że mnie urazi. Skoro część mego ciała uległa nieodwracalnemu zniszczeniu, widzą we mnie kogoś przewrażliwionego.

- A nie jest pan taki? Uśmiechnął się smutno.

- A pani? - odwzajemnił się pytaniem. - Przecież ma pani nieślubne dziecko.

Na ogół nie mówiono o tym tak otwarcie w jej obecności. „ - Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Zatrzymała się, żeby podnieść kilka kamyków i wrzuciła jeden do wody.

- Przekonałem się, że człowiek jest odporną istotą, panno Jewell. Sądziłem, że nie przeżyję. Kiedy zrozumiałem, że stanie się inaczej, zapragnąłem żyć długo. Mogłem litować się nad sobą i wymuszać 'współczucie na innych, ale wolałem, żeby moje życie potoczyło się inaczej. Zwróciłem się w zupełnie innym kierunku i odniosłem pewien sukces. Aż do dzisiejszego ranka unikałem wszystkiego, co wiązało się z malarstwem. Prośba Morgan,

żebym spojrział na jej pracę, była prawdziwą udawką. Już sam zapach farb... No cóż, zdołałem to jakoś przetrwać, a wracając do domu, byłem nawet z siebie dumny. Kiedy tu przybyłem, doprowadziłem do porządku wszystkie księgi rejestrów i napisałem kilka listów, które trzeba było napisać. Życie toczy się dalej. Myślę, że rozumie to pani doskonale.

- I przez większość tego czasu był pan szczęśliwy?

- Szczęśliwy? Przez większość czasu? Szczęście zawsze jest czymś ulotnym, choć tak wielu z nas uparcie i niemądrze wierzy, że można być szczęśliwym przez całe życie. Zdarzają mi się szczęśliwe chwile, jak innym ludziom. Może nauczyłem się ich doświadczać w sposób, który umykałby innym. W tej chwili czuję ciepło lata, widzę drzewa i wodę, słyszę mewę nad głową. Czuję też coś nowego, bo dziś mam towarzystwo, podczas gdy zwykle przychodzę tu sam. I w tej chwili jestem szczęśliwy.

Odwróciła głowę, bo łzy cisnęły się jej do oczu. Był szczęśliwy, gdyż przyszedł tu z nią. On, obcy człowiek i mężczyzna, był szczęśliwy, bo mu towarzyszyła.

- Pani kolej.

- Och, ja też nie jestem kruchą istotą. Moje życie zmieniło się w chwili, gdy urodziłam Davida. Czasami nachodzi mnie myśl, że była to zmiana przerażająca. Ale razem z moim synem poznałam tak wielką miłość, że uważam się za najszczęśliwszą z ludzi. Podobnie jak pan, zwróciłam się w innym kierunku. Pomogli mi dobrzy ludzie. Teraz pracuję w szkole panny Martin, a moje życie nabrało sensu. Ma pan rację, dostosowujemy swój los do okoliczności i szukamy szczęścia tam, gdzie je można znaleźć, jeśli nawet chodzi tylko o ulotne chwile. Możemy w ten sposób zyskać albo tracić sposobność, by dopatrzeć się uroku w naszym życiu. To jest właśnie taka chwila. Zapamiętam ją.

- Dopatrzeć się uroku w naszym życiu - powtórzył cicho. - Ja też zapamiętam to wyrażenie. Podoba mi się.

Otrzeptała ręce, żeby pozbyć się resztek ziemi, i uniosła głowę. Uśmiechnęła się do Sydnama.

- Czy kochała pani ojca Davida? Słowa te były niemal jak cios. Przymknęła oczy, zakręciło się jej w głowie. Teraz on wtargnął w jej prywatność. I sprawił jej ból. Cios za cios.

- Nie. Nie kochałam go. Nienawidziłam tego człowieka. Boże, jak ja go nienawidziłam!

- Gdzie on jest?

- Nie żyje. Nigdy nie będzie czuła żalu z tego powodu. Nie miała nawet wyrzutów sumienia z tego powodu, że w pewnym sensie było to godne potępienia.

- Czy możemy pójść dalej? - spytał. Odsunął się od drzewa.

- Tak.

Z prawdziwą ulgą ruszyła przed siebie. Mogła już dostrzec kraniec doliny i wielkie wydmy, które oddzielały go od plaży.

Z podziwem przyjrzeni się trzem kamiennym arkadom, podtrzymującym most. Potem przedarli się przez wydmy do małej plaży, otoczonej klifem, który kazał kierować wzrok ku błękitnemu, spienionemu morzu lub też ku blademu niebu. Strumień rozdzielał się tu na wiele odnóg.

Poprzedniego dnia Anne sądziła, że przyznali się przed sobą do samotności. Dzisiaj wypierali się słabości. Poprzedniego dnia mówili prawdę. Dziś, jak podejrzewała, kłamali. Obydwoje byli słabi. On nie będzie już więcej malował. Ona nie zyska domu, męża, innych dzieci.

- Nie trzeba rozpamiętywać tego, co się straciło na zawsze - powiedział, jakby jego myśli biegły tym samym torem. - Nie będę już miał oka ani ręki, a pani nie odzyska niewinności ani reputacji w oczach społeczeństwa. Osiągnąłem to, co było możliwe. Stałem

się najlepszym rządcą w całym kraju. Czy pani jest najlepszą nauczycielką w Anglii?

Odwrocił się, żeby na nią spojrzeć. Dostrzegła ten dziwnie pociągający, krzywy uśmiech.

- W całej Anglii? - Położyła rękę na piersi, udając przestrah. - Nie, ja miałam większe ambicje. Stałam się najlepszą nauczycielką na całym świecie!

Rozśmieszył ich ten niezbyt mądry żart. Nagle Anne pomyślała, że Sydnam jest bardzo atrakcyjny.

Odwrociła się i pobiegła lekko po plaży, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy stopa jej utknęła w wilgotnym piasku. Miała zamęt w głowie. Zazwyczaj o wiele lepiej kontrolowała swoje pragnienia. I któż je w dodatku wzbudził? Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Wyczuła jego obecność za sobą. Odwróciła się z uśmiechem.

- Proszę się wsłuchać...

- Niektórzy by tego nie usłyszeli - stwierdził po chwili milczenia. - Szum morza łatwo można pomylić z ciszą, która dzwoni w uszach.

Stali tuż przy sobie, nadśluchując. Po chwili wydawało się jej, że słyszy tylko bicie własnego serca.

Albo jego serca.

I nagle z niesłychaną jasnością dotarło do niej, że istnieje. Nie tylko żyje i oddycha, ale po prostu jest.

Sydnam uznał, że towarzystwo Anne zarówno cieszy go, jak i denerwuje.

Zadała mu kilka bardzo bezpośrednich pytań, których rodzina i przyjaciele starannie unikali, a także takich, których on sam starał się za wszelką cenę unikać, nawet w myślach.

Ale i on postąpił podobnie. Znajomi nigdy jej chyba nie pytali o ojca dziecka.

Nienawidziła tego człowieka.

Czyżby została zgwałcona? A może go nienawidzi, bo nie ożenił się z nią, gdy zaszła w ciążę?

Była niewiarygodnie piękna, zwłaszcza gdy się uśmiechała lub była czymś pochłonięta. Kiedy byli razem, niemal zapominał, co ma przed oczami, kiedy na niego patrzy. Czuł się z nią... cały i zdrowy.

Patrząc zaś na nią, trudno było odgadnąć, że spotkało ją w życiu jakieś nieszczęście i że jest równie podatna na ból, jak on. Odwrócił wzrok i przeniósł spojrzenie na fale. Biły, spienione, o skraj plaży, a potem siła odpływu sprawiała, że cofały się w głąb morza.

Czy był podatny na ból?

Przez ostatnie pięć czy sześć lat upewniał się o własnej sile i odporności. Wiedział jednak dobrze, że wszystko ma swoje granice. Mimo pracy i grupki przyjaciół był samotny, tak samo jak ona. Jednym z powodów jego obecności w Glandwr było to, że nie spotykał tu zbyt wielu obcych osób. Dla każdego, kto ujrzał go po raz pierwszy, widok ten musiał być przykrym doświadczeniem.

I oto przyglądał się pięknej kobiecie, a ona musiała patrzeć na jego szpetotę. Nigdy go co prawda nie obchodziła własna uroda, ale... O nie! Na pewno nie będzie się nad sobą litował.

- W porze największego odpływu - powiedział, wskazując na prawo - można dojść aż do samego krańca tych skał na większej z plaż. Teraz jednak tę przestrzeń pokrywa woda.

- Wszystko mi tu bardzo przypomina Kornwalię. Każdy zakątek wybrzeża jest cudownie piękny. Czy moglibyśmy dostrzec małą plażę, gdybyśmy wspięli się na te skały?

- Tak, ale są wysokie i raczej niedostępne. Roześmiała się.

- To brzmi jak wyzwanie. Zawsze lubił wdrapywać się na skały i czasami, otoczony z trzech stron morzem, podziwiał wtedy widok lub szukał wzrokiem tych miejsc, gdzie

przyływ pozostawiał najwięcej muszli czy morskich stworzeń. Lubił trud i niebezpieczeństwo. A podobna wspinaczka dla kogoś bez ręki, oka i z niesprawnym kolaniem nie była łatwa.

Pewnych rzeczy osiągnąć nie mógł, ale żeby z nich zrezygnował, musiały być absolutnie niemożliwe, a nie tylko trudne.

Jedną z tych rzeczy było malowanie.

Wspinaczka do nich nie należała.

- Och, proszę spojrzeć! - wykrzyknęła, gdy weszli już na skały i znaleźli się nad małą plażą, lecz jeszcze nie na tyle wysoko, by podziwiać widok ze szczytu. Anne dojrzała garstkę muszli w małym, piaszczystym zagłębieniu i podniosła kilka z nich. Położyła jedną na dłoni i wyciągnęła ją ku niemu.

- Czy może istnieć coś doskonalszego?

- Nie wyobrażam sobie - przyznał.

- Czyż natura nie jest cudem? - spytała, siadając na płaskim kamieniu i rozkładając muszle na kolanach.

- Zawsze, nawet gdy przynosi katastrofę ludziom, którzy chcą ją okiełznać albo rzucić jej wyzwanie. Jest też doskonałą artystką, skoro potrafi stworzyć coś tak kruche go i doskonałego w każdym calu jak te muszelki.

Przysiadł koło niej i spojrzał w dół, ku plaży i dolinie. Dlaczego ludzie wolą żyć gdzieś w głębi lądu, skoro mogą nad morzem?

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Słońce prażyło, wiatr od morza niósł ochłodę. Jak miło było przyjść tutaj razem z kimś. Choć miał przyjaciół, nigdy nie urządzał z nimi takich wypraw. Gdziekolwiek szedł lub jechał, robił to zawsze sam. Aż do dzisiaj.

Zapamiętają taką na zawsze - z rondem kapelusza łopoczącym lekko na wietrze, we

wdzięcznej pozie, trzymającą w smukłych palcach jedną z muszelek, ze skałami za jednym z jej ramion i morzem za drugim, nieco ciemniejszym w kolorze niż jej suknia. Ta sama, którą miała na sobie wczoraj.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Jak do tego doszło? Pytanie mogło dotyczyć wielu rzeczy, ale on dobrze wiedział, o co jej chodzi.

- Byłem oficerem podczas walk na Półwyspie Pirenejskim.

- Tak, wiem. Odwrócił wzrok. Patrzył gdzie indziej.

- To rezultat tortur. Zaskoczył nas z bratem francuski patrol zwiadowczy. Jeden z nas mógł się wymknąć wraz z ważnymi dokumentami, które przewoziliśmy, gdyby ten drugi odciągnął uwagę wroga, dając się pojmać. Kit miał doświadczenie, ja - żadnego. A przy tym służyłem pod jego rozkazami. Zgłosiłem się więc na ochotnika, żeby mu oszczędzić bolesnego obowiązku wydania mi takiego rozkazu. Byliśmy w cywilnych ubraniach. I to właśnie o wszystkim rozstrzygnęło. Gdyby nosił mundur, potraktowano by go z honorami jako brytyjskiego oficera.

Anne gładziła końcem palca muszelkę, którą mu przedtem pokazała.

- Zażądali ode mnie informacji o Kicie i naszej misji. Przez cały następny tydzień metodycznie usiłowali je ze mnie wydusić. Zaczęli od prawego oka, a potem przechodzili coraz niżej. Kit wraz z grupą hiszpańskich partyzantów odbił mnie, kiedy dotarli do kolana.

- Ale mimo tortur nic pan im nie powiedział?

- Nic. Zacisnęła muszle w palcach tak mocno, aż jej kostki zbieleły.

- Był pan niewiarygodnie dzielny.

Pochwała go wzruszyła. Spodziewał się raczej czegoś w rodzaju „och, biedaczysko”.

Inni zazwyczaj mówili właśnie coś takiego. Jego własna rodzina również. A Kit przez całe

lata zadręczał się i oskarżał.

- Byłem bardziej zawzięty niż dzielny. Najmłodszy spośród trzech pełnych wigoru braci, spokojny i wrażliwy. Chciałem udowodnić, że mnie na coś stać, kiedy się upierałem, żeby ojciec mi kupił patent oficerski. Niekiedy rzeczywistość przerasta nasze oczekiwania, panno Jewell. Zyskałem sposobność, żeby się wykazać, ale zapłaciłem za nią wysoką cenę.

- Rodzina musi być z pana dumna.

- Istotnie.

- Zostawił ich pan jednak.

- Rodzina jest wspaniałą instytucją. Cenię moją bardziej, niż potrafię to wyrazić.

Każdy ma jednak własne życie, własny szlak i los, który sam musi kształtować. Może sobie pani chyba wyobrazić, jak bardzo moi bliscy pragnęli mnie chronić. Nigdy bym nie zaznał lęku, bólu ani opuszczenia. I w końcu musiałem ich opuścić, by nie ulec pokusie i nie pozwolić im na tę opiekę.

Rozchyliła palce, ukazując muszelki, leżące na dłoni. Sięgnął pojedna z nich i włożył ją do kieszeni surduta.

- A pani ma rodzinę?

- Mam.

- W takim razie wie pani, o czym mówię.

- Nie widziałam nikogo z moich bliskich od ponad dziesięciu lat.

Czyż nie mówiła, że jej syn ma dziewięć? Związek między tymi faktami wydawał się oczywisty.

- Wyrzekli się pani?

- Nie. Oni mi... wybaczyli.

W ciszy, jaka między nimi zapadła, przeraźliwie głośno rozległy się skrzeki dwóch

mew, które przysiadły nieopodal na skałach, dziobiąc coś zawzięcie.

- Wybaczyli?

- Zaszłam w ciążę - wyjaśniła - a nie byłam mężatką. Stałam się upadłą kobietą, panie Butler. Kłopotem. - Objęła kolana rękami, wpatrzona w horyzont.

Kłopotem dla rodziny? Czyżby czuli większe zażenowanie niż ona?

- Przecież musieli przyjąć panią z powrotem, jeśli wybaczyli to, co się stało?

- Ani razu nie wspomnieli o Davidzie, w żadnym z listów. Pewnie rozumieli, że nie wróciłabym do domu bez niego. Nigdy nie dali do zrozumienia, że jestem tam mile widziana.

- A pani nie myślała o powrocie? Przecież do własnego domu nie trzeba zaproszenia?

Może chcieli, żeby inicjatywa wyszła od pani?

- Nie miałam ochoty tam jechać. To już nie był mój dom. Nazywam go tak tylko z przyzwyczajenia. Moim domem jest teraz szkoła panny Martin.

Skądże. Miejsce pracy, może nawet i miłe, nie może być domem. Głównie nim nie było. On przynajmniej mógł żywić nadzieję, że kiedyś będzie miał własny kąt. No i nie brakowało mu na to pieniędzy.

- Jak do tego doszło? - O mało nie sięgnął po jej dłoń, lecz w porę zdołał się pohamować. Z pewnością nie byłaby zadowolona.

- W Penhallow w Kornwalii byłam guwernantką panny Prudence Moore, najłagodniejszego, najpogodniejszego dziecka pod słońcem zamkniętego w ciele dojrzewającej dziewczyny. Jej brat, Albert Moore, za wszelką cenę chciał... ją wykorzystać. Nie mogłam się zwrócić z prośbą o pomoc do jego ojca, markiza, człowieka zamkniętego we własnym świecie, ani do matki, która bałwochwalczo wielbiła syna, a córki nienawidziła za to, że urodziła się niedorozwinięta. Siostry Prue nie mogły mi w niczym pomóc, choć ją kochały. A Joshua, obecny markiz, jej kuzyn, mieszkał dość daleko i tylko raz w tygodniu

przyjeżdżał do niej z wizytą. Usiłowałam odciągnąć od niej Alberta. Chciałam ją ocalić.

Myślałam, że sama sobie z tym poradzę, ale tak się nie stało.

Przez chwilę siedziała bez słowa, z głową na kolanach. Nie musiała mówić nic więcej.

- Stąd - właśnie wziął się David - powiedziała, unosząc głowę. - Szczerze bym chciała... och, pragnęłabym z całych sił... żeby nie urodził się skutkiem tak - wstrętnych okoliczności.

Znów zapragnął jej dotknąć, ale nie zrobił tego.

- Powiem to samo, co już usłyszałem. Była pani niewiarygodnie dzielna.

- Nie, tylko głupia. Wierzyłam, że zdołam przywołać mężczyznę do porządku i go zmienić tak, jak wiele innych kobiet. Niektóre nawet za takich ludzi wychodzą. Mnie to na szczęście ominęło.

Gdyby ten łotr ją poślubił, jej syn byłby teraz markizem Hallmere, a ona - owdowiałą markizą, poważaną i zamożną.

- Ale dziewczynka ocalała? Mam na myśli pannę Prudence. Uśmiechnęła się blado.

- Wyszła parę lat temu za rybaka i ma dwóch synów. Czasami do mnie pisuje. Siostra jej w tym pomaga. Prue pisze - bardzo ortograficznie - wielkimi, dziecięcymi kulfonami. Jeśli istnieje coś takiego jak nieustanne szczęście, panie Butler, ona je znalazła.

- Dzięki pani. Anne gwałtownie wstała i strzepnęła z sukni piasek. On również się podniósł, ale - przejęty jej opowieścią - zrobił jakiś nieostrożny ruch i prawe kolano odmówiło mu posłuszeństwa. O mało nie upadł. Zdołał się co prawda wyprostować, lecz zażenowanie pozostało. Dostrzegł też, że wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc, choć go nie dotknęła.

Spojrzeli sobie w oczy. Stali tuż koło siebie, co było dość kłopotliwe.

- Ależ ze mnie niezdara - mruknął. • Cofnęła rękę.

- Kiedy chciałam się tutaj wspiąć, nie myślałam, że... - przerwała i przygryzła dolną wargę.

- Dobrze, że pani nie myślała. Obydwoje zostaliśmy ciężko doświadczeni, panno Jewell, ale mimo to się nie poddajemy. To ważne.

Wtedy zrobiła coś, co go tak zaskoczyło, że na chwilę zamarł. Uniosła dłoń i powiodła końcami palców po jego lewym policzku.

- Obydwoje poznaliśmy, czym jest ból. Dlatego musieliśmy się zmienić. Mam nadzieję, że na lepsze. Nie jesteśmy kalekami, tylko ocalonymi rozbitkami.

Nagle zrozumiała, co zrobiła, i nawet rąbek jej kapelusika nie zdołał osłonić rumieńca. Pospiesznie cofnęła dłoń.

- Czy po Albercie Moorze był jeszcze w pani życiu jakiś mężczyzna?

- Nie. - A po chwili dodała. - A czy jakaś kobieta po... nie mogę tego nazwać wypadkiem...

- Nie, żadna.

Nie powiedzieli sobie wyraźnie, że żyli w długim, wymuszonym celibacie. Jakżeby mogli? Wciąż jeszcze byli sobie obcy.

Była tym tak zakłopotana, że nagle się odwróciła i zaczęła się wspinać na urwisko, póki nie stanęła na samej jego krawędzi. Spojrzała w dół, ocieniając ręką oczy. Po chwili do niej dołączył.

Nie potrafił zapomnieć, że w jej pospiesznym cofnięciu dłoni było jednak trochę odrazy.

Nie wolno mu nawet myśleć, że mogliby... tylko dlatego, że ją podle potraktowano...

Nie, on nigdy nie potrafiłby tak potraktować żadnej kobiety.

Może zanadto się nacierpiała, żeby kolejny raz oddać się mężczyźnie?

- Co za wspaniały widok - powiedziała, spoglądając ku plaży, po której spacerowali zeszłego dnia. Czuł, że te słowa nie płyną z głębi serca, choć musiał się z nimi zgodzić.

- Istotnie - przytaknął. Przychodząc tu, żałował, że nie ma obydwójga oczu. Ale jedno jest lepsze niż żadne.

Morze cofnęło się niemal całkowicie i można już było przejść suchą nogą aż do wybrzuszonej skały, gdzie stali. Uniknęliby wtedy kolejnej wspinaczki.

- Możemy zejść tędy na plażę, wrócić tą samą drogą, którą przyszlismy, albo też wspiąć się po prawej stronie skały i tamtędy wejść na szczyt urwiska. To nie jest trudny szlak.

Wybór należy do pani.

Spojrzała na niego. Jej wzrok zatrzymał się tym razem gdzieś na wysokości jego podbródka, a nie oka.

- Już chyba późno - odparła bezbarwnym głosem. - Myślę, że należy wybrać najkrótszą drogę. Dziękuję panu za miłe popołudnie.

Miły nastrój uleciał bezpowrotnie.

Zanadto zbliżyli się do siebie po tych zwierzeniach, a przez chwilę gotowi byli wziąć współczucie za fizyczną bliskość - póki ona nie dotknęła jego policzka i nie zdali sobie sprawy, że to niemożliwe. A gdy już go dotknęła, zrozumiał, że zbyt głęboko ją zraniono, by mogła teraz coś czuć do niego. Nawet gdyby zaofiarował jej taką możliwość.

Odwrócił się więc bez słowa. Ruszyli z powrotem. Nie mówili wiele po drodze.

- Odprowadzę panią pod sam pałac - oświadczył, gdy zbliżali się do jego domku.

- Nie trzeba - zapewniła go.

Pożegnali się uprzejmie, życzliwie, jak dwoje obcych ludzi, którym wprawdzie dobrze się razem rozmawiało, ale nie mają sobie nic więcej do powiedzenia i spieszno im pójść własnymi drogami.

- Dziękuję za dzisiejszy spacer i mam nadzieję, że dalszy pobyt tutaj okaże się miły.

Nie mówię „do widzenia”, bo na pewno zobaczymy się jeszcze przed pani powrotem do Bath.

- Mam nadzieję. Dziękuję za pokazanie mi miejsc, których jeszcze nie znałam.

A potem odwróciła się pospiesznie i odeszła. Sydnam patrzył za nią, dziwnie

przygnębiony. Była tylko gościem, kimś, kto wkrótce odjedzie. Nic się w jego życiu nie zmieni, niezależnie od tego, czy spotkają się jeszcze, czy też nie, zanim ona wróci do Bath.

Może nie powinien był rozmawiać z nią wczoraj ani zapraszać na przechadzkę? Nie

zrobi tego więcej. Nie będzie tak głupi, żeby się w niej zakochać.

Potrząsnął głową, jakby pragnął się uwolnić od podobnych myśli. Znikła mu już z

oczu. Nie odwróciła się. Ruszył w stronę swojego domku.

Wsunął rękę do kieszeni, żeby się upewnić, czy muszla nadal tam jest. Zacisnął na niej

palce.

Anne ujrzała Sydnama Butlera dopiero tydzień później, nie licząc krótkiego spotkania pewnego popołudnia, gdy wracała do domu po spacerze z Davidem. Butler stał wtedy na tarasie, w pewnej odległości od frontowych drzwi, i rozmawiał z księciem, który spojrzał w ich kierunku. Sydnam odwrócił się pospiesznie, żeby ich dostrzec zdrowym okiem. Skłonił się i powrócił do rozmowy.

Słyszała, że Alleyne, Rannulf i Freya wybrali się z nim pewnego razu na przejażdżkę.

Właściwie nie powinno to jej zdziwić. Potrafił przewycięzać swoje kalectwo w zdumiewający sposób. Oprócz niezdolności do malarstwa. Czy i tego nie mógłby pokonać?

Chyba jednak nie. Istnieją rzeczy niemożliwe.

Tydzień minąłby całkiem przyjemnie, gdyby nie to, że nie pozwolono jej tkwić w pokoju dzieciennym i wciągnięto ją w wir codziennych zajęć. Razem z innymi spędzała mnóstwo czasu na świeżym powietrzu, spacerując, grając w krykieta, pływając, wiosłując, budując zamki z piasku na plaży, bawiąc się w chowanego pośród drzew, wspinając na urwisko i urządzając pikniki.

Hrabia Rosthorn wyjaśnił jej, że ten nadmiar aktywności wynika z trybu ich życia. On sam, Joshua i książę byli członkami Izby Lordów i obowiązki pozbawiały ich kontaktu z dziećmi, a nawet z żonami, na wiele godzin w ciągu dnia. Gdy mieli choć trochę wolnego czasu - jak teraz - spędzali go z rodzinami, bawiąc się w najlepsze.

David był szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Ze zdumieniem stwierdziła, że potrafi być równie buńczuczny, psotny i pełen żądań, jak inne dzieci.

Jeśli trio złożone z Davy'ego. Alexandra i Davida miało przywódcę, zwykle był nim właśnie on. Becky, siostra Davy'ego, przepadała za nim, podobnie jak młodsze dzieci, z którymi zawsze się chciał bawić i traktował je z wielką cierpliwością. Chłopiec zaś uwielbiał

Joshuę. Lubił też Rannulfa, Alleyne'a i całą resztę. I podziwiał księcia, lecz Anne podpatrzyła go pewnego razu, jak z wyniosłą miną unosi do oczu wymyślone lorgnon. Było oczywiste, kogo w ten sposób naśladowe.

Dla niego wakacje mogłyby trwać wiecznie.

Anne była jednak zadowolona, że miesiąc niedługo się skończy. Chociaż i ona miała powody, by miło wspominać pobyt w Glandwr. Zaprzyjaźniła się z Eve i panią Pritchard, a także z księżną, która - jako że była kiedyś nauczycielką - lubiła z nią rozmawiać o szkole. A panna Thompson, przyjaciółka księżnej, wszczynała z Anne długie dyskusje o książkach i o teoriach pedagogicznych.

Okazała się też osobą zarówno inteligentną, jak interesującą, a nawet pełną humoru rozmówczynią. W sumie wszyscy traktowali ją z niezwykłą życzliwością. Nawet książę rozmawiał z nią raz przez całe pół godziny, kiedy odkrył, że Anne czytała książkę, której lekturę właśnie skończył.

A jednak odczuwała tu samotność o wiele dotkliwiej niż kiedykolwiek w szkole Claudii. Przede wszystkim wciąż czuła się intruzem, nawet jeśli wszyscy wiedzieli dobrze, kim była. Poza tym każdy miał tu swoją parę, z wyjątkiem panny Thompson, która wydawała się całkiem zadowolona ze swego staropanieństwa. Pewnego wieczoru, gdy Anne, szcزتkując włosy, stała w oknie sypialni i patrzyła na zalany światłem księżycy park oraz morze, zobaczyła dwoje przytulonych do siebie ludzi, zmierzających w stronę urwiska. Z zaskoczeniem rozpoznała w nich księcia i księżnę.

Uklucie zazdrości było bolesne. Samotność dała o sobie znać. Anne zatęskniła nie tylko za bratnią duszą, ale za mężczyzną.

Pomyślała o Sydnemie Butlerze, lecz zaraz odrzuciła tę myśl. Lubiła go i sądziła, że on też darzy ją sympatią, ale przecież dotknęła go wtedy na skałach całkiem nieświadomie.

Spochmurniał wtedy, a jego ciało zrobiło się sztywne i poczuła, że rośnie w niej panika.

Przez moment jednak dojmujące doznanie przeszło jej ciało niby ból. To było czysto fizyczne pragnienie. Dopiero chwilę później coś sprawiło, że się cofnęła. Druga część jego twarzy, tak bliska jej palców, była pokryta czerwonymi bliznami i pozbawiona czucia. A jakież obrażenia, których nie mogła zobaczyć, kryły się pod odzieżą?

Nie chciała o nim myśleć. Ale cały czas zastanawiała się, w jaki sposób zadano mu tak straszne rany? Czasami pytanie to nawiedzało ją w nocy, pojawiało się we śnie.

W końcu spotkali się ponownie. Księżę i księżna zaprosili sąsiadów na obiad, a kiedy Anne weszła do salonu - znowu w swojej najlepszej sukni z zielonego jedwabiu, starannie uczesana przez Glenys - jedną z pierwszych osób, jakie dostrzegła w głębi pokoju, był Sydnam Butler. Rozmawiał z Aidanem i Eve.

Ucieszyła się tak bardzo, że właściwie było to nieproporcjonalne do okoliczności. Od czasu wspólnej wycieczki do doliny nie zamieniła z nim przecież ani słowa. Pani Pritchard poprosiła, żeby Anne usiadła przy niej, ona zaś uczyniła to z ulgą, bo nie знаła nikogo z sąsiadów. Bardzo ją to denerwowało. Wolałaby zostać tym razem u siebie, ale księżna zaprosiła ją osobiście i Anne nie mogła odmówić.

Nie mogła też uniknąć przedstawienia gościom, skoro już przybyli. Było wśród nich kilku ziemian z żonami i starszymi dziećmi, księżęcy dzierżawcy z małżonkami, proboszcz z żoną, synem i córką oraz wiejski nauczyciel. Większość z nich miała tak silny walijski akcent, że Anne musiała się dokładnie wsłuchiwać w słowa, żeby zrozumieć, co mówią. Dobrze, że trochę już do niego przywykła - pani Pritchard miała bardzo podobny.

Potem podano obiad i Sydnam Butler poprowadził ją do stołu, a później usiadł po jej lewej ręce.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie, ujmując ofiarowane jej ramię. Odwzajemnił

uśmiech. Czuła się bardzo dziwnie, jakby chciało jej się jednocześnie płakać i śmiać.

Brakowało jej go. Powiedziała mu dużo więcej niż kiedykolwiek zdradziła Claudii, Susannie czy Frances. On też jej się zwierzył. A jednak nic nie zrobił, żeby znów ją zobaczyć.

Czego się spodziewała? Ze będzie się do niej zalecał?

Podczas przechadzki powiedział, że ludzie bywają zadziwiająco wytrzymali. Anne uznała to za prawdę, gdy zobaczyła, jak kroił jedzenie widelcem, trzymanym w lewej ręce i zręcznymi, eleganckimi ruchami unosił je do ust, a także jak odwracał głowę, by bez wyraźnej niezręczności patrzeć podczas rozmowy na Freyę, siedzącą po jego prawej stronie. Rozmawiał z nią niemal przez cały obiad. Może zrobił tak dlatego, że Anne skupiła uwagę na panu Jonesie, nauczycielu, gdy tylko ten przy niej usiadł. Pan Jones z przyjemnym zaskoczeniem dowiedział się, że i ona również uczy. Większość pedagogów w Walii - jak wyjaśnił - to mężczyźni.

Czuła się dziwnie zażenowana bliskością Butlera, może dlatego, że ich poprzednia rozmowa miała tak osobisty charakter. Ile obcych sobie osób zdołaloby się przed sobą przyznać do osamotnienia i do tego, że od lat nie mieli partnerów?

Jak nakazywało dobre wychowanie, Freya gawędziła też z angielskim ziemianinem siedzącym po jej drugiej stronie, a pan Jones - z panią Lofter.

- Panno Jewell - spytał uprzejmie Sydnam Butler - czy pani i synowi podoba się w Glandwr?

- Ogromnie.

- Czy jeszcze coś malował?

- Tak, dwa razy, w obecności lady Rosthorn.

- Miło mi to słyszeć. A czy wie pani, że po obiedzie będą występy?

- Owszem. Weźmie w nich udział lady Judith. Widocznie ma w tym wprawę. Joshua i

Freya zaśpiewają w duecie, mimo że bardzo się opierała, kiedy chcieliśmy ją do tego namówić. Dopiero gdy Joshua oświadczył, że nikomu nie pozwoli nękać swojej żony, rozgniewała się na niego i wyraziła zgodę. Nie widziała, jak uśmiechnął się wtedy do jej braci!

Sydnam się roześmiał, a ona mu zawtórowała.

- Zawsze mnie zdumiewało - powiedział, zniżając głos - że Joshua dobrze wie, jak sobie radzić z Freyą. Zawsze z niej było istne półdiabło i złoźnica. Dziś wieczór usłyszymy zresztą jeszcze jeden duet. Huw Llwyd zaśpiewa, a żona będzie mu akompaniować na harfie. Llwydowie byli księżęcymi dzierżawcami.

- A czy potrafią? Butler odłożył łyżkę na pusty talerz i dotknął dwoma palcami okolicy serca.

- Ta muzyka zostaje tutaj. Przekona się pani, co mam na myśli, kiedy ich usłyszymy.

- W takim razie czekam na ten występ z niecierpliwością.

- Powinna pani usłyszeć, jak walijska kongregacja śpiewa hymny niedzielnym

rankiem. Cały kościół wtedy tętni, choć nie z powodu hałasu. Śpiewają na cztery głosy, bez prób. Coś niesłychanego.

- Doprawdy?

- Chętnie tam panią zabiorę w przyszłą niedzielę, jeśli nie będzie pani przeszkadzał nieznany język nabożeństwa. W całości odprawia się je po walijsku. Ale ta muzyka!

Anne poszła co prawda poprzedniej niedzieli do kościoła - jak robiła to niemal co tydzień - ale do angielskiego, razem z całą rodziną Bedwynów. Siedziała w specjalnych ławkach na samym przedzie. Wiele innych, jak zauważyła, było pustych.

- Chętnie.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią uważnie sponad talerza, pełnego serów i owoców, który

postawił przed nim lokaj. - Może spotkamy się u mnie w niedzielę rano? Poszlibyśmy razem.

- Zgoda - odparła. I nagle poczuła, że zaparło jej dech, zupełnie jakby umawiała się na potajemną randkę. Wybiorą się do kościoła, tylko tyle. Co pomyślą sobie inni? A cóż ją to obchodzi? Chciała tam z nim pójść i już.

Spojrzał na nią tak, jakby również niczego innego nie pragnął.

W tym momencie Freya powiedziała coś do niego, a pan Jones nachylił się ku Anne i znowu zajął ją rozmową przez kilka minut. W końcu księżna wstała i zaprosiła wszystkie panie do salonu, podczas gdy mężczyźni pozostali przy portwajnie. Dołączyli do pań dopiero pół godziny później. Anne była zła na siebie, gdy się zorientowała, że odruchowo wypatruje wśród nich Sydnama Butlera. Przecież on jedynie zaprosił ją do walijskiego kościoła, żeby mogła posłuchać śpiewu. Naprawdę nie było to nic takiego.

A może jednak?

Czuła się znów jak dziewczyna, wyróżniona dzięki temu, że młodzieniec zwrócił na nią uwagę. Jakież to głupie! Miała dwadzieścia dziewięć lat. A zachowania Sydnama Butlera nikt nie mógł uznać za zaloty. Ale od czasu znajomości z Henrym Arnoldem nie wybrała się już nigdzie z żadnym mężczyzną. A to było całe wieki temu!

Zaofiarowała się, że pomoże nalewać herbaty, a księżna przyjęła jej propozycję. Anne nie była jednak aż tak zajęta, by nie obserwować, jak goście łączą się w grupy - zamożni ziemianie z Bedwynami, pani Llwyd z paniami Pritchard i Thompson, proboszcz i jego żona z baronem Westonem i panną Thompson, a panowie Llwyd, Jones i Rhys - walijski pastor - z Sydnamem Butlerem i księciem Bewcastle. Księżna krążyła pomiędzy nimi, wszędzie przyjmowana radośnie.

Sydnam Butler pogrążył się w rozmowie. Nawet na nią nie spojrzał - siadła po jego prawej stronie, tej, po której nie było oka. Później jednak, kiedy - wstała i wygładziła suknię,

sposzrzęła, że stanął za nią.

- Może usiedlibyśmy razem, panno Jewell? Chyba że ma pani jakieś inne plany.

- Nie mam.

Dzięki temu mogła spędzić resztę tego wieczoru w towarzystwie mężczyzny, który nie był niczym mężem. Ucieszyło ją to niezwykle.

Na początku Freya zaśpiewała kilka angielskich piosenek ludowych, a Joshua akompaniował jej na pianoforte. Wypadli zaskakująco dobrze. Freya niepotrzebnie się wymawiała i usprawiedliwiała.

- Stanowczo nalegałam, żebyśmy zaśpiewali jako pierwsi - wyjaśniła widzom. -

Podejrzewam, że inni mnie zaćmią, zwłaszcza Judith, i nie mam ochoty zmuszać się do popisów po niej.

Joshua przy pianoforte uśmiechnął się szeroko, goście wybuchnęli śmiechem. Anne uznała, że Freyę po prostu musiało się lubić mimo wszystkich jej niezdolnych wybryków.

- No śpiewaj że w końcu, Free, i daj sobie spokój z tymi grymasami! - zawołał Alleyne.

Pani Llwyd - drobna, ciemnowłosa kobieta o bardzo celtyckim wyglądzie - grała na pięknie rzeźbionej harfie, niemal tak wielkiej, jak ona sama. Anne była bliska łez, tak wspaniała wydała się jej ta muzyka. Poczuli się, jakby trafili do innego świata.

- Zawsze mi się zdawało - powiedział cicho Sydnam Butler, nachylając się ku niej podczas krótkiej przerwy - że harfa potrafi uchwycić prawdziwego ducha Walii.

- O tak, to musi być prawda.

A potem pan Llwyd zaśpiewał, przy akompaniamencie żony, miłym, lekkim tenorem, którego Anne mogłaby słuchać przez całą noc, chociaż nie rozumiała ani słowa. Wszystkich jednak zaćmiła lady Judith, która występowała na końcu. Freya postąpiła mądrze, upierając

się, żeby śpiewać na początku.

Lady Rannulf była uderzająco piękna, miała pełną, zmysłową figurę i wspaniałe, rude włosy. Mimo to pomysł, że wystąpi sama, wydał się Anne dziwny, nawet jeśli była dobrą aktorką.

- Mam nadzieję, że wybrała rolę lady Makbet. Widziałem ją w niej przedtem, była wprost nadzwyczajna.

Judith najpierw recytowała partię Desdemony, z rozpuszczonymi włosami, w eleganckiej zielonej wieczorowej sukni, która - dzięki kunsztowi aktorki - wydawała się negliżem bohaterki. Desdemona z niepokojem oczekiwała Otella, a potem broniła się i błagała o darowanie życia.

Anne ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się, jakby i służebna, i Otello znajdowali się w sypialni razem z Desdemona, mimo że scena była pusta! Jeszcze bardziej zdumiało ją, że Judith przestała wyglądać jak żona Rannulfa, którą przecież znała od blisko dwóch tygodni. Naprzeciw niej stała niewinna, kochająca, lojalna, przerażona, lecz pełna godności żona Otella.

Po tej recytacji Anne z trudem powróciła do rzeczywistości.

A potem, na specjalne życzenie księcia Bewcastle, Judith zagrała lady Makbet, również z rozpuszczonymi włosami, w nocnej koszuli, w scenie, która dzieje się w nocy. Na tym się kończyły podobieństwa. Aktorka przeobraziła się w potężną, bezlitosną, nękaną zwidami lady, która na próżno usiłuje zmyć z rąk krew. Anne utkwiała w nich wzrok, jakby się naprawdę spodziewała, że spłyną krwią króla Duncana.

Oklaskiwała entuzjastycznie występ wraz ze wszystkimi innymi. Judith naprawdę była wielką artystką.

Sydnam Butler spojrział na nią wyczekująco.

- No i co?

- Od dawna nie bawiłam się tak wspaniale - przyznała.

Zaśmiał się.

- Myślałem, że usłyszę „nigdy się lepiej nie bawiłam!”

- Jedna z moich przyjaciółek - wyjaśniła Anne - zjeżdżała wzdłuż i wszerz całą

Europę. Miała najświetniejszy sopran, jaki słyszałam. Jeszcze dwa lata temu uczyła w szkole panny Martin.

- A teraz jest...

- ...hrabiną Edgecombe. Zanim poślubiła wicehrabiego Sinclaira, teraz już hrabiego, nazywała się Frances Allard.

- Ach, wspominała ją pani, mnie zresztą też coś o niej mówiono, ale nigdy nie miałem sposobności słuchać jej śpiewu.

- Gdyby raz ją pan usłyszał, nie przepuściłby pan następnego występu.

- Zapewne. - Znów się uśmiechnął. Koło nich wszyscy już wstali, gawędzili i

zartowali. - Występy się skończyły. Teraz będą tańce - wyjaśnił. - Chyba czas już na mnie.

- Och! - Westchnęła, nim zdołała się powstrzymać. - Proszę, niech pan jeszcze zostanie.

Służba zwinęła dywan i otworzyła francuskie okna, żeby w salonie nie zrobiło się duszno. Pani Lofter siadła do pianoforte. To księżna wpadła na pomysł, że tańce będą lepszym zakończeniem przyjęcia niż karty, choć rozstawiono kilka stolików do gry dla chętnych.

Anne znów poczuła się nieswojo. Czyżby Sydnam szukał jakiejś wymówki, żeby opuścić gości. I ją?

- Czy koniecznie muszę siedzieć i patrzeć, jak pani tańczy?

- spytał, uśmiechając się do niej. - Byłbym zazdrosny o partnerów, panno Jewell.

Po raz pierwszy powiedział coś, co można było uznać za rodzaj flirtu.

- Wcale nie mam ochoty tańczyć - odparła, zgodnie z prawdą.

- Możemy usiąść i porozmawiać, jeśli pan sobie życzy. Chyba że naprawdę pragnie pan wrócić do domu.

- Pragnę jedynie zaczerpnąć świeżego powietrza. Może wyjdziemy razem na taras popatrzeć na księżyc?

Jak niemądrze zrobili, pomyślała, zrywając się na nogi. Zmarnowali cały tydzień, podczas którego mogli się przecież spotykać i rozmawiać. No, ale jest przecież jeszcze dzisiejszy wieczór, a potem niedziela rano...

- Chętnie - odparła. - Mogę pójść po szal? Kilka minut później wyszli na taras. Gracze siadali do kart, a tancerze ustawiali się w dwa rzędy wśród radosnego gwaru. Nikt nie zauważył ich odejścia.

Sydnam stanął i spojrzał w górę.

- Przewidziałem, że to będzie jasna noc. Ani jednej chmurki na niebie, a księżyc jest prawie w pełni, proszę spojrzeć.

- Z milionem gwiazd na dodatek. Dlaczego nie porusza nas, jak należy, ogrom i majestat wszechświata?

- Przywykliśmy do niego. Gdybyśmy oboje byli niewidomi od urodzenia i nagle dane nam było ujrzeć coś takiego, przejęlibyśmy się potęgą nocy. Albo patrzylibyśmy do świtu w niebo, albo przypadlibyśmy do ziemi, przeświadczeni, że zaraz nadejdzie nasz kres. A może po prostu uznalibyśmy, że jesteśmy osią i władcami wszystkiego, co widzimy?

Rzeźwy chłód był miłą odmianą po upalnym dniu. Anne pozwoliła szalowi zsunąć się z ramion i nabrała głęboko w płuca powietrza o lekkim zapachu soli.

- Miał pan wspaniały pomysł.

- Jeśli chce pani zobaczyć coś naprawdę godnego zachwytu, musi pani się wspiąć na to wzgórze przed nami. Była tam pani w dzień?

Pagórek, który wskazał, był częścią parku, ale zarazem przynależał też do dzikiej części urwiska, porośnięty chaszczami, polnymi kwiatami i trawą. Nie zaprowadziła jej tam żadna z zabaw czy gier, ale często podziwiała go z dala i zamierzała na niego wejść przed odjazdem, sama albo z Davidem.

- Nie, lecz sądzę, że rozciąga się stamtąd piękny widok. Butler spojrzał na jej wieczorowe pantofelki.

- To chyba nie będzie za daleko?

Może istotnie byłoby zbyt daleko, jak na wyprawę dla młodej panienki, gdyby wybrała się tam nocą w pojedynkę, ale nie dla Anne. Miała dwadzieścia dziewięć lat, była samodzielną kobietą, a nie dziewczynką, którą krępowały konwenanse i obecność przyzwoitek.

- Nie. Szli powoli, gawędząc po drodze. Nie pomyśleli, żeby wziąć ze sobą latarnię, okazała się jednak zbędna w tak jasną noc. Wzgórze było wyższe i bardziej strome, niż wyglądało, i Anne ciężko dyszała, wchodząc na nie. Podeszwy wieczorowych pantofli były zbyt cienkie i czuła pod nimi każdy kamyk. Ale kiedy dotarli na miejsce, stwierdziła, że trud się opłacił.

- Och, niech pan spojrzy! - zawołała.

Ale on patrzył na nią. Nocny wiatr, który tutaj wydawał się silniejszy, zwichrzył mu włosy.

- Wiedziałem, że zrobi to na pani wrażenie. Nawet w nocy mogła stąd dostrzec okolice na całe mile wokoło, uśpioną pod letnim niebem. Ale to morze wzbudziło jej zainteresowanie.

Rozciągało się poniżej rozległym łukiem, srebrząc się słabo w poświacie księżycy, od horyzontu po wybrzeże. Długi, czarny cypel po prawej odcinał się wyraźnie na tym tle i jeszcze bardziej niż zwykle przypominał ryczącego smoka. Z pagórka można było zobaczyć także i morze za nim.

- Trudno nie podziwiać tego smoka - przyznała, wskazując na cypel. - Rzuca wyzwanie całemu oceanowi, ani trochę nie onieśmielony jego ogromem i siłą.

- To nauka dla nas - odparł rozbawiony. - Czy istnieje gdzieś piękniejszy widok?

- Wątpię. Cieszę się, że mnie pan tu przyprowadził.

- Może posiedzimy chwilę w tym miejscu? Ale proszę usiąść na moim płaszczu, żeby nie ubrudzić sukni.

- Szal mi wystarczy. - Anne rozpostarła go na ziemi. - Widzi pan? Jest taki duży, że zmieścimy się na nim oboje. - Siadła po jednej stronie.

Po chwili Butler zajął miejsce obok niej.

- Przychodziłem tu czasami, gdy chciałem coś przemyśleć. Nawet w zimie, mimo chłodu i niepogody. To miejsce dzikie i pełne naturalnego piękna. Nigdy nie wygląda tak samo, ale zawsze koi duszę.

Zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili Sydnam zaczął wypytywać ją o szkołę.

Opowiadała o niej długo, zachęcona jego zainteresowaniem. Pomyślała przy tym, jak wiele miała szczęścia, znajdując zatrudnienie, które było raczej sposobem na życie niż pracą.

- A pan? - spytała. - Czy praca rządcy naprawdę pana interesuje? Opisał jej swoje obowiązki, a potem opowiedział o tutejszych wieśniakach, wśród których miał kilkoro przyjaciół.

- Gdy właściciela nie ma w majątku, można niemal uwierzyć, że wszystko należy właśnie do rządcy. Bardzo się przywiązałem do Glandwr i tutejszych ludzi. Chętnie bym tu

pozostał na zawsze, ale już to pani chyba mówiłem.

I ponownie zamilkł. Anne, chociaż nadal podziwiała morze, zrozumiała nagle, że najpiękniejszy widok rozciąga się ponad nią. Dostała lekkiego zawrotu głowy, przechylając się w tył. Położyła się więc na szalu, podkładając ręce pod kark.

- Ach, tak jest lepiej. Ileż gwiazd można zobaczyć!

- Jeśli chce pani je policzyć, proszę sobie nie przerywać.

- A przecież musi być jeszcze mnóstwo innych, których nie widzimy. Dokąd sięga wszechświat?

- On jest bez granic.

- Nie potrafię tego pojąć. Wszystko ma gdzieś granice! Gała rzecz w tym, co się rozciąga poza nimi!

Położył się przy niej, rozbawiony.

- Myślę, że odpowiedzi na to pytanie szukają astronomowie, filozofowie i teolodzy.

Nie ustają w staraniach, więc może je kiedyś znajdą. Podzielam pani ciekawość, ale czasami poprzestaję na czystym zachwycie.

- Ach, tak. - Błądziła wzrokiem po niebie. - Widzę Wielką Niedźwiedzicę, jedyny gwiazdozbiór, jaki umiem rozpoznać. Ale to nie ma znaczenia, prawda?

- Nie ma.

Nagle coś wzbudziło jej czujność. Znajdowali się tak blisko siebie, że czuła ciepło jego ciała tuż przy swoim. Mężczyzna i kobieta leżący razem nocą na samotnym szczycie wzgórza. I wciąż ze sobą rozmawiali, a nawet śmiali się razem.

Zostali przyjaciółmi.

Ale to nie przyjaźń powodowała, że jej serce biło szybciej, gdy podziwiali gwiazdy.

To było coś o bardziej zmysłowym charakterze. Czuła, że koło niej leży mężczyzna, i

sprawiła jej to satysfakcję. Nie miała jednak zamiaru robić niczego, co mogłoby rozbudzić jego uczucia, ani też pozwolić sobie na coś takiego.

Nagle się przestraszyła, i jego, i siebie.

Nie zastanawiała się nad swoimi uczuciami. Po prostu cieszyła się chwilą, wiedząc, że kiedy wróci do szkoły, będzie pamiętać tę noc i wspominać ją minuta po minucie. Może nawet poczuje żal, czym mogłoby być jej życie, gdyby nie...

Ale czy chciałaby teraz zmieniać w nim cokolwiek? Nawet jeśli chodziło o rzeczy najgorsze? Bez nich nie miałyby przecież Davida.

- Panno Jewell... - odezwał się w końcu Sydnam. - Czy nie za długo nas nie ma?

Tańce chyba się skończyły, a sąsiedzi odjechali. Mam nadzieję, że nie skompromitowałem pani w żaden sposób.

- Oczywiście, że nie. - Usiadła, przygładziła włosy i wstała. On też się podniósł. - Nikt nie zauważył naszego odejścia i nie dostrzeże powrotu. A nawet gdyby tak było, czy to coś znaczy? Jesteśmy dwojgiem przyjaciół, którzy wyszli odetchnąć świeżym powietrzem.

- Przyjaciół... - Spojrzał na nią i się uśmiechnął, gdy ponownie okryła ramiona szalem.

- Cieszę się, że nimi zostaliśmy. Ciekaw byłem po naszym ostatnim spacerze, czy tak się stanie.

Zdała sobie sprawę, że stoją tuż obok siebie. Miała ogromną ochotę znów wyciągnąć rękę i dotknąć jego policzka, ale Sydnam nie uczynił nic, żeby dotknąć jej w jakikolwiek sposób. Nie wiedziała, czy tego pragnie, ani czy ona też naprawdę tego chce.

Stali więc w bezruchu i była zadowolona, że tak się dzieje. Gdyby któreś z nich uczyniło taki czuły gest, oznaczałoby on dużo więcej niż tylko sympatię. Nie zniosłaby, gdyby chciał ją pocałować. Pragnęła tego i wzdragała się jednocześnie.

To właśnie to kazało jej się cofnąć. Nie była pewna, czy powodem był jego wygląd,

czy to, że ostatnim mężczyzną, który jej dotykał, był...

Odwróciła się.

- Ścigajmy się! Kto pierwszy stąd zejdzie! - zawołała i ruszyła przed siebie biegiem, z krzykiem i śmiechem, raniąc sobie stopy w balowych pantofelkach. Dotarła do stóp wzgórza tuż po nim.

Tańce właśnie się kończyły, kiedy weszli do salonu przez francuskie okno. Powstało spore zamieszanie, gdy goście zaczęli się żegnać.

Anne pomyślała, że wrócili w bardzo odpowiedniej chwili.

- Ja również muszę się pożegnać, panno Jewell. - Butler złożył jej ukłon. - Czy nadal chce pani wybrać się w niedzielę do kościoła razem ze mną?

- Jak najbardziej. Przyglądając się, jak żegnał się z księżną, zrozumiała, że jest - w tej chwili absolutnie szczęśliwa.

Podobnie jak jej syn, potrzebowała męskiego towarzystwa tak samo jak kobiecego. W jej życiu brakowało właśnie tego aspektu. Musiała się go wyrzec, kiedy... Nie chciała o tym myśleć.

Jutro będzie czwartek, do niedzieli brakuje jeszcze trzech dni. Policzyła je na palcach.

Za trzy dni znów go zobaczy.

Idzie z nią na nabożeństwo odprawiane po walijsku, z którego Anne nie zrozumie ani słowa? - Morgan spojrzała na Joshuę z najwyższym zdumieniem. Potem jednak domyśliła się, o co właściwie chodzi.

- Ach, to bardzo obiecujące! - zawołała uradowana.

- Obiecujące? - Aidan zmarszczył brwi. - Nabożeństwo? Morgan, chyba do samej śmierci nie zdołam zgłębić kobiecego umysłu.

- Poprosił, żeby poszła z nim do kościoła? - Alleyne przewrócił oczami. - Śmiały choć ryzykowny pomysł. Nie miałem pojęcia, że Syd jest aż tak przebiegły!

- A może - spytał Rannulf - potrzeba im przyzwoitki? Nie ma chętnych? Joshua, ty jeden lepiej ją znasz.

- Jestem również jedynym człowiekiem obarczonym obowiązkiem zabraniaj jej syna do kościoła razem ze wszystkimi innymi - odparł markiz. - Nie mogę być w dwóch miejscach naraz, Ralf.

Judith cmoknęła językiem.

- Zaproszenie obojga na czwartkowy obiad z pewnością było dobrym posunięciem, Christine. Podziałało zgodnie z naszymi zamiarami.

- Choć Freya omal wszystkiego nie zepsuła, zawracając Sydowi głowę - dodał

Rannulf. - Mało brakowało, a skurcz złapałby mnie w kark, tak gorliwie dawałem jej znaki głową.

- Nonsens, Ralf, niczego podobnego nie robiłeś! - Freya prychnęła. - Oczywiście, że z nim rozmawiałam. Nic nie może być w takich przypadkach zbyt oczywiste. Gdyby Syd zaczął podejrzewać, choćby przez moment, że chcemy ich wyswatać, uciekłby w te pędy. Nikt zresztą nie mógłby go wtedy winić.

- Ja na pewno nie, Freyo - stwierdził Alleyne.

- A ja bym się obawiała, żeby panna Jewell nam nie uciekła - rzekła księżna. -

Najchętniej spędziłaby cały miesiąc w jakimś ciemnym kącie, gdybyśmy jej na to pozwolili.

Zauważyłaś, jak szybko odeszła od stołu po śniadaniu parę minut temu, zamiast z nami zostać? Lubię ją ogromnie i zgadzam się, że obydwójce z Butlerem zbliżyliby się do siebie, gdybyśmy tylko pozwolili im lepiej się poznać.

- Pozwolenie to odpowiednie słowo w tym wypadku, Christine - uznał Aidan. - Ale dlaczego mielibyśmy uważać, że skoro obydwójce są samotni, to koniecznie muszą się zainteresować sobą? Czegoś tu nie rozumiem.

- Zgodzisz się chyba - stwierdziła Rachel - że najpierw powinni się przekonać, czy do siebie pasują. I to do nich należy pierwszy ruch. Powinni pójść na plażę, a potem zaplanować kolejny spacer. To przecież ty, Rannulfie, powiedziałeś nam w czwartek wieczór, że razem wyszli na półtorej godziny. Mimo że, oczywiście, wszyscy to zauważyliśmy.

- Wszystko to razem wzięte wskazuje - zabrał głos Aidan - że są na dobrej drodze do romansu. Zupełnie jak Eve i ja swego czasu.

- Ale musisz przyznać, że Wulfric trochę ci wtedy pomógł - dodała Eve.

- Wulfric jako swat! - zdumiał się Gervase. - Dobry Boże! To się w głowie nie mieści!

Księżę nie wydawał się zaskoczony tymi uwagami. Uniósł jedną brew i odstawił filiżankę z kawą.

- Sądzę, że memu rządcy i pannie Jewell, która jest moim gościem, wolno spacerować w ciepły letni wieczór, a także pójść wspólnie do kościoła. I nie musi to budzić tak gorączkowych spekulacji wewnątrz mojej rodziny, że szkodzi mi to na trawienie. Christine, czy niańki wiedzą, że za dziesięć minut dzieci mają się tu zjawić?

- Oczywiście, kochany. - Księżna uśmiechnęła się do niego serdecznie. - A wśród tych

dzieci znajdzie się też David Jewell, tak że jego mama i Syd będą mogli pójść do kościoła zupełnie sami.

Jego Wysokość ujął rączkę Iorgnon, ale nie zacisnął na niej palców. Uważny obserwator mógłby nawet przysiąc, że wargi ułożyły się księciu w coś, co przypominało uśmiech. I że księżę spojrzał ciepło na żonę.

Dokładnie kwadrans później kawalkada powozów ruszyła spod frontowych drzwi pałacu w Glandwr, wioząc rodzinę Bedwynów oraz wszystkie ich dzieci i gości - w tym Davida Jewella - na poranne nabożeństwo do angielskiego kościoła we wsi.

Anne Jewell patrzyła na to z okna swojej sypialni w błogim przeświadczeniu, że nikt nie zauważył jej nieobecności poza Joshua i Davidem.

Sydnam stał w oknie sypialni swojego domku i spoglądał na podjazd. Jakiś czas temu przejechało nim mnóstwo powozów - nabożeństwo w kościele angielskim zaczynało się godzinę wcześniej niż w walijskiej kaplicy - ale nie dojrzał panny Jewell w żadnym z nich. A więc zamierzała przyjść na umówione spotkanie. Z jakiegoś powodu spodziewał się raczej, że się od niego wymówi. Być może dlatego tak niecierpliwie jej wyczekiwał.

Bał się, że zacznie padać deszcz, bo niebo było wciąż zachmurzone. Miał nadzieję, że dobra pogoda się utrzyma.

Nie czuł się najlepiej. Przywykł co prawda do swoich koszmarnych snów, ale i tak niełatwo było się z nich otrząsnąć po obudzeniu. Służba, łącznie z lokajem, wiedziała, że nie wolno go niepokoić w takie noce, nawet jeśli krzyczał albo szlochał, jak mu się czasem zdarzało. Był zadowolony, że żyje z dala od bliskich, którzy upierali się, że powinni mu towarzyszyć w takich chwilach. Jeśli w nocy nawiedził go koszmar, następnego dnia był znużony, apatyczny i przygnębiony. Na szczęście ten stary, znany mu dobrze wróg, utracił dawną siłę. Dziś Butler zdołał wziąć nad nim górę.

Pragnął, aby ostatnia noc nie była jedną z tych nawiedzanych przez upiorne sny.

Chciał być tego ranka całkowicie przytomny. To zapewne ich ostatnie spotkanie i ostatnia sposobność, by spędzić z nią chwilę sam na sam.

Zastanawiało go, czy wiedziała, jak bliski był pocałowania jej wtedy na wzgórzu.

Tamtą noc długo będzie pamiętał. Przyciągali się wzajemnie w sposób niemal nieodparty.

Dzięki Bogu, zdołał się temu oprzeć.

Nie byli parą, która łatwo mogła ulec pokusie flirtu czy romansu.

Gdy ujrzał ją na podjeździe - wysoką, smukłą, śliczną w sukni z kremowego muślinu i słomkowym kapeluszu z brązowymi wstążkami - poczuł, że wraca mu dobry nastrój. Rzadko mu się zdarzało znaleźć w kobiecym towarzystwie i szczerze się z tego cieszył. Założył kapelusz i wyszedł, żeby ją spotkać koło furtki.

- Mam nadzieję - zaczął, patrząc w niebo, gdy się już z nią przywitał - że nie zmokniemy. Chmury nie wyglądają już tak groźnie, jak przedtem.

Spojrzała w górę.

- Nie wzięłam parasolki. Zachowam jednak dobry humor nawet wtedy, gdy zniszczę sobie kapelusz.

I rzeczywiście wyglądało na to, że ma dobry nastrój, jakby się naprawdę cieszyła, że pójdzie z nim do kościoła. Szkoda, że stracili cały tydzień, skoro ta znajomość obydwójgu sprawiła tyle zadowolenia. Wiele myślał o Anne przez cały ten czas - miała tu zostać ledwie przez miesiąc, a ten już się skończył.

Teraz, poza domem, Sydnam czuł się mniej znużony.

- Wszyscy pojechali do kościoła angielskiego. Widziałem cały sznur powozów. Jak się pani od tego wymówiła?

- Rozmawiałam z Joshua i spytałam, czy nie mógłby zabrać tam Davida zamiast mnie.

Powiedziałam mu dlaczego. Na pewno nie zdradzi tego innym. Zresztą kogo może obchodzić, gdzie pójdę?

Ralf wspomniał Anne w rozmowie, gdy w zeszłym tygodniu wybrali się całą grupą na przejażdżkę. A potem spytał Sydnama, co sądzi o urodzie panny Jewell w sposób tak bezceremonialny, że mogło to być tylko rozmyślne działanie. Innym razem Sydnam dostrzegł spojrzenie Alleyne'a, kiedy wszedł razem z nią do salonu. Był w nim pełen rozbawienia domysł. A potem pochwycił błysk w oku Morgan, która uśmiechnęła się do niego miło. Bedwynowie mogli być o - wiele bardziej zainteresowani nieobecnością Anne, niż sądziła, ale nie chciał jej niepokoić, mówiąc o tym otwarcie. Do licha! Nie ich interes, z jaką kobietą zechciał się zaprzyjaźnić.

- Po południu księżna urządza dla wszystkich przejażdżkę - powiedziała. - Nie mogę wrócić zbyt późno.

- A ja zamierzałem pójść potem do Ty Gwyn, jeśli nie będzie padać.

- Gdzie?

- Ty Gwyn to po walijsku „biały dom”, choć w gruncie rzeczy jest zbudowany z szarego kamienia. Myślę, że dawniej stał tam istotnie jakiś biały budynek, ale rozebrano go i zbudowano na tym samym miejscu nowy jakieś sto lub więcej lat temu. Teraz Ty Gwyn należy do księcia, ale mam nadzieję, że odkupię go od niego i urządzę się w nim.

Poruszył ten temat podczas rozmowy z Bewcastle'em dwa dni temu. Księżę nie powiedział jednak ani „tak”, ani „nie”. Spoglądał tylko na niego przez dłuższą chwilę szarymi, nieco przymrużonymi oczami, trzymając w palcach lorgnon.

- Niewątpliwie masz zamiar przytoczyć teraz mnóstwo argumentów, świadczących o tym, że powinienem się zgodzić. Wysłucham ich wszystkich, zanim wyjadę z Glandwr, ale nie dzisiaj. Dziś księżna czeka na mnie z herbatą w salonie.

I tak się skończyło. Nie powiedział jednak „nie”.

- Wspominał pan o nim, kiedy szliśmy przez dolinę. Ale nie wymieniał pan wtedy jego nazwy. Ty Gwyn! Podoba mi się. Brzmi tak... pogodnie.

- Może chciałaby pani wybrać się tani ze mną przed odjazdem?

Pożałował swoich słów, ledwie je wypowiedział. Ty Gwyn miał być jego przyszłym domem. Chciał tam osiąść, zadomowić się i być tak szczęśliwy, jak tylko się da, przez całą resztę życia. Nie miał pewności, czy mądrze robi, zabierając do niego pannę Jewell, bo połączyłoby to wspomnienie o niej z tym właśnie miejscem - choć sam nie wiedział dlaczego. Ale nie mógł już cofnąć swoich słów.

- Chciałbym go pani pokazać. Co jakiś czas sprawdzam, czy park wokół niego jest porządnie utrzymany, a dom czysty, choć mija już chyba rok, odkąd się stamtąd wyprowadzili ostatni lokatorzy.

- W takim razie chętnie się tam wybiorę. Nie mówili o tym więcej. Gdy minęli bramę parku, skręcili w lewo, na wąską drogę okoloną z obu stron żywopłotami, a potem przeszli po kamiennym mostku nad doliną. Wkrótce dotarli do wsi, niedużej, ale malowniczej, pełnej domów z szarego kamienia, krytych strzechą lub łupkową dachówką. Stały rozrzucone wzdłuż drogi, a każdy z nich miał ogródek, okolony zielonym żywopłotem z ligustru, z grządkami kwiatów i trawnikami od frontu oraz długimi zagonami warzyw od tyłu. Kościół był wysoki, z wąską iglicą. Kaplica, raczej przysadzista i solidna z wyglądu, stała nieco bliżej drogi.

Sydnam nie zawsze do niej chodził. Choć uczył się walijskiego od pastora Rhysa i mógł zarówno zrozumieć, jak i powiedzieć kilka zdań w tym języku (przeczytać potrafił więcej), gubił się, gdy ludzie wokół niego zaczynali prowadzić zwykłą rozmowę, a z długich kazań niewiele rozumiał. Przychodził tam jednak od czasu do czasu, lubił brzmienie tego

języka i ferwor pastora, ale najbardziej przyciągała go tam muzyka.

Od dawna już nie czuł się skrępowany, gdy spotykał wieśniaków. Tego ranka był trochę zażenowany, bo pojawił się w kaplicy razem z panną Jewell i usłyszał szmer wśród zebranych, a potem coraz głośniejsze szepty. Wreszcie dostrzegł kiwanie głowami. Jedno spojrzenie rzucone na Anne powiedziało mu, że i ona była nieco zakłopotana.

Czuł jednak, że długo będzie pamiętać to poranne nabożeństwo. Może nawet zawsze.

Choć wieśniacy przyzwyczaili się do jego wyglądu, wielu wciąż trzymało się od niego z dala, bardziej zresztą z szacunku niż z odrazy, jak sądził. Zawsze też siedział w osobnej ławce. Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj przez półtorej godziny będzie koło niego siedzieć piękna kobieta. Dobrze, że ludzie nie mogą czytać w jego myślach. Podczas długiego kazania zabawiał się bowiem najróżniejszymi fantazjami na temat ich znajomości.

Najbardziej chciał zapamiętać, jak się rumieniła i uśmiechała, gdy Tudor Rhys przeszedł nagle na angielski, by przedstawić ją wiernym i powitać. A także sposób, w jaki stała, oczarowana, podczas każdego z hymnów, gdy ponad stu Walińczyków śpiewało na chwałę bożą. Robili to w sposób doskonale harmonijny.

Tak, pomyślał, gdy wyszli z kaplicy, uściskawszy przedtem dłoń pastorowi, i uśmiechali się do grupek plotkujących na ulicy ludzi, zapamięta ten dzień na zawsze.

Mógł więc równie dobrze zabrać ją do Ty Gwyn i zapamiętać także to, by mieć co wspominać, gdy ona wróci do Bath.

Nie wiedział, czy te wspomnienia sprawią mu ból, czy radość. A może będą mu obojętne? Czas pokaże.

- Rozumiem, dlaczego tak pan kocha Walię - powiedziała, kiedy wracając do

Glandwr, zatrzymali się kilka minut na moście, żeby spojrzeć w dolinę. - To coś więcej niż

inna kraina. To inny świat. Bardzo się cieszę, że tutaj przyszedłam!

- Ja też. A potem poczuł się nieswojo i nawet trochę się zaniepokoił, bo nie odpowiedziała i obydwójce tkwili nieruchomo na moście, a jego słowa jakby zawisły w powietrzu, póki nie ruszyli dalej i nie weszli znów przez bramę do parku. Zastanawiał się, co mógłby jeszcze powiedzieć.

Nie był nawet pewien, czy go ucieszyło, że przyszła. Nauczył się znosić celibat, bo nie ani nikt mu nie przypominał, że coś stracił, gdy stał się kaleką.

Potem do Glandwr przyjechała Anne Jewell. Weszła w jego życie. Była nie tylko zachwycająco piękna, lecz również chciała się z nim zaprzyjaźnić. Ale nie wolno mu zapomnieć, jak zareagowała pierwszy raz na jego widok i jak się - wzdrygnęła po przypadkowym dotknięciu jego policzka na skałach pomiędzy plażami. Ani o tym, jak odwróciła się i zbiegła ze wzgórza kilka dni temu, kiedy o mało jej nie pocałował. Zaprzyjaźniła się z nim. I nic więcej.

Będzie musiał walczyć z różnymi demonami, gdy ona wyjedzie.

Wkrótce miał ją utracić. A potem będzie się starał zapomnieć o niej.

Po niedzielnym poranku, gdy oboje poszli razem do kościoła, widywali się niemal codziennie.

Tamta wyprawa poruszyła Anne bardziej, niż się spodziewała. Było to dziwne, zważywszy że z walijskiego nabożeństwa nie rozumiała ani słowa. Chociaż może nie była to do końca prawda. Coś w słowach pastora i w nastroju panującym w kościele głęboko przemawiało do jej serca - nie tylko muzyka, ale i wszystko inne. Było też coś niezaprzeczalnie atrakcyjnego w tym, że towarzyszył jej mężczyzna, że siedział obok niej w ławce i że wracał razem z nią.

Bywało, że spotykała go teraz przypadkiem, na przykład na urwisku - wybrała się tam

pewnego wieczoru, gdy David poszedł już spać. Częściej jednak robiła to celowo, zazwyczaj po południu, kiedy on skończył swoją pracę, a David bawił się z dziećmi.

Sydnam i pan Jones pokazali jej walijską szkołę. Siedli we trójkę w pustych, wąskich ławkach jednej z klas i rozmawiali ponad godzinę - albo, ściślej mówiąc, Anne i Sydnam słuchali, jak nauczyciel rozprawia o Walii, walijskich dziejach i o edukacji. Nauczał po angielsku i po walijsku Anne ze zdziwieniem dowiedziała się, że ma uczniów mówiących tylko albo w jednym, albo w drugim języku. Nieodmiennie już po paru tygodniach stawali się dwujęzyczni.

Sydnam zabrał ją także do państwa Llwyd, gdyż ze szczerym podziwem mówiła o ich występie w pałacu. Pani Llwyd poświęciła jej ponad pół godziny, pokazując instrument i grając na nim, podczas gdy Sydnam rozmawiał z jej mężem o gospodarce. Pani Llwyd nie chciała ich puścić bez herbaty, więc przy okazji poznali jej dwóch synów, jedenasto - i dwunastoletniego. Obydwaj chłopcy pragnęli poznać Davida, o którym wspomniała Anne. Obaj też chodzili do wiejskiej szkoły.

Anne krążyła z Sydnamem Butlerem po wiejskich uliczkach, siadywała z nim nad strumieniem albo spacerowała po plaży. Pewnego razu wybrali się na cypel, który obydwójce zwali Smokiem.

- Niektórzy z tutejszych ludzi mówią nawet, że to prawdziwy walijski smok, zaklęty w kamień przez morskie bóstwo - opowiadał z rozbawieniem Butler. - To piękna legenda, ale myślę, że po prostu próbują się przekonać, jak bardzo łatwowierny może być Anglik.

Tego dnia urządzili sobie piknik. Zabrali z sobą herbatę i cieniutkie jak wafle kromki chleba z masłem i serem, a na deser ciasto i lemoniadę. Wybrali miejsce daleko od stałego lądu, otoczone z trzech stron wodą.

- Czuję się, jakbym była na statku - powiedziała - płynącym gdzieś w dalekie,

egzotyczne strony.

- wyprawa w nieznane, by już nie wrócić?

- Nie. Zostawiłabym tu zbyt wiele. No i nie wyruszyłabym w taką podróż bez Davida.

- Ma pani zupełną rację. A więc to wyprawa na jedno bardzo długie popołudnie.

- Zgoda - odparła, wyciągając się na trawie i patrząc w błękitne niebo, jak tydzień wcześniej na wzgórzu. - Na długie popołudnie. Niech mnie pan zbudzi, kiedy trzeba będzie wracać do domu.

Zaczął lekko wodzić po jej nosie długim źdźbłem trawy ledwie parę chwil po tym, jak zamknęła oczy, i obydwójce wybuchnęli śmiechem z twarzami tuż przy sobie. Znow zamknęła oczy, tylko po to, żeby nie widział w nich napięcia i żeby nie patrzyły na nic innego.

Czerpała z tego zresztą swoistą, zabarwioną poczuciem winy satysfakcję. Wciąż nie mogła znieść myśli, że on mógłby jej dotknąć. I nadal nie wiedziała, czy to nie przed jego wyglądem się wzdraga, czy ucieka przed wspomnieniami, jak ją poniżono. Może chodziło o jedno i o drugie.

Nie padało w tych dniach ani razu. Niebo pozostawało bezchmurne.

Rozmawiali, jak się jej wydawało, o wszystkim i o niczym. Czuła się z nim tak dobrze, jak z najbliższymi przyjaciółkami, choć był mężczyzną. Jak dobrze było mieć takiego przyjaciela! Przestała się przejmować, czy inni ją z nim widują, czy nie, a niewątpliwie Bedwynowie oraz inni goście musieli ich widzieć razem. Dlaczego miałyby się zresztą o to troszczyć? Nie zaszło między nimi nic, co należałoby ukrywać, i nikt, nawet Joshua, nie drażnił jej zarcikami dotyczącymi jej przyjaźni z rządcą Glandwr.

Nawet David zobaczył ich pewnego popołudnia. Bawił się na trawniku razem z innymi dziećmi, gdy obydwójce nadeszli od strony wzgórza. Odłączył się od gromadki malców, żeby do niej podbiec.

- Mamo! - zawołał. - Popatrz, otarłem sobie palec o korę, ale lady Eve zabrała mnie do pokoju dzieciennego, opatrzyła mi rękę i już mnie tak nie boli, tylko trudno nią chwytać piłkę. Jak się pan ma, panie Butler? Dzisiaj rano znowu malowałem. Nie mogę się doczekać, kiedy pan Upton nauczy mnie malować farbami olejnymi! O, Jacques mnie woła, muszę już iść! I puścił się pędem, nie czekając na odpowiedź. Anne spojrzała na Butlera. Uśmiechał się do niej.

- Kiedy byłem chłopcem, nie wierzyłem, żeby można było spędzać z dorosłymi dużo czasu. Czuję się zaszczycony.

- David jest tutaj bardzo szczęśliwy. Obawiam się, że przygnębi go powrót do Bath.

- Chyba że zabierze się tam energicznie za pana Uptona. Dobrze było mieć przyjaciela, z którym mogła rozmawiać o wszystkim. Czasem jednak unikała pewnych tematów, jeśli mogły budzić przykre wspomnienia lub uczucia. Raz na przykład, gdy spytał ją o rodzinę, zaczęła zamiast tego mówić o Frances i o tym, jak urządziła pokój specjalnie dla niej, Susanny lub Claudii w Barclay Court i tam przyjmowała ich wizyty, kiedy przyjeżdżały do hrabstwa Somerset. Sydnam nie skomentował tej zmiany tematu. On też wołał o pewnych rzeczach nie wspominać. Anne wiedziała już, że jedną z nich był jego talent malarski. Nigdy o nim nie mówił.

Zaskoczyło ją, kiedy pewnego razu spojrzała na kalendarz i zrozumiała, że zaczął się ostatni tydzień jej walijskich wakacji. Na początku spodziewała się, że z niecierpliwością będzie wyczekiwać ich końca, teraz nie mogła uwierzyć, że ta chwila jest tak blisko. Żałowała tego nie tylko ze względu na Davida, ale i na siebie.

Przede wszystkim czuła smutek z powodu nieodwracalnego kresu przyjaźni, która co prawda ledwie się zaczęła, lecz dała jej mnóstwo zadowolenia.

Ale to musiało się skończyć. Anne nie przypuszczała, by spotkali się jeszcze kiedyś

albo by pisywali do siebie po wyjeździe. Może za miesiąc będą jeszcze pamiętać wspólnie spędzone chwile, ale za rok ledwie o sobie pomyślą. Albo nawet i wcale.

Zapomniała już, że chciał ją zabrać do Ty Gwyn, domu, który miał zamiar kupić od księcia Bewcastle. Sydnam wspomniał jednak o tym na trzy dni przed jej wyjazdem. Był wtedy w Glandwr na obiedzie. Siedli potem we dwoje w salonie, trochę dalej od innych, jak zresztą mieli w zwyczaju przy innych okazjach. Nikt nie powiedział ani nie zrobił niczego, co sprawiłoby, że poczuliby się zażenowani.

Anne przypuszczała, że to dlatego, iż zbyt mało znaczy, by w ogóle ktoś ją zauważał.

Chociaż z drugiej strony wszyscy traktowali ją z absolutną uprzejmością i życzliwością. Co do Sydnama, był tylko rządcą. Któż by się nimi przejmował?

- Czy wybrałaby się pani ze mną na przejażdżkę? Powiedzmy pojutrze? - spytał. -

Fatalnie się składa, że jutro przez cały dzień będę zajęty, ale pojutrze już nie. Pomyślałem, że moglibyśmy sobie urządzić piknik w Ty Gwyn. Jednocześnie zyskałbym okazję, żeby się przekonać, czy zrobiono tam wszystko tak, jak nakazałem.

Pojutrze urządzano jednak wycieczkę - wszyscy wybierali się dość daleko, bo do zamku Pembroke. Starsze dzieci były bardzo podniecone perspektywą wspinania się na blanki i zwiedzania lochów. Spodziewano się jej udziału w tej wyprawie, Anne wiedziała jednak, że nie jest to konieczne. Chociaż wszyscy dorośli poświęcali dużo uwagi własnym dzieciom, to opiekowali się też innymi i w rezultacie David miał zarówno licznych „zastępczych ojców”, jak i kilka „zastępczych matek”.

Nie zamierzała go zaniedbywać, wręcz przeciwnie. Spędzała z synem o wiele więcej czasu niż z Butlerem, a przynajmniej z tą grupą dorosłych i dzieci, w której się znajdował.

A jednak bardzo chciała zobaczyć Ty Gwyn, a potem móc go wspominać i wyobrażać sobie Sydnama w tym domu. Pragnęła spędzić z nim jeszcze jedno popołudnie. Pewnie już

ostatnie.

Była to dość przygnębiająca myśl.

- Bardzo bym chciała tam pójść - odparła. - Porozmawiam z Davidem, żeby się upewnić, że nie będzie miał do mnie pretensji, jeśli nie pojedę do Pembroke. Poproszę też Joshuę, aby go pilnował. Nie wierzę, żeby mieli coś przeciw temu.

- Przyjadę tu o pierwszej dwukółką, jeśli pani się zgodzi. Dwukółką! Po raz pierwszy mieli gdzieś jechać, a nie iść. Czy będzie im towarzyszył stajenny? Trzy osoby to trochę za wiele na taki pojazd.

Bardzo ją cieszyła perspektywa wyjazdu, mimo że musiała zrezygnować ze zwiedzania zamku. Trudno jej było zasnąć. Zupełnie jak dziecku, któremu coś obiecano, pomyślała z pewnym niesmakiem. Ale nie tylko dlatego sen nie nadchodził.

To miało być ich ostatnie wspólne popołudnie.

Bardzo chciała, żeby dobra pogoda utrzymywała się jeszcze przez jeden dzień.

Pogoda jej nie zawiodła.

Gdy powozy odjechały rankiem do Pembroke, słońce błyszczało na jasnobłękitnym niebie. A kiedy zjawił się Sydnam - dwukółką nadjechała od strony stajni niemal w tej samej chwili, Anne dojrzała ją z okna sypialni - wciąż jeszcze nie było na niebie najmniejszego obłoczka.

Zawiązała pod brodą wstążki słomkowego kapelusza i niemalże zbiegła ze schodów bez czekania na zaproszenie. Czuła się znowu jak młoda dziewczyna.

Sydnam stał na środku holu i spoglądał na nią z uśmiechem. Dziwne, jak szybko zdołała przywyknąć do jego wyglądu - do pustego rękawa, czerwonej, znieruchomiałej połowy twarzy, opaski na oku.

- Wygląda na to, że czeka nas piękne popołudnie - zauważył.

Tuż przy koniu stał stajenny, lecz z szacunkiem dotknął palcami daszka czapki i nie ruszył się z miejsca, gdy Sydnam pomagał jej wsiąść do dwukółki, a potem oddał mu lejce i ruszyli.

A więc Sydnam zamierzał sam powozić! Powinna się była tego spodziewać. Przecież stawiał czoło różnym wyzwaniom, w tym jeździe konnej.

- Może pani być spokojna - zapewnił ją, jakby czytał w jej myślach. - Mam w tej dziedzinie duże doświadczenie. Zadziwiająco, ile rzeczy można robić jedną ręką! Bywało, że powoziłem całym zaprzęgiem, choć muszę przyznać, że trochę się wtedy bałem.

I rzeczywiście, równie dobrze radził sobie z powożeniem jak przedtem z jedzeniem czy innymi czynnościami. Przekonała się o tym, gdy bez wysiłku zawrócił konia na podjeździe, a później, kiedy zatrzymali się pod jego domkiem, żeby zabrać koszyk z prowiantem, i gdy przejeżdżali przez bramę i po moście. Skręcił wtedy z głównego traktu na

węższą drogę, wiodącą poza wieś.

- Czy może pan pisać lewą ręką?

- Potrafię nakreślić parę koślawych liter i - dziwna rzecz - inni umieją je odczytać.

Piszę przez minutę słowo, które ma więcej niż trzy litery, lecz tylko pod warunkiem, że przygryzę język pod odpowiednim kątem.

Wybuchnęła śmiechem, on również. Nie mogła uwierzyć, że początkowo widziała w nim załamanego człowieka. Z pewnością nie był kimś, kto uważałby się nad sobą. Potrafił się śmiać z każdego żartu, nawet z siebie samego, co świadczyło o harcie ducha.

- Czy nie mógłby pan trzymać pędzla w lewej ręce?

Od razu pożałowała tych słów. Chociaż naprawdę chciała wiedzieć, czy próbował podjąć także i to wyrwanie. Czy poniósł porażkę? Zrozumiała, że przekroczyła pewną granicę. Nie dał tego poznać po sobie, lecz wyczuła to po krótkim, pełnym napięcia milczeniu, jakiego przedtem nie było między nimi.

- Nie - odparł po chwili. - Mój pędzel nadal tkwi w mojej prawej ręce, panno Jewell.

Posłużył się czasem terażniejszym. Nie rozumiała, co chce przez to powiedzieć, ale o nic więcej już nie pytała. I tak posunęła się za daleko. Tuż za wioską wziął ostry zakręt.

Droga była tu tak wąska, że koła niemal ocierały się o żywopłoty.

- Co będzie, jeśli ktoś nadjedzie z naprzeciwka?

- Ktoś musi się wtedy cofnąć. To daje lepsze rezultaty niż robienie groźnych min.

Tutaj można się stać ekspertem w tej dziedzinie.

Zielone zboże chwiało się na wietrze po prawej, owce pasły się na bardziej kamienistych ziemiach po lewej, w oddali wciąż pojawiało się wszechobecne morze i urwiska, a w powietrzu wisiała woń soli.

- Musi pani być bardzo dumna z syna? Jest uroczym dzieckiem.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem i wyraźnym zadowoleniem.

- Ralf, Alleyne i Freya mówili mi kilka dni temu, jaki jest miły i pojętny - wyjaśnił - i jak chętnie bawi się z młodszymi od siebie dziećmi, których tu przecież nie brakuje.

- Zawsze był dobrym chłopcem. Wszystkie nauczycielki i uczennice go lubią. Kiedy był mniejszy, myślałam, że w szkole będzie mu najlepiej, ale nie może już tam dłużej pozostawać. W ciągu ostatniego miesiąca coraz wyraźniej się o tym przekonuję, mimo że przeraża mnie myśl, iż Joshua będzie musiał mu wyszukać szkołę dla chłopców. - Och, panie Butler, być matką jest o wiele trudniej, niż mogłam przypuszczać.

- Doprawdy? - Sydnam spojrzał na nią, nim skręcił w porytą koleinami polną drogę.

- Próbowałam formować go i kontrolować - podjęła - bo wiem, co dla niego najlepsze i kim powinien się stać. Na przykład usiłowałam go przekonać, że malowanie to tylko miła rozrywka. A tymczasem on ma zamiar zarabiać w ten sposób na życie, gdy dorośnie. Ze zdumieniem widzę, jak bardzo się ode mnie różni. Ma własne potrzeby, marzenia, wolę.

Dlaczego mnie to właściwie zaskakuje? Przecież zawsze wiedziałam, że wiele rzeczy trzeba poznać na własnej skórze, żeby je zrozumieć. Kiedy się nie ma własnych dzieci, rola ojca czy matki wydaje się łatwiejsza. Zaśmiał się z cicha.

- Może to dobrze, że ja ich nie mam.

- Och! - Odwróciła się gwałtownie ku niemu. - Źle mnie pan zrozumiał. David jest dla mnie prawdziwym skarbem.

Poczuła się winna, że do końca dnia nie zobaczy syna. Czy dobrze się teraz bawi? Czy nie spadnie ze schodów albo z blank? Czy Joshua będzie go należycie pilnował? Czy nie sprawi kłopotu swoim zachowaniem?

Sydnam Butler patrzył na nią z uśmiechem. Dlaczego on nie ma dzieci? Czy nigdy nie zamierzał się ożenić? A może jest bezpłodny? Czy te tortury...

Jej uwagę zaprzętnęło naraz coś innego. Dwukółką stanęła i Anne ujrzała, że teren przed nimi się obniża, tworząc obszerną kotlinę. Na jej brzegach rosły drzewa, prócz jednego miejsca, gdzie ścieżka przechodziła w szerszy, wysypany żwirem podjazd, wiodący po drewnianym wiejskim mostku o pięciu przęsłach. Rozległe, soczyste łąki ciągnęły się po drugiej stronie. Pasły się na nich owce. Niektóre z nich kryły się przed słońcem w cieniu kilku starych dębów i wiązów.

Gdzieś tu na przeciwnym zboczu powinno być niskie ogrodzenie, pomyślała sobie.

Powyżej mogła dojrzeć trawniki, grządki z kwiatami i coś, co wyglądało na ogród różany. Ale to dom, również na tym dalszym zboczu, przyciągnął jej uwagę. Zbudowany z szarego kamienia i niezbyt może atrakcyjny pod względem architektonicznym, miał trzy kondygnacje, duże okna w dwóch dolnych i małe, kwadratowe okienka tuż pod dachem. Wyglądał solidnie i kanciasto. Prawie połowę ścian porastał bluszcz. Okalały go drzewa.

Nie był to ani zwyczajny dom, ani pałac. W porównaniu z niezbyt odległym Glandwr wydawał się niewielki. Najlepiej pasowałoby do niego słowo „dwór”. Kotlina, w której znajdowały się dom i park, stwarzała wrażenie, że rezydencja jest położona daleko od reszty świata. Morze było widać po drugiej stronie drogi.

Sydnam wciąż siedział w dwukółce, nie zeskoczył, żeby otworzyć przed nią furtkę.

Przypatrywał się Anne.

- Co pani o tym myśli?

- Myślę - odparła, chłonąc wzrokiem dom, drzewa, ogród, łąkę z owcami i park wokoło - że będzie pan tu szczęśliwy.

Jak ktoś mógłby tu nie być szczęśliwy? Nagle poczuła zazdrość.

- Kiedy tutaj przybyłem, w Ty Gwyn mieszkał emerytowany kapitan wraz z żoną.

Wynajęli go na dziesięć lat. Zeszłego roku, gdy odjechali, nie spieszyłem się ze znalezieniem

nowych lokatorów. Myślę, że tylko w tym uchybiłem obowiązkom rządcy Bewcastle'a.

- Czy sprzeda go panu?

- Jeszcze nie wiem. Zdecyduje przed wyjazdem. Butler musiał być bardzo zamożnym człowiekiem, skoro mógł sobie pozwolić na kupno tej posiadłości. Dzielilo ich więcej, niż przypuszczała. Cieszyło ją jednak, że się zaprzyjaźnili.

- Czy potrzyma pani lejce, kiedy będę otwierał?

- Niech pan pozwoli, żebym ja to zrobiła. Nie czekając na odpowiedź, zeskoczyła z dwukółki i otworzyła furtkę, a potem wsparła się stopą na dolnej poprzeczce i odjechała na niej w bok.

Butler patrzył na nią z poważną twarzą. Nie wiedziała, co sobie pomyślał. Czy go uraziła? Może sądził, że uznała go za niezdolnego do wykonania tej czynności?

- Nie mogłam się temu oprzeć - powiedziała. - Czy poczeka pan chwilę, żebym mogła przedostać się przez przełaz?

- Kiedy furtka jest otwarta?

- Przełazy są po to, żeby z nich korzystać.

Wskazał go zatem dłonią, składając jej jednocześnie z wysokości kozła ironiczny ukłon.

Wspięła się po dwóch kamiennych stopniach i przerzuciła obie nogi przez drewnianą barierkę. Przysiadła na niej, a potem odwróciła się do niego z uśmiechem. Sydnam zeskoczył z dwukółki, okręcił luźno lejce na najwyższej poprzeczce i ruszył ku niej z wyciągniętą dłonią, chcąc jej pomóc.

- Gdybym miał obie ręce, zachowałbym się jak dżentelmen i zdjął panią stamtąd.

- Ale wtedy - odparła, podając mu jedną rękę, a drugą podtrzymując suknię - straciłabym szansę zejścia stąd majestatycznie niczym królowa!

Dolny stopień zachybotał się niebezpiecznie pod jej ciężarem i marzenia o królewskiej godności prysły w jednej chwili. Anne zachwiała się i o mało nie upadła na Butlera. Parsknęła śmiechem i spojrzała mu prosto w twarz, która znalazła się niemal tuż przy jej własnej. Uderzyło ją nagle, że już raz coś podobnego się zdarzyło. Tego dnia, gdy wspinali się na skały.

Jego oko było bardzo ciemne i patrzyło na nią przenikliwie. Wargi, z których zniknął uśmiech, okazały się niezwykle piękne. Czuła jego oddech na swoim policzku i bijące od niego ciepło. Przez krótką, szaleńczą chwilę nachyliła się ku niemu z przymkniętymi oczami. A potem szarpnęła się wstecz i znów parsknęła śmiechem, puszczając jego rękę.

- Dziękuję. Odpokutowałam swoje fanaberie. Upadłabym, gdyby mnie pan nie podtrzymał. Moja duma i godność ucierpiałyby zapewne więcej niż ciało, ale dumę i godność także trzeba chronić.

- Muszę obejrzeć potem ten schodek - mruknął. Chwilę później znaleźli się w dwukółce i wjeżdżali w kotlinę.

O mało nie dotknęła go po raz drugi! Nie tylko jego ręki, ale ciała. Omal go nie pocałowała. A on był tego świadomy. Siedział teraz sztywno koło niej, wiedząc doskonale, że się cofnęła przed tym kontaktem. Nie znał jednak powodu.

Nie chodziło wcale o niego, tylko o nią.

Bliskość mężczyzny budziła w niej odrazę.

A może mu ulżyło? W końcu nie była dziewicą. Została przecież zgwałcona. Miała dziecko. Mogło go to odpychać równie mocno jak to, co odpychało ją od niego.

Spojrzała ku łące, domowi i ogrodowi, żałując, że beztroski nastrój przeminął.

W Ty Gwyn nie było stałej służby. Sydnam dopilnował jednak, by ogród utrzymywano w należyтым stanie, a dom wietrzono i sprzątno. Jako rządca księcia

Bewcastle zrobiłby to nawet wtedy, gdyby nie interesował się tą posiadłością. Przychodził tu jednak zbyt rzadko, żeby osobiście mieć nad wszystkim pieczę.

Odprowadził dwukólkę do stajni, wyprzągnął konia, nakarmił go i напоił. Panna Jewell przyglądała się temu. Nie przyjął jej pomocy. Pozostawił koszyk z prowiantem tam, gdzie był. Później zdecydują, kiedy go będą chcieli zabrać.

Dziwnie się ościagał przed wejściem razem z nią do domu. A może właśnie na odwrót, ogromnie tego chciał, ale czekał, aż nadejdzie właściwa pora. Był jeszcze trochę wytrącony z równowagi incydentem przy przełazie. O mało jej nie pocałował. Cóż by to było za *faux pas!*

Wyczuwał jej opór. Jeszcze raz pomyślał, że absolutnie nie powinien się w niej zakochać.

Niekiedy jednak - chyba dlatego, że zostali przyjaciółmi i że dobrze się czuł w jej obecności - zapominał, że między nim a żadną kobietą nie może istnieć nic prócz przyjaźni.

Na razie nie chciał się znaleźć wewnątrz domu sam na sam z panną Anne Jewell. W

kwiecistej, muślinowej sukni z wysokim stanem i słomkowym kapelusiku - jedno i drugie z

błękitnymi wstążkami - wyglądała jeszcze bardziej pociągająco niż zwykle. A przecież

widział ją już przedtem tyle razy. Po kilku tygodniach pobytu w Glandwr miała zdrowszą,

nieco zbrązowiałą od słońca cerę. Pewnie nie byłaby zadowolona, gdyby jej o tym

wspominał. Damy zazwyczaj nie cenią sobie opalenizny. Nie wierzył, by kiedykolwiek mógł

zapomnieć, jak wyglądała, stojąc na najniższej poprzeczce furtki i spoglądając ku niemu z

uśmiechem, niczym beztroska dziewczyna.

Zabrał ją na spacer do parku, wzdłuż ścieżek wydeptanych pomiędzy drzewami, a

potem na łąki. Mijali owce, podziwiali stokrotki, podbiały i koniczynę, których nie było na

lepiej utrzymanych trawnikach poza niskim ogrodzeniem. Później przeszli na tyły domu,

gdzie rosły rzędy warzyw, i przed budynek, gdzie pyszniły się barwne grządki pełne kwiatów.

Jak się z zadowoleniem przekonał, nie było na nich żadnych chwastów. A wreszcie znaleźli

się w ogrodzie różanym.

Z przyjemnością przysiadł na ławce - prawe kolano dokuczało mu po tak długim spacerze. Powietrze było tutaj ciężkie od woni róż, które rosły na klombach i pięły się po kratkach. Patrzył, jak Anne nachyla się nad jednym z klombów, żeby obejrzeć z bliska najpiękniejsze kwiaty, dotknąć je i powąchać.

Pomyślał, że wygląda na zadowoloną i odprężoną.

Nie wiedział, czy zdołałby znieść rozczarowanie, gdyby Bewcastle odmówił mu sprzedaży. Nie wierzył, by mógł wówczas tutaj pozostać. Była to niepokojąca myśl, bo nie miał ochoty żyć gdzie indziej.

Lecz gdyby nawet osiadł w Ty Gwyn na zawsze i siedział tu znów w inne ciepłe, senne, letnie popołudnie, to byłby sam.

I żadna piękna kobieta nie stałaby wśród kwiatów.

- Może chce pani ściąć trochę róż i zabrać je do Glandwr? Przyniosę z domu nóż.

- Zwiędną - odparła, odwracając się ku niemu. - Wolałabym je zostawić tam, gdzie rosną. Ale dziękuję panu.

Wstał, gdy do niego podeszła, a potem usiadł ponownie, kiedy i ona usiadła. Powinien był jednak wybrać inne miejsce, pomyślał poniewczasie. Usiadła bowiem po tej stronie, gdzie nie miał oka. Zazwyczaj nie był tak niezręczny.

- Kiedy musiałam porzucić posadę guwernantki Prudence Moore, przenieśliśmy się do małego domku w wiosce Lydmere.

Zarabiałam, dając prywatne lekcje, ale i tak musiałam przyjąć pomoc, którą ofiarował mi Joshua. Miałam kilkoro uczniów, a opieka nad małym synkiem zajmowała mi niemal cały wolny czas. Najbardziej dokuczała mi jednak samotność. Kiedy zamykały się drzwi za ostatnim z uczniów, zostawialiśmy tylko we dwoje z Davidem. Czasami było mi... ciężko.

- W takim razie dobrze się stało, że w końcu dostała pani pracę nauczycielki w internacie.

- Tak, to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała od bardzo długiego czasu. Czy pan lubi żyć sam?

- Nigdy nie jestem sam. Mam służbę, która bardzo o mnie dba, zwłaszcza lokaj.

Mógł ją widzieć tylko wtedy, gdy odwrócił głowę, co mu mocno przeszkadzało.

- A chciałby pan tutaj żyć sam? - spytała. - Czy znajdzie pan tu wtedy szczęście?

Ledwie godzinę temu, kiedy dwukólką zatrzymała się na szczycie pagórka, zapewniała, że mogłoby tak być. Potem spacerowali w ciepłe słońca, rozmawiali, śmiali się, a czasami - ku obopólnemu zadowoleniu - milczeli. Dlaczego więc nęka go teraz melancholia?

Przez całe popołudnie usiłował nie myśleć o tym, że to jej ostatni dzień w Glandwr.

Ze jutro wyjedzie. Z początku liczył dni, bo chciał, żeby ten miesiąc minął jak najszybciej.

Teraz je liczył niechętnie i z innego powodu. Z żalem myślał, że wiele ich zmarnował, nie widząc jej. Lecz gdyby nawet stale towarzyszył Anne, to dzisiejszy dzień również byłby ostatni.

- Moje życie będzie takim, jakim je uczynię. Podobnie jest ze wszystkimi ludźmi. Nie wiemy, co los nam przyniesie ani co będziemy później czuli. Nie mamy nawet pewności, że nasze pieczołowicie snute plany staną się rzeczywistością. Czy mogłem przewidzieć, co mnie spotka w Hiszpanii? Czy pani mogła przewidzieć, co zajdzie w Kornwalii? Ale stało się, jak się stać miało, i zmieniło to nasze życie tak radykalnie, że moglibyśmy w tym widzieć usprawiedliwienie naszej ewentualnej rezygnacji. Z planów, z nadziei, z życia. Wszyscy musimy dokonywać jakichś wyborów. Czy znajdę tu szczęście? Będę się starać - jeśli, oczywiście, Bewcastle sprzeda mi ten dom.

- Jakie są pańskie marzenia? Odwrócił głowę, bo chciał ją zobaczyć. Siedziała nieco z

boku, zwrócona ku niemu, i spoglądała na niego spod ronda kapelusza. Mógł zaproponować jej zmianę miejsc, ale nie chciał tego robić.

Tak było bezpieczniej. Inaczej wciąż by mu się przypominało, jak wzdrygnęła się z odrazy na przełazie. Tak, właśnie to uczyniła. I dlatego nie powinien czuć do niej niczego poza przyjaźnią.

- Były całkiem zwyczajne. Chciałem malować. Chciałem mieć własny dom, z żoną i dziećmi. Nie, odpowiem uczciwie, skoro pani zapytała. Chciałem być... wielkim malarzem, wystawianym w Royal Academy. Trzeba było jednak, jak zawsze, dokonać wyboru. Pragnąłem też udowodnić innym, że mogę być kimś równie mężnym, jak moi bracia. Uprosiłem więc ojca, żeby mi kupił patent oficerski. A im bardziej moja rodzina protestowała, mówiąc, że to nie dla mnie, tym bardziej się upierałem. Teraz muszę żyć z rezultatami mojego wyboru. Nie uważam jednak, żeby on był zły. Byłoby to głupie i bezcelowe. Ten wybór pociągnął za sobą wszystko, co się potem ze mną stało, aż do dzisiaj, i wybory, jakich dokonam dzisiaj, jutro albo w przyszłym tygodniu, będą wiodły do kolejnych momentów w moim życiu, „wszystko jest podróżą, panno Jewell. Zrozumiałem, że życie również nią jest i że trzeba z odwagą i energią kroczyć przez nie bez roztrząsania, co może być dla nas dobre, a co nie.

- Czy wiedział pan to, zanim pana okaleczono?

- Oczywiście, że nie. A jeśli przyjdzie mi żyć jeszcze przez dziesięć czy dwadzieścia lat, może to, co teraz mówię, później wyda mi się niemądre. Mądrości nabywa się wraz z doświadczeniem, a ja mam dopiero dwadzieścia osiem lat.

- O rok mniej niż ja. Jest pan ode mnie młodszy.

- A jakie były pani marzenia?

- Małżeństwo z kimś, kogo bym kochała. Dzieci. Skromny, ale własny dom na wsi.

Spełniło się przynajmniej jedno z nich. Mam Davida.

- Wybrała sobie pani wtedy męża?

- Tak. Nie zadał następnego pytania. Odpowiedź była zbyt oczywista.

Człowiek ten - obojętne, kim był - porzucił ją, gdy się dowiedział, że zaszła w ciążę z innym.

- Miał pan rację, musimy kontynuować naszą podróż. Alternatywa jest zbyt okropna, żeby się nad nią zastanawiać.

Milczenie, które zapadło po tych słowach, było dla niego przykre. Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby nie odeszła. Chciał, by nadal siedziała bokiem do niego. Rzecz jasna, mógł też odwieźć ją do domu. Wciąż jeszcze nie zabrał jej do wnętrza Ty Gwyn. Coś jednak kazało mu pozostać w tym miejscu. Niech Anne mówi nadal. Przecież widzi go nie po raz pierwszy.

- Nie wyglądam pięknie, prawda? - spytał w końcu i zaraz tego pożałował. Cóż mogła mu na to odpowiedzieć, prócz silenia się na żalosne słowa pociechy?

- Nie - odparła - ani trochę... Raczej go to rozbawiło, niż ubodło.

- Ale wygląd to część tego, kim pan jest dla tych, którzy pana znają. Nie można tego ukryć, chyba żeby został pan pustelnikiem albo nosił maskę. Nie wątpię, że jest dla pana czymś strasznym nie mieć oka i ręki, nie móc robić wielu rzeczy, które kiedyś robił pan odruchowo. I patrzeć w lustro, pamiętając, jak pan niegdyś wyglądał i nigdy już wyglądać nie będzie. Był pan niezwykle przystojny, zresztą nadal pan jest. Lecz ci, którzy pana widzą dzisiaj, zwłaszcza ci, którzy nie znali pana wcześniej, szybko się przyzwyczajają do tego kogoś, kim pan jest teraz. Prawa strona twarzy nie wygląda, jak pan się wyraził, pięknie. Ale też nie jest brzydka. Może powinno tak być, lecz nie jest. To po prostu część pana, a pan jest kimś, kogo warto poznać.

Roześmiał się i, prawdę mówiąc, poczuł głębokie wzruszenie. Czuł, że Anne nie mówi

tego, żeby go pocieszyć.

- Dziękuję, panno Jewell. Nie spotkałem jeszcze nikogo, nawet wśród mojej rodziny, kto tak otwarcie rozmawiałby ze mną o moim wyglądzie!

Wstała nagle i podeszła do jednej z krat, po których pięły się róże. Pochyliła głowę, chcąc powąchać wyjątkowo piękny, pąsowy kwiat.

- Przykro mi z powodu tego, co zdarzyło się wcześniej. Wcześniej zdarzyło się wiele rzeczy, ale dobrze wiedział, o którą jej chodzi.

- To był mój błąd. Nie powinienem był nawet myśleć o pocałowaniu pani.

Tylko że wcale o tym nie myślał. W tym cały szkopuł. Gdyby myślał, nie podszedłby do niej tak blisko. Puściłby jej rękę, gdy tylko odzyskałaby równowagę. I odsunąłby się od niej.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Ależ to właśnie ja o mało pana nie pocałowałam. - I zaczerwieniła się nagle.

Ach, tak? Nie zdawał sobie z tego sprawy. Pohamowała się jednak, a teraz przeprasza.

Spojrzał w dół i strzepnął jakiś okruch ze spodni.

Trzy tygodnie temu dotknęła końcami palców jego policzka, a potem cofnęła rękę, jakby się sparzyła.

Dzisiaj o mało go nie pocałowała.

Nagle zdał sobie sprawę, że Anne stoi naprzeciw niego. Spojrzał na nią, uśmiechnął się z wysiłkiem i zaproponował, żeby poszli obejrzyć dom. Spojrzała na niego wielkimi, wyrazistymi oczyma. Odniósł dziwne wrażenie, że mógłby przez nie zajrzeć w głąb jej duszy.

Dotknęła końcami palców tego samego miejsca, co poprzednim razem.

- Pan wcale nie jest brzydki - powiedziała. - Ani trochę.

A potem musnęła wargami lewą stronę jego ust. Obydwoje zadrżeli. Sydnam poczuł,

że jej oddech przeszedł w urywane, lękliwe dyszenie. Nie było to wcale krótki całus, mający dowieść, że zdobyła się na odwagę. Zatrzymała wargi na jego ustach dość długo, by jej zapragnął tak mocno, że musiał z całej siły chwycić ręką ławkę, na której siedział. Gdy uniosła głowę, znowu spojrzała na niego w ten szczególny sposób, obejmując wzrokiem obydwie strony jego twarzy. Spostrzegł, że miała łzy w oczach.

- Pan nie jest wcale brzydki - powtórzyła niemal gniewnie, tak jakby chciała o tym przekonać samą siebie.

- Dziękuję. - Zmusił się do uśmiechu. - Dziękuję, panno Jewell, jest pani doprawdy niezmiernie miła.

Dobrze wiedział, ile ją to musiało kosztować. Była jednak kimś zdolnym do współczucia. To nie jej wina, że od dawna nic go bardziej nie przygnębiło.

- Czy mogę pani pokazać dom?

- Oczywiście. Czekałam na to przez cały dzień. A wtedy zrobił coś, co nie zdarzyło mu się od bardzo dawna.

Podał jej rękę. Prawą. Tylko że jej tam nie było.

Poszła w ślad za nim, nie wiedząc nawet, że wykonał jakiś gest.

Na ułamek sekundy zapomniał, że ma tylko tamtą drugą połowę ciała.

Cały czas była świadoma jego obecności, gdy weszli do chłodnego, cichego domu, a on pokazywał jej wszystkie pomieszczenia na parterze i na piętrach. Była świadoma tego, że towarzyszy jej mężczyzna i że go pragnie.

Była nim na wpół przerażona, a na wpół zafascynowana.

Pocałowała go bardzo ostrożnie tak, aby nie dotknąć prawej strony jego twarzy. Ale wiedziała przecież doskonale, że ona istnieje. Obawiała się, że jej dotknie - jak ludzie z lękiem wysokości boją się, że spadną, stając na skraju urwiska.

Ale to nie jego blizny budziły w niej największy strach. Kiedy go pocałowała, miała pełną świadomość tego, jak bardzo jest silny i męski. I właśnie tego najbardziej się bała. Albo raczej tego, że tak łatwo mógł ją zranić.

- To piękny dom - odezwała się po chwili. - Rozumiem już, dlaczego tak się pan do niego przywiązał. Pokoje są przepiękne: obszerne, wysokie i jasne.

Tylne okna wychodziły na warzywnik i porośnięte drzewami zbocze, frontowe - wprost na ogród i park. Dom otaczało piękno. A morze, z całym swoim splendorem, było niedaleko.

- Pokochałem go, odkąd tu po raz pierwszy przyszedłem. Istnieją takie właśnie, szczególne miejsca, choć nie zawsze można uzasadnić, dlaczego przypadają nam do gustu, mimo że inne, równie piękne, nie podobają się wcale. Polubiłem Glandwr i domek, w którym teraz mieszkam, ale nie są one dla mnie domem. Ty Gwyn mogłoby nim się stać.

Anne nie miała takiego miejsca, które mogłaby nazwać prawdziwym domem, choć wyrosła u swoich rodziców w hrabstwie Gloucester, chatynkę w Lydmere traktowała niczym sanktuarium, a szkołę Claudii bardzo polubiła. Żadne z tych miejsc nie należało do niej.

Zazdrościła Sydnamowi Ty Gwyn, ale miała nadzieję, że książę zgodzi się go sprzedać. Tu

można było zapuścić korzenie na całe pokolenia, znaleźć szczęście, wychować dzieci i...

Ale Sydnam Butler chciał w Ty Gwyn żyć sam.

A ona nigdy już tu nie zawita. Nie było więc po co snuć marzeń.

- Jest tu tak chłodno, wprost cudownie - powiedział, kiedy już obejrzelili pokoje i stali w wykładanym kafelkami korytarzu. - Może to dobre miejsce na piknik? Chyba że woli go pani urządzić na trawniku.

- Tutaj - uznała. - Proszę, niech pan przyniesie koszyk.

- Każde z nas mogłoby go wziąć za jedno ucho. Należało wybrać trawnik, pomyślała dziesięć minut później, gdy zasiedli przy małym stoliku w jadalni. Prawda, że spiekłoby ich wtedy słońce, ale na zewnątrz było więcej odgłosów natury i więcej widoków, które kierowały uwagę gdzie indziej. Siedząc naprzeciw siebie w pustym pomieszczeniu, mieli męczącą świadomości, że są mężczyzną i kobietą i że coś się między nimi dzieje. Oboje dobrze o tym wiedzieli i wprawiało ich to w zakłopotanie.

W powietrzu wisiało napięcie.

Kucharka zapakowała im do koszyka paszteciki, kanapki z ogórkiem i szarlotkę. Nie żałowała też sera i dodała nieodłączną lemoniadę. Anne ustawiła to wszystko na stole. Talerze znalazła w koszyku. Nalała lemoniady do szklanek.

Jedli w milczeniu. Jeśli rozmawiali, to wyłącznie na błahe tematy, jakie wybraliby ludzie całkiem sobie obcy. Pełne dziesięć minut zajęło im roztrząsanie, jak długo potrwa piękna, słoneczna pogoda.

- Słyszałem, co jeden z wiernych powiedział do drugiego w kościele po ostatnim niedzielnym nabożeństwie - zaczął Sydnam - Ze potem odpokutujemy za ten piękny czas okropną szarugą. Wieczny pesymista!

Była z nim wtedy na nabożeństwie.

- Przecież oni wszyscy mówili po walijsku! Zastanawiał się przez chwilę.

- A, rzeczywiście. Widocznie rozumiem już ich język lepiej, niż sam przypuszczałem.

Niedługo stanę się Walijszym z krwi i kości i zacznę grać na harfie... Och, to niemożliwe.

- Spojrzał na swój pusty rękaw. - No, z tym sobie chyba nie dam rady.

Obydwoje roześmiali się i napięcie zelżało. Wreszcie rozmowa zesłała na dom.

- Czy zostawi go pan w tym stanie, jeśli istotnie uda się go panu odkupić od Bewcastle'a?

Wnętrza były w pełni umeblowane.

- Na razie tak - odparł, rozsiadając się przy stole, podczas gdy Anne sprzątała po

pikniku. Gdy już włożyła wszystko z powrotem do kosza, wyjrzała przez frontowe okno. -

Polubiłem go takim, jaki jest. Niemądrze byłoby zmieniać tu wszystko tylko dlatego, że mnie na to stać. Będę dokonywał zmian stopniowo, dopiero gdy nabiorę przekonania, że potrzeba mi jakiejś odmiany. Na przykład ten ciemny brąz w holu może zimą wyglądać ponuro.

Pewnie od niego bym zaczął.

Anne, która przyglądała się owcom na łące, poczuła nagle dojmujący skurcz żalu w piersi. Właściwie nie wiedziała dlaczego. Co do jednego była jednak święcie przekonana. Ten dom wydawał jej się idealny.

- A co by pani tu zmieniła, gdyby ten dom stał się pani własnością?

- Niewiele. Umeblowano go dobrze, z gustem. Może zastąpiłabym czerwień w tym pokoju kolorem jasnożółtym, jaki mają pierwiosnki. Powinno się tutaj rozpoczynać dzień w pogodnym nastroju, nawet jeśli za oknem trwa styczniowa zamięć.

- W takim razie - zaśmiał się - zmienię dominujące kolory na odcień pierwiosnków.

Oczywiście, jeśli w końcu kupię ten dom.

Wyczuła, że podszedł i stanął tuż za jej prawym ramieniem. Już odwracała głowę,

żeby się do niego uśmiechnąć, gdy zauważyła, że znalazł się dużo bliżej niej, niż sądziła.

- Pewnie myśli już pani o powrocie do Bath? Zapadło kłopotliwe milczenie.

- A pan zapewne czeka na powrót do spokojnego życia w Glandwr?

- Tak. Kolejne milczenie stało się tym bardziej przykre, że w ciszy dało się wyraźnie słyszeć ich oddechy.

Chciała stanąć z nim twarzą w twarz, ale nie miała miejsca, by się obrócić, została więc tam, gdzie była.

- Chcę, żeby pan wiedział, że nie jest brzydki. Wiem, pewnie wiele razy ludzie wzdrygali się, widząc pana po raz pierwszy. Ja nawet uciekłam. Lecz kiedy ujrzą pana po raz drugi, trzeci i trzydziesty trzeci, nic już nie zauważą. Będą widzieć nie pański wygląd, tylko osobę.

Poczuła się bardzo zażenowana i zapragnęła, żeby się cofnął albo odwrócił.

- Chciałbym, żebyśmy nie żyli w społeczeństwie, które tak łatwo sędzi innych po skutkach jednego zdarzenia w ich życiu. Czemuż miałoby się panią osądzać na podstawie tego, co nie jest pani winą - czyli nieślubnego dziecka? Jakżebym chciał, żeby pani nie była osamotniona.

- Wcale nie jestem - zaprotestowała, czując, że pałają policzki.

- Mam przyjaciół. Mam syna. Mam...

- Za późno na protesty. Sama pani przyznała jakiś czas temu, że czuje się samotna.

Zupełnie jakby nie zrobił tego samego!

- Przez dziesięć lat nie było w pani życiu mężczyzny tylko dlatego, że jakiś nędznik zniszczył pani marzenia, nim sam zmarł. Czyż to nie gorzkie doznanie - pragnąć czyjegoś dotyku i wiedzieć, że się go nigdy nie otrzyma?

Jeszcze gorszy, pomyślała, jest strach przed czyimś dotykiem. Ale nie powiedziała

tego na głos. Może istnieje jakiś sposób, żeby się tego lęku pozbyła?

Przymknęła oczy i głośno, z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Ja... ja będę pana pamiętać po wyjeździe.

- A ja panią. Znowu głośno przełknęła. Patrzył nadal na nią. Nie spuszczał z niej oczu.

Nagle zacisnęła mocno powieki i zebrała się na odwagę.

- Nie chcę dłużej być samotna - powiedziała niemal szeptem.

- I nie chcę, żeby pan był. Nie otwierała oczu, dopóki nie usłyszała jego odpowiedzi.

Mówił równie cicho jak ona:

- Nie mogę pani pomóc, Anne. Nawet jeśli potrafi pani patrzeć na mnie bez wstrętu, to... to, o czym mówimy, jest czymś osobistym. Nie mogę się pani narzucać.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Jak ma się przekonać, czy ma rację? Skąd wziąć pewność, czym dla niej będzie kontakt z mężczyzną, zwłaszcza z nim?

Uniosła dłoń, żeby dotknąć prawej strony jego twarzy, lecz zamiast tego położyła ją płasko na jego ramieniu. Jakie jeszcze obrażenia mogą się kryć pod ubraniem? Czowała jednak w sobie coś o wiele potężniejszego niż opór przed dotykaniem go - albo też opór przed byciem dotykana.

Życie, o czym wiedziała, często bywa nieustannym unikaniem bólu - własnego czy też cudzego. Czasami jednak trzeba go doznać, nawet dotkliwego, aby mógł zostać przezwyciężony. Lub też dać mu się pokonać.

- Ja też budzę odrazę. Zgwałcono mnie. Urodziłam nieślubne dziecko., Straciłam niewinność. Mężczyźni zaczęli mnie unikać, gdy tylko dowiadawali się, jak wygląda prawda.

- Anne - powiedział. - Och, Anne, nie. Przecież wiesz, że po raz kolejny możesz zajść w ciążę. Oczywiście, ożeniłbym się wówczas z tobą, lecz jaki los by cię wtedy czekał?

- Nie wolno ci tak mówić.

- Zastanów się, przecież nie chcesz się ze mną związać na całe życie.

Nie myślała nawet o małżeństwie. Ani o ponownym zajściu w ciążę. Ale też nie chciała o tym myśleć. Za tydzień o tej porze będzie już w Bath razem z Davidem, wróci do poprzedniego życia i obowiązków, mimo że wakacje się jeszcze nie skończyły. A on zostanie tu sam, bo wszyscy inni wyjadą.

Byłby całkiem sam.

Ona też. Nawet wśród przyjaciół.

Ale nie dzisiejszego dnia.

- Nie chcę być dłużej samotna - powtórzyła. - I nie chcę, żebyś ty był sam. Chcę przypieczętować to piękne popołudnie i cały ten miesiąc.

- Anne - powtórzył. - Anne.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Sydnam mówi jej po imieniu. Ucieszyło ją to.

A potem uniosła jego dłoń i przyłożyła ją do swojego policzka, tak że palce dotknęły jej włosów. Znow zamknęła oczy.

- Wybacz mi, proszę, że stoję tu, próbując cię uwieść i udowodnić, że jestem właśnie taka, jak mnie nazywają.

A wtedy on udowodnił, że jego lewe ramię może być równie mocne, jak dwie ręce innych mężczyzn. Objął nim jej kibić i przygarnął ją do siebie, wydając jakiś niewyraźny pomruk. Znalazła się w jego objęciu, z głową na jego lewym ramieniu.

- Nie ma tutaj żadnego uwodzenia - szepnął ledwo dosłyszalnie wprost do jej ucha. -

Ani z twojej, ani z mojej strony. Po prostu pragnę cię tak bardzo, jak być może ty mnie pragniesz. I nie chcę już dłużej być samotny. Skończmy więc z naszą samotnością, przynajmniej dzisiaj. Niech to popołudnie naprawdę będzie czymś idealnym.

Objęła go obydwoma rękami.

Idealnie. Perfekcyjnie.

Pokój, do którego ją zaprowadził, miał tapety z zielonego brokatu, z połączonym szlakiem pod wysokim sufitem. Ciężkie kotary z bordowego aksamitu zwisały po obu stronach dużego okna, od gzymsu aż do posadzki. Zasłony wielkiego łóżka ze wspartym na czterech kolumnach baldachimem były bordowe w zielone pasy. Kapa również. Perski dywan pokrywał prawie całą podłogę. Na ścianach, w złotych ramach, wisiały obrazy z końmi. To była sypialnia pana domu.

Nie był to piękny pokój, lecz Anne już wcześniej uznała, że ma on charakter. Z pewnością Sydnam tu właśnie będzie sypiał, jeżeli kupi Ty Gwyn.

Z okna rozciągał się widok na łąkę i drzewa, rosnące na przeciwległym zboczu. Anne mogła w oddali zobaczyć furtkę o pięciu poprzeczkach i przejazd.

Od niego się wszystko zaczęło.

Drgnęła lekko, lecz nie pozwoliła, żeby wspomnienia wzięły nad nią górę. Czowała, że niemal od samego początku ich znajomości tego pragnęła. I że tego się również bała. Może już od chwili, kiedy obydwójce przyznali się przed sobą do osamotnienia.

To ono popychało ich teraz do działania i wcale nie okazało się złym motywem.

Innymi były współczucie, chęć wzajemnego złagodzenia bólu, a nawet czułość.

Sydnam budził w niej czułość. Dowiódł przecież niewyobrażalnej odwagi i mimo że tyle wycierpiał, z determinacją i godnością zdołał ułożyć sobie na powrót życie, choć - jak sądził - traktowano go trochę jak pariasa.

Chciała mu dowieść, że się mylił. A on pragnął jej dowieść, że znów może się poczuć godną czyichś pragnień kobietą.

Odwróciła się, słysząc jego kroki przy drzwiach, i spojrzała na niego niepewnie. Nie

zrezygnowała jednak ze swoich zamiarów. Pragnęła go gorąco.

- Czy mogę rozpuścić twoje włosy? - spytał, zatrzymując się przy niej. - Na pewno potrafisz to o wiele szybciej zrobić obydwoma rękami, ale...

Stała bez ruchu, gdy jego palce ostrożnie wyjmowały szpilkę po szpilce. Świadomie skierowała wzrok prosto na niego. Zdała sobie sprawę, że nie wie, co kryje się pod czarną opaską na oku. I znów uderzyło ją piękno jego lewego profilu. W tak młodym wieku nie mógł być rozpustnikiem, nawet gdyby nic mu się nie stało na wojnie. Był poważnym, subtelnym, uczuciowym mężczyzną. Zapewne ożeniłby się z jakąś kobietą dorównującą mu urodą i statusem. Mieliby dzieci. Miałby kogo ze sobą zabrać do Ty Gwyn.

Ach, nie. Nigdy by się przecież nie znalazł w Walii, gdyby nie wyruszył na wojnę.

Wbrew radom wszystkich, którzy go znali i kochali.

Nigdy by go wtedy nie spotkała.

A gdyby jej nie zgwałcono, wyszłaby za Henry'ego Arnolda i żyłaby teraz w hrabstwie Gloucester. Nie stałaby dziś w sypialni pana domu, a jednoręki mężczyzna, który stał się jej dziwnie drogi, nie rozpuszczałby jej włosów.

Osobliwe bywają koleje losu.

Co za nonsens, pomyślała, gdy włosy opadły jej kaskadą na ramiona, a Sydnam położył szpilki na stoliku, nie odrywając od niej wzroku.

Anne poczuła nagle, że jest rozpaczliwie bezbronna. Nie dlatego, że nie wierzyła w siłę swojej urody, ale właśnie z jej powodu.

Uroda może przesłonić komuś, kto ją dostrzega, wszystko inne. A widziała, że on ją uważa za piękną.

Chciała krzyknąć: „Jestem Anne! Proszę cię, nie zapominaj o tym! Nie mów, że mam wspaniałe włosy!”

Podszedł bliżej i pocałował ją. Zapragnęła go tak gwałtownie, że niemal ugięły się pod nią kolana. I nieoczekiwanie powróciła zdolność myślenia.

Wszystko będzie dobrze. Na pewno.

- Anne - szepnął tak cicho, że ledwie go dosłyszała. A potem zrzucił z siebie surdut i usiadł na brzegu łóżka, żeby ściągnąć jeden z wysokich butów. Wiedziała, że niełatwo mu to będzie zrobić jedną ręką. W domu zajmował się tym zapewne lokaj. Nie miała pojęcia, czy należy przyjść mu z pomocą, czy nie, ale zdołał sobie poradzić sam. Zrozumiała, że radził też sobie z wieloma czynnościami, które ktoś mógłby uznać za niewykonalne w jego sytuacji.

Lewy rękaw koszuli przypięty miał do boku, podobnie jak przy surducie.

Czekała w napięciu.

Gdy się znów podniósł, odwinął kapę i wyciągnął ku niej rękę, zrozumiała, że nie ma zamiaru zdjąć reszty ubrania.

- Anne, czy mogłabyś zdjąć swoją suknię? Zajęłoby mi to zbyt wiele czasu.

Patrzył na nią, póki nie stanęła przed nim w samej koszuli i pończochach. Przysiadła na łóżku, żeby je zesunąć, lecz on ukląkł i ściągnął każdą z nich osobno.

- Jesteś niewiarygodnie piękna, Anne. Przepraszam cię. Bardzo przepraszam - powiedział, ponownie siadając na skraju łóżka.

- Nie trzeba. - Stanęła i położyła mu ręce na ramionach, a jej włosy osłoniły ich twarze. - Nigdy bym cię nie spotkała, gdybyś inaczej wyglądał. Nie byłoby mnie tutaj z tobą. A ja też bym się tutaj nie znalazła, gdyby... to się ze mną nie stało. Ale pragnę tu być. Skoro ty mnie przepraszasz, ja również musiałabym tak zrobić. A tymczasem chciałabym, żeby żadne z nas nie żałowało ani jednej chwili z tego popołudnia.

- Anne... nie jestem zbyt doświadczony w tych sprawach. I nie miałem z nimi do czynienia... od tamtej pory.

A więc on też czuł się niepewnie. Nie tylko ona. Podniosło ją to na duchu. Może zresztą dlatego znalazła w sobie dość odwagi.

- Ja również.

Zbliżył swoje usta do jej warg i ją pocałował. Ona także rozchyliła wargi, pozwoliła mu wniknąć językiem do wnętrza, objęła go za szyję i wsunęła palce w jego włosy. Gdzieś z głębi jej gardła wydobył się odgłos zadowolenia.

A może to on wydał ten dźwięk?

- Połóż się - szepnął tuż przy jej ustach. - Czy zdejmiesz koszulę?

Skrzyżowała ręce i ściągnęła ją przez głowę, nim położyła się na łóżku, zostawiając dla niego miejsce koło siebie. Dziwna rzecz, nie czuła się wcale skrepowana, chociaż on stał nieruchomo i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Nazwał ją piękną i pragnął jej. Zwrócił się też do niej po imieniu i wiedziała, że widzi w niej teraz ją, Anne, a nie tylko zmysłową kochankę.

I jeszcze coś było dla niej nowością. Nigdy przedtem nie obnażyła się przed mężczyzną.

Położył się obok niej, po prawej stronie, twarzą zwrócony do niej, ciepły i cały drżący.

Pogładziła go przez ubranie po lewym boku.

Mogła wyczuć mięśnie ręki i ramienia, falowanie mięśni wzdłuż pleców. Dziwne, ale gdy ubranie stykało się z jej gołą skórą, podniecało ją to tak samo, jak nagość, a może nawet bardziej. Przycisnęła piersi do jego koszuli, podczas gdy jego dłoń wślizgnęła się między jej uda.

- Odwróć się do mnie tyłem - szepnął. Zrozumiała, co chce zrobić. Miał przecież na sobie spodnie. Niemal zapomniała o jego niesprawności, gdy nakrył ją swoim ciałem i wsunął nogi pomiędzy jej uda, rozsuwając je szeroko, póki nie oplotła swoimi jego mocnych lędźwi.

Poczuła na sobie jego ciężar.

Wszedł w nią jednym powolnym, głębokim pchnięciem.

A wtedy każdą cząstką ciała odczuła wspomnienie tamtego razu.

Nie walczyła z nim. Nie krzyczała ani nie próbowała go odepchnąć. Było zupełnie

inaczej niż wtedy. Umysł mówił jej, że ten mężczyzna, który wniknął w jej ciało, to Sydnam

Butler, że czyni on teraz coś, czego oboje pragną, lecz pozostała wyprężona i sztywna. A on

tkwił w niej nieruchomo.

- Anne... - powiedział. - Anne?

- Sydnam. - Nigdy dotąd nie wymówiła jego imienia na głos. Uratowała ją

świadomość, że to on.

Wyciągnęła ręce ku jego bokom, ale zdała sobie nagle sprawę, że po jego prawej

stronie nie ma ramienia.

Lecz on w tym samym momencie zaczął się w niej poruszać. To było coś niesłychanie

intymnego. Ciało i umysł Anne wydały sobie wojnę. Wiedziała, że to on, Sydnam, że to, co

robi, jest piękne, i że ona nadal rozpaczliwie tego pragnie, że otworzyła się przed nim. A

jednak fizycznie niczego nie czuła. Ani odrazy, ani rozkoszy. Jedyne czysto umysłową

satisfakcję, że wspomnienie tego razu zajmie w jej pamięci miejsce tamtego koszmaru.

Lewą ręką chwycił ją za prawą dłoń, splótł swoje palce z jej palcami i uniósł ich

złączone dłonie ponad jej głowę, nadal poruszając się w jej wnętrzu, póki wreszcie nie

odetchnął głęboko tuż przy jej policzku. Poczuła w sobie gorącą wilgoć.

Puścił jej rękę.

Chciało się jej wręcz płakać. To wszystko mogło być piękne, ale z jakiegoś dziwnego,

niewytłumaczonego powodu utraciło piękno, a ona wycofała się gdzieś w najgłębszy zakątek

siebie samej. Mimo że ich ciała się połączyły, czuła, że coś ją od niego oddziela.

Zsunął się z niej niezręcznie niemal natychmiast i usiadł na brzegu łóżka, nie patrząc na nią. Podciągnął spodnie, wstał i podszedł do okna, a potem długo tam stał, wyglądając przez nie.

Naprawdę był niezwykle przystojny. Spojrzała na szerokie barki, wąską talię i długie, muskularne nogi. Dopiero co się kochali.

Miała jednak świadomość, że nie osiągnęła wszystkiego, co zwykle dane jest kobiecie. Wiedziała też, jakiej przyczynie to przypisywał.

Już otwierała usta, aby zapewnić go, że nie było jej wcale tak źle i że jego kalectwo nie miało nic wspólnego z tym, że nie miała pełnej satysfakcji.

Ale jak mogła powiedzieć coś takiego na głos? Jak go miała o tym zapewnić?

I jak wyznać mu prawdę - że cień innego mężczyzny wkradł się między nich i właśnie on wzbudził w niej taki odruch wstrętu, iż omal nie zaczęła mu się - wyrywać ze strachu?

Jak mu wytłumaczyć, że w tym momencie stał się dla niej Albertem Moore'em?

Co mogła mu powiedzieć? Nie odezwała się więc. W końcu nie zaczęła się z nim zmagać ani nie zrobiła nic takiego, co by świadczyło o jawnej odrazie. No i przecież uprzedziła go o swoim braku doświadczenia.

Może dla niego ich zbliżenie jest jedynie miłym doznaniem i niczym więcej.

A tak bardzo chciała, żeby to popołudnie było piękne, bez najmniejszej skazy.

Tak bardzo tego chciała.

Sydnam stał przy oknie sypialni i wyglądał przez nie. Wciąż jeszcze trwało popołudnie. Upłynęło najwyżej jakieś pół godziny, odkąd tu weszli.

Nie wiedział, czy Anne śpi. Wątpił w to wprawdzie, ale nie chciał oglądać się za siebie.

Czuł się zaspokojony, co było wspaniałym uczuciem po tak długiej abstynencji, lecz mimo to nękało go przeraźliwe poczucie fiaska. Nie chodziło o brak doświadczenia, zwłaszcza że ona też go właściwie nie miała. Nie, coś innego sprawiło, że wycofał się natychmiast po spełnieniu.

Czyż nie rozumiał już wtedy, gdy pocałowała go w ogrodzie różanym, że za wszelką cenę chciała okazać mu współczucie, upewnić go, że w jej oczach jest normalnym człowiekiem? Czy nie rozumiał również i tego, że ofiarowała mu się, bo była samotna?

Powinna była wyjść za mąż wiele lat temu, ale okoliczności sprawiły, że nie było jej to dane.

Być może obydwójce otrzymali to, na co zasłużyli. Niemiłe zakończenie wspólnego popołudnia i całej znajomości. Samotność nie była wystarczającym powodem, by się kochać, mimo że nie mieli żadnych innych zobowiązań i z nikim nie byli związani na stałe.

Zbyt późno rozumiał, że miłość fizyczna nie przełamała poczucia osamotnienia.

Nawet je zwiększyła. Przekona się o tym zapewne już za kilka dni.

Nie chciał na nią spojrzeć, bo wtedy mogłoby się okazać, że Anne Jewell, jego przyjaciółka, powiernica i kobieta, w której się zakochał, znikła. A jej miejsce zajęła jakaś inna, całkiem obca osoba, z którą będzie się czuł źle, bo doszło między nimi do bardzo intymnego zbliżenia, ale zabrakło w tym prawdziwej intymności.

Jutro Anne zniknie z jego życia. A kiedy tu później powróci, stanie w tym samym miejscu i będzie próbował udawać przed samym sobą, że jeśli się odwróci, to znów ją ujrzy,

śpiącą na łóżku.

A może nie. Może będzie stał tutaj, pragnąc zapomnieć, że Anne kiedykolwiek przyjechała tu z nim.

Odwrócił się. Leżała pod wysoko podciągniętą kapą. Ramiona i barki pozostały odkryte, a jej wspaniałe włosy barwy miodu rozsypały się wokół głowy i na poduszce, splecione ze sobą. Co za wspaniały widok, pomyślał. Słowa te zanedo jednak trąciły frazesem. A pora, kiedy mógłby je wypowiedzieć, już minęła.

Spojrzała na niego; jej twarz pozbawiona była wyrazu. Zapewne miała nadzieję, że nie zauważył, iż nie miała satysfakcji z ich zbliżenia.

Uśmiechnął się i powiedział coś, co - jak sądził - musiał powiedzieć, prędzej czy później.

- Jeśli chcesz, Anne, to się pobierzemy. Trudno było uznać to za oświadczyzny. Ale czy mógł ją w jakiś inny sposób poprosić o rękę? Jak miał jej wyznać swoje uczucie? Bez wątpienia wprowadziłoby ją to w zakłopotanie lub nawet przeraziło.

- Mam wystarczające środki, żeby utrzymać ciebie... i twojego syna. Uważam, że to dobry pomysł.

Patrzyła na niego długo, nim odpowiedziała.

- Myślę - odparła w końcu - że przyjaźń, fizyczne pragnienie i wzajemny pociąg wystarczą do usprawiedliwienia tego, co właśnie zrobiliśmy. Ale to za mało, żeby zawierać małżeństwo.

- Za mało? - Poczł rozczarowanie i zarazem ogromną ulgę. - Czy nawet przyjaźń się nie liczy? Czy kobieta i mężczyzna nie powinni się wzajemnie lubić, razem rozmawiać, razem się śmiać?

- Owszem, ale trzeba czegoś więcej.

Miłość? Zbyt wytarte i zbyt nieokreślone słowo. Cóż ono właściwie znaczyło? Nie

przypuszczał jednak, żeby ona mówiła o miłości. Mąż i żona powinni się wzajemnie pociągać. O to jej chodziło. Albo przynajmniej nie powinni się siebie brzydzić.

Poślubienie go, dzielenie z nim łoża przez resztę życia było dla niej czymś niewykonalnym. Trudno było oczekiwać, by jakakolwiek kobieta mogła się na to zdobyć.

Gdyby zgodziła się na jego propozycję, poczułby się zobowiązany. Gdyby choć robiła wrażenie, że chce powiedzieć „tak”, mógłby ją zapewnić, że małżeństwo z nią nie jest podyktowane jedynie jego poczuciem honoru. Ze istotnie pragnie się z nią ożenić.

Ale ona nie powiedziała „tak” i wcale się przy tym nie zawahała.

Częściowo mu ulżyło. Po przybyciu do Glandwr odizolował się od innych i w sumie był zadowolony z takiego życia.

- Nie będę już więcej poruszać tego tematu, lecz jedno musisz mi przyrzec.

Powiadomisz mnie bez zwłoki, jeśli po powrocie do Bath stwierdzisz, że zaszłaś w ciążę.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Obiecujesz? Kiwnęła głową. Schylając się po surdut, pomyślał, że powinien włożyć w swoje oświadczenia trochę więcej uczucia. Ale było za późno. Poprosił ją o rękę.

Odmówiła.

Tak, miłość fizyczna sprawia, że samotność staje się jeszcze bardziej dotkliwa. Już w tej chwili odczuwał dojmujący ból.

- Wolę teraz odejść, żebyś się mogła swobodnie ubrać - powiedział i wyszedł, zabierając ze sobą odzienie. Musiał postawić na ziemi buty, nim otworzył drzwi. -

Zobaczymy się na parterze.

- Dziękuję - odparła.

Dwukółką pędziła traktem, a potem skręciła na wąską drogę, którą mieli wrócić do

Glandwr. Niebo nadal było bezchmurne, a późne popołudnie - gorące.

Anne odprężyła się nieco i próbowała się skoncentrować na piękniejszej stronie tego, co zaszło. Bo niewątpliwie było to czymś pięknym.

To miał być idealny koniec idealnego dnia, a także idealnych wakacji.

Pojazd podskoczył na wybojach i Anne, gwałtownie przechyliwszy się na bok, przywarła do Sydnama ramieniem. Spojrzała znów na jego lewy profil, niewiarygodnie przystojny, choć szczerze mówiąc, prawy nie wydawał się jej już tak brzydki. Jak mu powiedziała wcześniej, była to po prostu część jego osoby.

- Mam nadzieję, że dobra pogoda utrzyma się do twojego wyjazdu.

- Myślę, że tak. Znów mówili o pogodzie. Jutro o tej porze będzie daleko od Glandwr.

Nie odrywała od niego wzroku. Wiedziała, że w następnych dniach rozpaczliwie będzie sobie chciała przypomnieć, jak w tej chwili wyglądał - i że równie rozpaczliwie będzie zapewniać siebie samą, że to, co się zdarzyło pomiędzy nimi, było naprawdę tak piękne, jak jej się zdaje.

Przede wszystkim jednak byli przyjaciółmi, a przyjaźń jest rzeczą cenną.

Nie powinna się była oddać Sydnamowi tego popołudnia. To był błąd. Nie mogła się przemóc, żeby mu wytłumaczyć, że samotność, współczucie, a nawet pożądanie nie są wystarczającym uzasadnieniem tego, co zrobili. Uważała, że mogłoby to tylko pogorszyć sytuację. Żadne z nich również nie przyznało otwarcie, że nie doświadczyło pełnej satysfakcji. Choć może on jej doznał?

Odrzuciła propozycję małżeństwa. Dała kosza mężczyźnie, którego lubiła, szanowała, podziwiała i który mógłby zapewnić jej wygodne życie. Sądziła, że żaden mężczyzna jej nie zechce! Dlaczego więc powiedziała „nie”?

Bo były to tylko słowa. Uprzejme słowa wypowiedziane z poczucia obowiązku, ponieważ kochali się ze sobą.

Wcale jej nie chciał poślubić.

Ona zaś nie mogła poślubić jego, gdyby nawet chciał, ani w ogóle żadnego mężczyzny. Wciąż jeszcze to, co się kiedyś stało, raniło ją do głębi. Cofała się przed każdą próbą intymnego kontaktu, chroniła przed uczuciami w świecie rozumu.

Nie może zmrozić swoją oziębłością Sydnama. Zasługiwał na dużo więcej.

Przyjaźń nie wystarczała, żeby się oświadczać. Tylko miłość mogła być takim powodem. Ale Anne nie wiedziała, czym jest miłość. Nie fizyczna, lecz małżeńska.

Przypomniała sobie, co Morgan powiedziała wtedy na urwisku. „Prawdy zawsze trzeba szukać głębiej, a kiedy się już ją znajdzie, okazuje się piękna, bo jest nią po prostu miłość”.

Ona jednak nie ufała miłości. Wszelka miłość - do matki, do Henry'ego Arnolda, ojca, siostry - głęboko ją rozczarowała. A serdeczne uczucie, jakim darzyła swoją wychowankę, Prue Moore, doprowadziło wręcz do katastrofy. Miłość nie przyniosła jej nigdy nic prócz udręki. Bała się kochać Sydnama lub być kochaną przez niego. Dobrze, że nie było między nimi miłości.

- Anne? - spytał cicho Sydnam. - Może jutro rano spojrzysz na wszystko inaczej. Czy będę mógł pomówić z tobą przed odjazdem?

- Nie. - Dostrzegła przed sobą wioskę. - Spędziliśmy miłe popołudnie. Zapamiętajmy je właśnie takim i bądźmy za nie wdzięczni losowi.

- Owszem, było naprawdę miłe - zgodził się.

Gdy wjechali do wioski, zatrzymał dwukółkę i pozdrowił wiekowego wieśniaka, który siedział w starym fotelu przed drzwiami chaty, paląc fajkę.

- Mówiłeś po walijsku! - zdumiała się, kiedy znów ruszyli.

- Istotnie, powiedziałem mu „dobry wieczór”, czyli *prynhawn da*, a potem spytałem, jak się ma on sam, jego córka i zięć. Zrobiło to na tobie wrażenie?

- Ogrozne! Roześmieli się oboje. Zorientowała się nagle, że traci dużo więcej niż tylko Sydnama, bo również i Walię. Wcale się nie dziwiła, że Syd się tu dobrze czuł i zamierzał spędzić tu resztę życia.

Zazdrościła mu tego.

A może gdyby...

Nie, lepiej nawet o tym nie myśleć.

Niestety, traciła go. Nagle zapragnęła, by jakimś czarodziejskim sposobem móc przeskoczyć w czasie całe dwa tygodnie, gdy ból z powodu rozstania już przeminie.

Odwróciła głowę, aby ponownie spojrzeć na jego lewy profil i utrwalić go sobie w pamięci.

Sydnam podjechał dwukółką pod same stajnie. Reszta gości nie powróciła jeszcze z wycieczki.

W ten sposób, zamiast się pożegnać, odeszli od pałacu, a nogi same ich zaprowadziły ku wzgórzu, na które wspięli się wtedy w nocy. Zrobili to ponownie i stanęli na szczycie, podziwiając morze, które w świetle późnego popołudnia nabrało odcienia ciemnego błękitu, podczas gdy ląd leżał skąpany w złotej poświacie słońca, które chyliło się ku zachodowi.

Stali niezbyt daleko od siebie, jak dwoje przyjaznych sobie, ale obcych ludzi, którym przypadkiem zdarzyło się leżeć ze sobą w łóżku godzinę lub dwie wcześniej.

Usłyszał, jak Anne z wysiłkiem przełyka ślinę, i wiedział, że chociaż ich zbliżenie okazało się fiaskiem, to jednak lubi go i trudno się jej będzie z nim rozstać. Była jego przyjaciółką i choćby z tego powodu dała mu bardzo wiele.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział.

- Mnie ciebie też. - Głos Anne, choć opanowany, zabrzmiał dziwnie wysoko i ostro. -

Czy wiesz, że nie chciałam tu przyjeżdżać? Gdy powóz zbliżał się do Glandwr, dałabym

wiele, by znaleźć się z powrotem w Bath. A teraz trudno mi stąd odjeżdżać.

Nie musiała odjeżdżać. Mogła zostać z nim tutaj na resztę życia. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Podjęła już decyzję i powiedziała „nie”.

- Może przyjedziesz tu jeszcze kiedyś?

- Może. Lecz obydwójce wiedzieli, że tak się nie stanie. I że gdy jutro wyjedzie, nigdy więcej się nie zobaczą.

A jeżeli istotnie byli tylko przyjaciółmi i połączyła ich jedynie samotność, nie miało znaczenia, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczą. Zapomną wkrótce o wszystkim i wrócą do codzienności.

On jednak wiedział, że nie chce zapomnieć. Utrata Anne Jewell była jednym z najboleśniejszych ciosów.

Splótł jej palce ze swoimi i mocno je uściśnął.

- Miło mi było cię poznać, Anne.

- Mnie również.

Przechylił głowę na bok, żeby na nią spojrzeć. Może istniała jakaś możliwość? Gdyby dać Anne więcej czasu do namysłu, to...

Cofnęła rękę w chwili, gdy otwierał usta. Wskazała na podjazd.

- Wracają! - zawołała. - Muszę tam zaraz pobiec, by powitać Davida. Och, mam nadzieję, że nie zrobił sobie nic złego!

Dołem sunął sznur powozów.

- Idź już. Powinnaś ich oczekiwać na tarasie. Raz jeszcze spojrzała na niego.

- Idź! Ja wrócę do siebie. Tylko przez moment zawahała się z wyrazem

niezdecydowania na twarzy, a potem zbiegła ze wzgórza, jak tamtej nocy, kiedy się ścigali, kto pierwszy stanie na dole.

Patrzył w ślad za nią i się zastanawiał, czy żałuje, czy też jest zadowolony, że oszczędził jej swoich błagań, by się namyśliła i rozważyła wszystko jeszcze raz.

Uznał, że w sumie stało się dobrze.

I że będzie tak uważał za tydzień.

Albo za rok.

Albo przez całą resztę życia.

Anne była bliska łez. Zdążyła dopaść tarasu w chwili, gdy pierwszy z powozów hamował przed wejściem. Tak bardzo pragnęła zobaczyć syna, usłyszeć jego głos, wziąć go w ramiona. Wiedziała też jednak, że zostawiła Sydnama bez słowa pożegnania i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zobaczy go już nigdy.

Tylko że z całego serca nie cierpiała pożegnań. Wprost ich nienawidziła. Lepiej, że stało się właśnie tak.

David wyskoczył z drugiego powozu i gdy tylko ją zobaczył, rzucił się ku niej z błyszczącymi oczami, wykrzykując coś na cały głos. Porwała go w objęcia i pocałowała w sam czubek głowy.

- Jak dobrze, że tu jesteś, mamó! Kuzyn Joshua... szkoda, że mnie nie widziałaś...

Davy... a potem my... lord Aidan... Becky i Marianne bały się zejść po kręconych schodach, ale ja im pomogłem, a lady Eve powiedziała, że jestem dżentelmenem w każdym calu...

Alexander... kuzyn Joshua i Daniel... och, szkoda, że cię tam nie było!

Anne roześmiała się i oboje poszli do pokoju dziecinnego. Nie wszystko zrozumiała z radosnej paplaniny syna, nie miało to jednak znaczenia.

- Chyba doskonale się bawiłeś?

- Cudownie! A tobie podobało się to miejsce, gdzie cię zabrał pan Butler?

- Ty Gwyn? Bardzo.

- Ale powinnaś była pojechać z nami. Bawiłabyś się dużo lepiej. Kuzyn Joshua... - I zaczął od nowa.

Był uszczęśliwiony, ożywiony i miał opaloną buzię. Ale widać też było, że jest zmęczony. Gdy Anne poszła zajrzeć do niego, gdy umył się i przyszykował do snu, ujrzała, że siedzi na łóżku w nocnej koszuli, z kolanami pod brodą, obejmując je rękami. Bynajmniej nie był wesoły.

- Zmęczyłeś się? - spytała.

- Jutro wracamy do domu, prawda? Koło łóżka stał jego kuferek, już spakowany.

Siadła przy nim.

- Tak, czas na nas. Spędziliśmy tu przecież cały miesiąc.

- Nie rozumiem - powiedział z żalem - dlaczego wszyscy muszą wracać do siebie, jeśli tak dobrze się tutaj bawiliśmy.

- Chodzi o to, że zabawa przestałaby nas cieszyć, gdyby trwała bez przerwy.

Znużyłaby nas wtedy.

- Na pewno nie! Może miał rację.

- Mamy wszystkich innych dzieci pojechały dzisiaj z nami, tylko ty jedna nie! - powiedział dość gwałtownie.

David nie bywał dotąd aż tak kapryśny. Anne, zaskoczona, poczuła się winna.

- Przecież pytałam, czy ci mnie będzie brakowało, a ty powiedziałaś, że nie.

Pojechałabym, gdyby...

- Wszyscy ojcowie też pojechali. Prócz taty Davy'ego, który nie żyje. No, ale on ma stryja Aidana, który jest dla niego tak samo dobry, jak prawdziwy tata. Davy mieszka z nim i robią razem różne rzeczy. Jeżdżą konno, łowią ryby, pływają... A Daniel mieszka z kuzynem Joshua, bo on jest jego tatą. I zabiera go na wieś, gdzie sam kiedyś żył, i pływają łódką

rybacką. A także nosi go na barana i robi jeszcze mnóstwo innych rzeczy.

- Davidzie...

- Ja też kiedyś miałem tatę, prawda? Ty mówisz, że nie, ale Davy mi powiedział, że każdy go musi mieć, nawet nieżywego. Czy mój nie żyje?

Anne przymknęła na moment oczy. Dlaczego najgorsze chwile w życiu nadchodzą właśnie wtedy, gdy nie jesteśmy gotowi, żeby stawić im czoło? Nadal nękało ją, że nie pożegnała się z Sydnmem. Ale to było coś ważniejszego. Próbowwała zebrać myśli.

David pytał ją już przedtem, dlaczego nie ma ojca. Mówiła mu wtedy, że jest kimś wyjątkowym i ma tylko mamę, która kocha go dwa razy bardziej niż wszystkie inne. Była to niemądra odpowiedź, nawet jeśli dawała ją małemu dziecku, i Anne zawsze wiedziała, że w końcu będzie musiała wymyślić coś lepszego.

Dlaczego akurat dzisiaj?

- Tak, nie żyje. Utonął. Pływał w nocy i utopił się. Przykro mi o tym mówić.

Zebrała wszystkie siły, bo z pewnością następne pytanie będzie dotyczyło osoby ojca.

Okazało się jednak, że istnieje inne, jeszcze ważniejsze.

- Czy on mnie kochał?

- Och, kochanie! - Pogładziła go po policzku. - Kochałby cię bardziej niż kogokolwiek innego, ale umarł, nim się urodziłeś.

- W takim razie jak mógł zostać moim tatą? - David zmarszczył brwi.

- On mi ciebie... dał, zanim zmarł, a ja nad tobą czuwałam, póki się nie urodziłeś,

„wyjaśnię ci to, kiedy będziesz trochę większy, ale teraz musisz już spać.

Dziesięć minut później, gdy niemal zasypiał, nagle uśmiechnął się przebiegle.

- Cieszę się, że cię nie było w zamku, bo teraz będę mógł wszystko sam opowiedzieć panu Keeble i panie Martin.

Zaśmiała się cicho.

- No i opowiesz im także o krykiecie, zabawie w piratów i malowaniu. Pozwolę ci o tym mówić zupełnie samemu. Miło będzie znów wszystkich zobaczyć, prawda?

- Mhm - wymamrotał. I zaraz zasnął. Anne siedziała przy nim, póki Davy i Alexander nie weszli na palcach do pokoju chwilę później.

Któregoś dnia David zacznie się zastanawiać i zada jej inne pytania, a ona będzie musiała dać mu odpowiedź. Będzie musiała mu powiedzieć o Albercie Moorze. O jego ojcu.

Zadrżała.

Glenys - pociągając z żalu nosem, zupełnie jakby Anne była jej panią od lat - uparła się, że spakuje jej rzeczy. Anne nie miała więc nic do roboty poza zejściem do salonu.

Musiała to zresztą zrobić. Nikt nie mógł się domyślić, że wizyta w Ty Gwyn była czymś więcej niż miłą popołudniową wycieczką.

Kilka godzin temu - policzyła je na palcach - leżała koło Sydnama Butlera i było to czymś dobrym. Wiedziała, że to było dobre.

Chyba upadła na głowę, żeby odrzucić propozycję małżeństwa!

Ale jak mogłaby powiedzieć „tak”? Co miała mu do zaofiarowania?

I co on mógł jej zaofiarować poza wątpliwą skwapliwością, z jaką chciał ponieść konsekwencje tego, co zrobili?

„Jeśli chcesz, Anne, to się pobierzemy”.

To doprawdy jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. - Księżna Bewcastle z westchnieniem pełnym satysfakcji oparła głowę na mężowskim ramieniu. - Miałaś słusność, Wulfricu. Widok księżycy odbitego w wodzie gotów sprawić, że zacznę szlochać ze wzruszenia.

- Mam nadzieję - odparł sucho książę - że oprzesz się tej chęci. Zamoczyłem już w tym miesiącu buty, nie wspominając o bieliźnie, i spodziewam się, że zdołam uchronić przed podobnym losem przynajmniej mój halsztuk.

Księżna zaśmiała się i mocniej ujęła go za ramię.

Spacerowali po plaży nad samą wodą, jak często robili wieczorami, gdy James był już nakarmiony, wszyscy goście oddalili się do swoich pokojów, a oni mieli wreszcie trochę czasu dla siebie.

- Mimo to z prawdziwą przyjemnością wrócę do Lindsey Hall - oznajmiła Christine.

- Naprawdę?

- Tam jest mój dom. Miło mi będzie do niego wrócić.

- Naprawdę? - powtórzył i zamilkł na chwilę, żeby ją obdarzyć długim, niespiesznym pocałunkiem.

- Czy sprzedasz Biały Dom Butlerowi? - spytała, gdy znów ruszyli brzegiem morza.

- Powinienem był zabrać cię tam i pokazać ci go. Tylko że on w gruncie rzeczy wcale nie jest biały.

- Ale przecież tak brzmi jego walijska nazwa. No więc, czy chcesz go sprzedać?

- Mój dziadek kupił go za młodu. Po salonach natychmiast rozeszły się plotki, że umieścił tam swoją kochankę, ale okazało się - choć moja babka podbiła już wtedy obydwójce oczu komuś, kto był na tyle głupi, żeby ją dyskretnie o tym powiadomić - że to jego dobra

znajoma, żona maltretowana przez męża, znalazła tam schronienie. Mój dziadek zabił zuchwalca, gdy tamten wyzwał go na pojedynek. Całą tę sprawę skutecznie zatuszowano, jak to się wtedy zwykle robiło. Mój dziadek był bardzo barwną postacią, babka zresztą też. Rzecz jasna Bedwynowie nigdy nie brali sobie kochanek, kiedy już się im przyszło ożenić.

Księżna zaśmiała się cicho.

- Założyłabym się, że porzucili ten ryzykowny obyczaj, odkąd kilku z nich ożeniło się z kobietami w typie twojej babki.

Księżę wydał z siebie nieokreślony pomruk. W istocie był to jeden z rzadkich u niego wybuchów śmiechu.

- Sądzę, że sprzedam Ty Gwyn Sydnamowi - odezwał się po kilku minutach. -

Przejdzie bez wątpienia w dobre ręce. W takich przypadkach, jak zresztą sama wiesz, nikt się po mnie nie spodziewa szybkiej decyzji. Oznajmię mu to tuż przed naszym odjazdem.

- Bardzo mnie rozczarowało, że znajomość między nim a panną Jewell niczym nie zaowocowała. Mimo wszystkich naszych wysiłków. A uważałam, że są wprost dla siebie stworzeni! My wszyscy zresztą też.

- Aż się boję, kiedy pomyślę, że całe generacje Bedwynów i ich małżonek oddawały się niegodnej rozrywce kojarzenia małżeństw. Zawsze mnie zdumiewało, w jaki sposób się temu oparłem. A tymczasem moi bliscy żywią szczere przekonanie, że to właśnie oni przyłożyli rękę do naszego związku, Christine.

- Stanowczo potrzeba mu kogoś - powiedziała księżna tak, jakby go wcale nie słuchała. - Jej tak samo. Ilekroć ich widywałam razem, zawsze wydawało mi się, że pasują do siebie. Czy nie przyszło ci do głowy, Wulfricu, że Anne mogła zostać markizą Hallmere, gdyby kuzyn Joshuy ją poślubił? A wtedy Joshua byłby tylko zwykłym panem Moore'em.

- Nie przypuszczam - odparł oschłym tonem księżę - by Freya chciała zostać zwykłą

panią Moore.

- Bardzo ich lubię - dodała księżna, najwyraźniej mając na myśli Anne i Sydnama.

- A więc wynikałoby z tego, że muszą się pobrać. Lecz jeśli logika zawsze zwycięża, to cóż, na litość boską, robimy tu obydwójce?

- Kiedy zabrał ją dzisiejszego popołudnia do Ty Gwyn, podczas gdy my pojechaliśmy do Pembroke, miałam nadzieję, że się jej oświadczy i będziemy mogli po powrocie uroczystie świętować zaręczyny. Kusiło mnie nawet, żeby namówić wszystkich, by pozostali tu jeszcze przez dzień czy dwa, tak żeby można było wydać wielkie przyjęcie. A tymczasem panna Jewell ledwie bąknęła parę słów o Ty Gwyn, chciała za to dowiedzieć się wszystkiego o Pembroke. I przez cały wieczór nie przestawała się uśmiechać. Zauważyłeś? Ach, rzecz jasna, powinnam była zrozumieć to już wcześniej! To z powodu złamanego serca? Może Sydowi zabrakło odwagi, żeby się jej oświadczyć. Pewnie uważa, że jego wygląd jest przeszkodą nie do przezwyciężenia. Co za niemądry człowiek! Szkoda, że nie zaprosiłam go na wieczór, ale nie wiedziałam, o której wrócimy. Wulfricu, czy nie uważasz...

- Christine - przerwał jej surowym tonem książę, zatrzymując się w miejscu i obracając żonę twarzą do siebie, żeby zajrzeć jej w oczy. - Nie przyszedłem tutaj z tobą, żeby rozprawiać o smutnym losie Butlera i panny Jewell.

- Przepraszam cię - odparła z westchnieniem, lecz zaraz uśmiechnęła się ponownie i położyła mu ręce na ramionach, nic sobie nie robiąc z jego wyrzutów. - W takim razie po co mnie tu przyprowadziłeś?

Tym razem pocałunek nie był tak długi jak przedtem, ale za to o wiele mocniejszy.

I Jej Wysokość nie powiedziała już ani słowa o Anne Jewell czy o Sydnamie Butlerze.

Ciepła i sucha pogoda załamała się w końcu. Szare chmury wisiały nisko nad ziemią i siąpił deszcz, gdy Sydnam szedł po podjeździe ku pałacowi. Była to pogoda całkiem

odpowiednia w tych okolicznościach.

Nie musiał żegnać odjeżdżających, skoro Bewcastle i księżna mieli jeszcze pozostać w Glandwr przez dwa dni. Pałac opuszczali jedynie Hallmere'owie i Rosthornowie. Uznał jednak, że powinien pożegnać Freyę i Morgan.

Mój Boże! Kogo on chciał okłamać?

Anne Jewell też dzisiaj odjeżdżała. Ciężko mu było na sercu, ale nie pozwalał sobie na rozmyślania, czym będzie jego życie bez niej.

Być może powinien był tego ranka zostać u siebie. W końcu rozstali się wczoraj, choć powrót powozów z Pembroke nie pozwolił im powiedzieć grzecznościowych formułek. Lepiej chyba było dać sobie z tym spokój.

A jednak... Wstał o świcie i zaczął krążyć po swoim domu. Szybko podjął nową decyzję, której skądinąd świadomy był od samego początku.

Pożegnania są może bolesne, ale mimo to trzeba przez nie przejść w należyty sposób.

Każda historia powinna mieć swoje zakończenie. I właśnie dlatego szedł teraz do Glandwr.

W połowie podjazdu spostrzegł, że kuleje. Natychmiast skupił się na tym, by nie wlec za sobą chorej nogi.

Kilka powozów stało już przed tarasem. Wcisnął kapelusz głębiej na oczy, żeby ochronić twarz przed drobnym deszczem.

Kiedy minął karety i zajrzał w otwarte drzwi frontowe, odniósł wrażenie, że wszyscy Bedwynowie zebrali się w holu wraz z żonami, dziećmi i resztą gości. Panowała tam wrzawa i krzątanina.

Stał przez jakiś czas na tarasie, aż wreszcie Hallmere i Rosthorn wyszli i uścisnęli mu dłoń. Potem podali swoje dzieci piastunkom w powozach, nim maluchy zdążyły zmoknąć na deszczu. Później na taras wyszła Freya. Ona również uścisnęła mu dłoń i oznajmiła, na swój

prostoliniyjny sposób i bez żadnych wyjaśnień, że nigdy nie uważała go za głupca. Hallmere pomógł jej wsiąść do powozu. Ralf uśmiechnął się szeroko do Sydnama. Alleyne jedynie uniósł wysoko brwi.

Następna była Morgan. Uściskała braci, a widząc, że Sydnam stoi razem z nimi, uściskała również i jego, mimo że był znacznie bardziej zmoknięty od nich.

- Sydnamie - rzekła, patrząc mu w twarz, a on mógłby przysiąc, że w oczach zakręciły się jej łzy. - Och, mój drogi, tak bardzo pragnęłam, żebyś był szczęśliwy.

- Morgan - zaprotestował - przecież ja jestem szczęśliwy.

- Będzie nam bardzo brakowało Anne - powiedział Joshua.

- Pani Pritchard już roni łzy z tego powodu - wyjaśnił Rannulf. - A Judith i Christine czekają w kolejce.

- Chodź, moja droga - zwrócił się Rosthorn do Morgan. - Nie stój na deszczu.

- My też nie powinniśmy moknąć - uznał Rannulf i razem z Alleyne'em wrócili do domu. Hallmere i Rosthorn wsiedli w ślad za żonami do powozów.

Sydnam został nagle sam na tarasie. Sam z Anne Jewell, która właśnie pospiesznie wyszła z domu, ze schyloną głową, trzymając syna za rękę. Ktoś zatrzymał Aidana, który jej towarzyszył, chwytając go za ramię. Sydnam pomyślał, że Bedwynowie okazali się doprawdy bardzo taktowni.

Uniosła głowę dopiero wtedy, gdy znalazła się niemal tuż przy nim. Spojrzała na niego zaskoczona.

Wyglądała blado, choć może tak mu się tylko zdawało z braku słońca.

- Przyszedłem pożegnać się ze wszystkimi. David uśmiechnął się do niego, mimo że wyglądał, jakby mu się raczej chciało płakać.

- Spytam pana Uptona o farby olejne - oznajmił. Sydnam odwzajemnił jego uśmiech.

- Davidzie - poprosiła Anne, nie spuszczać oczu z Sydnama - ukłonił się ładnie panu Butlerowi, a potem szybko wsiadł do powozu, żebyś nie zmókł.

- Do widzenia, Davidzie - powiedział Sydnam. - Dziękuję, że pozwoliłeś mi obejrzeć swój obrazek.

- Do widzenia panu. - Chłopiec szybkim gestem skłonił przed nim z szacunkiem głowę, a potem niemal biegiem puścił się ku pojazdowi.

I tak widzieli się po raz ostatni, między gronem gości za otwartymi drzwiami a równie liczną grupą wokół rzędu powozów. Trudno było o mniej dyskretną scenerię, ale Sydnam wszystko potraktował obojętnie prócz kobiety, która przed nim stała.

- Pamiętasz o swoim przyrzeczeniu? - spytał, podając jej dłoń.

- Tak.

Zerknęła na niego, ale nie skrzyżowała z nim spojrzenia. Wsunęła swoją lewą dłoń w jego rękę. Nachylił się nad nią i uniósł ją na chwilę ku wargom. Sprawiał mu szczerą przykrość brak wszelkiej prywatności, chociaż wszyscy najwyraźniej zaprzątnięci byli czymś innym.

Bez wątpienia wspólnie zaaranżowali ich końcowe, krótkie sam na sam.

Gdy uniósł głowę, spojrzała mu w końcu w twarz, zabierając dłoń. Zobaczył krople deszczu na jej policzkach i rzesach. Zmarszczyła lekko brwi.

- Do widzenia - powiedziała, zniżając głos niemal do szeptu.

- Do widzenia. Odwróciła się i wspięła po schodkach do powozu z dziećmi, chociaż mógł jej pomóc przy wsiadaniu. Jej uwagę zaprzątneła córeczka Freyi, która domagała się, żeby ją wziąć na ręce.

Woźnica wciągnął do środka schodki i zatrzasnął drzwiczki, a potem wdrapał się na kozioł. Powóz zakołysał się na boki, ruszył i niemal od razu potoczył się tuż za karetą Hallmere'ów.

Nie wyjrzała przez okienko.

Sydnam ledwie zauważył, że reszta gości i gospodarze wyszli przed dom, żeby pomachać im na pożegnanie. Czuł się bardziej osamotniony niż kiedykolwiek przedtem.

Wczoraj o tej samej porze z zadowoleniem spoglądał ku słońcu i cieszył się na myśl o tym, że spędzi razem z nią popołudnie w Ty Gwyn.

Czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu. Spojrzał w surową, beznamietną twarz Bewcastle'a.

- Chodźmy do biblioteki, skoro już się tu zjawiłeś - powiedział książę. -

Porozmawiamy o Ty Gwyn.

Anne przyjechała do Bath krańcowo wyczerpana. Choroba lokomocyjna dokuczała niance w drodze powrotnej jeszcze bardziej niż przedtem, musiała więc poświęcić całą swoją energię na zabawianie dzieci, żeby nie kaprysiły z powodu nudnej podróży.

Podczas postojów starała się serdecznie gawędzić z Joshua i Freyą, by ani przez moment nie pomyśleli, że ogarnął ją smutek, choć w istocie tak właśnie było.

Jakże była głupia, myśląc, że można się kochać z mężczyzną, a potem po prostu o tym zapomnieć.

Jakże była głupia, uważając, że jednym intymnym aktem można się wzajemnie uwolnić od samotności i być za to wdzięcznym.

Jakże była głupia, łudzac się, że sprawi jej satysfakcję współzycie z Sydnamem, zupełnie jakby była normalną kobietą.

Wspomnienia bolały niczym otwarta rana, a cierpienie wzmagało się wraz z każdą przebytą milą.

Kochała się z nim, ale jej ciało w jakiś niewytłumaczalny sposób pozostało na to obojętne.

Bała się, że Syd nie przyjdzie się z nią pożegnać.

Jeszcze bardziej przerażało ją, że przyjdzie.

A potem, kiedy rzeczywiście przyszedł i po raz ostatni spojrzała w jego piękną, choć okaleczoną twarz, czuła tylko ból.

Kusiło ją, żeby mu powiedzieć, iż zmieniła zdanie.

Nie zrobiła tego.

Spotykali się przez cały miesiąc i spędzili z sobą dużo czasu; Kochali się nawet. A wszystko to, bo czuli się samotni.

Ale to nie było żadnym usprawiedliwieniem.

Z pewnością nie tylko świadomość ponownego osamotnienia sprawiła, że w gardle i piersiach czuła dotkliwy ból, który nie chciał zelżeć.

Przypuśćmy, że zakochała się w Sydnamiem Butlerze. Przypuśćmy, że kochała go całym sercem.

W takim razie była to miłość beznadziejna.

Powozy zatrzymały się przed domem lady Potford na Great Pulteney Street, gdzie

Joshua z rodziną miał jeszcze pozostać przez kilka dni przed powrotem do Kornwalii. Jedna karetka pojechała dalej, na Daniel Street, wraz z bagażami, lecz Anne i David woleli przebyć resztę drogi pieszo, żeby rozprostować nogi. Joshua uparł się, żeby im towarzyszyć.

Ofiarował Anne ramię. David szedł tuż przy nim po drugiej stronie.

- Anne, czy spędziłaś miły miesiąc?

- Bardzo. Ogromnie ci jestem wdzięczna, że mnie zaprosiłeś.

- Och, a więc przyjmiesz nasze następne zaproszenie - ucieszył się.

- Ależ ja nie... - zaprotestowała.

- Chciałbym, żebyśmy tam wciąż jeździli i jeździli! - wykrzyknął David. Dopiero co o

mało się nie rozpląkał, gdy zegnał Daniela i Emily oraz uścisnął rękę Freyi.

- Owszem, byłoby to pożądane - zgodził się Joshua. - Tylko że wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Ale gdyby było inaczej, nigdy nie można by się spodziewać czegoś nowego i dobrego. Jeśli panna Martin mogłaby się bez ciebie obyć, Anne, przyjdźcie obydwójce do Penhallow na Boże Narodzenie. W ten sposób wszyscy będziemy mogli na coś czekać!

David, jak zauważyła Anne, trzymał Joshuę za rękę, co zwykle uważał za rzecz poniżej godności dziewięciolatka.

- Anne - zaczął Joshua, gdy szli już przez Sutton Street ku szkole. - Żałuję, że Sydnam Butler nie mieszka bliżej Bath. Obserwowaliśmy waszą przyjaźń z zainteresowaniem. Była bardzo zadowolona, że tego wcześniej nie zauważyła.

- Ależ to tylko przyjaźń.

- Doprawdy? Skręcali już w Daniel Street, a Claudia i Susanna - uprzedzone dzięki przyjazdowi powozu z bagażem - wyszły na próg, żeby ich powitać. Zaczęły się uściski, pozdrowienia i śmiechy. Gdy zdołała się oswobodzić, spostrzegła w drzwiach jeszcze jedną kobietę, wysoką, smukłą, ciemnowłosą i elegancko, a nawet bardzo modnie ubraną, która uśmiechała się pogodnie.

- Frances! - wykrzyknęła Anne i padła jej w ramiona.

- Lucius i ja wróciliśmy właśnie z kontynentu - odezwała się Frances, hrabina

Edgecombe. - Wstąpiliśmy do Bath po drodze do domu, żeby spytać, czy któraś z was nie chciałaby spędzić ostatnich dwóch tygodni wakacji w Barclay Court razem z nami. Susanna zamierza tam pojechać. Anne, jakże się cieszę, że wróciłaś w samą porę, żebym mogła cię zobaczyć. Nigdy nie przestałam za tobą tęsknić. Ach, tylko ta opalenizna...

Frances znalazła miłość podczas zawiei śnieżnej, kiedy jej powóz utknął w zaspie

wskutek nieostrożności hrabiego i jego woźnicy. Znienawidziła go od pierwszego wejrzenia, a potem zakochała się w nim bez pamięci. W jakiś czas po jej zamążpójściu trzy pozostałe przyjaciółki z większą nadzieją zaczęły patrzeć w przyszłość, chociaż nigdy by się do tego przed sobą nie przyznały.

- Nie cierpię, kiedy mi cię brak! - powiedziała Anne. - Och, Frances, spójrz tylko, jak wspaniale wyglądasz!

Odwróciła się, nim weszła do domu, i zdołała jeszcze zobaczyć, że Joshua uniósł Davida do góry, a chłopiec mocno objął go za szyję z twarzą wtuloną w jego ramię. Joshua gładził go po głowie i pocałował w policzek. Potem postawił malca na ziemi, ujął jego buzię w obie dłonie, ucałował go w czoło i zwrócił się do Anne:

- Znakomicie go wychowałeś. David jest już dużym chłopcem. Napiszę do ciebie z Penhallow.

Uścisnęła mu rękę, a David wbiegł do szkoły, nie zatrzymując się nawet, żeby pozdrowić którąkolwiek z nauczycielek czy odźwiernego, którego wyjątkowo lubił.

- Dziękuję ci raz jeszcze - powiedziała do Joshuy.

- Anne - rzekł, zniżając głos i ściskając jej dłoń mocniej - zrobiłaś, co mogłaś, ale chłopcu trzeba rodziny a w Kornwalii czekają bliskie ci osoby, Prue i Ben, Constance i Jim Saunders, Freya i ja. A także Chastity i Meecham, choć mieszkają gdzie indziej. David ma ciotki, stryjów i kuzynów, nawet jeśli urodził się z nieprawego łoża. Powinnaś wreszcie pomyśleć o tym, żeby powiedzieć mu o jego krewnych. Zgoda?

- Sama potrafię zadbać o mojego syna - odparła sztywno, zabierając rękę. - Dziękuję ci jednak, że jesteś dla niego tak dobry.

- Napiszę do ciebie. - Joshua potrząsnął głową, najwyraźniej nieprzekonany. - Do widzenia, Anne.

- Do widzenia - odpowiedziała i patrzyła za nim, dopóki nie skręcił za róg i nie zniknął jej z oczu.

Bywają różne rodzaje pożegnań. Akurat to nie okazało się dla niej zbyt bolesne, chociaż najwyraźniej było takie dla Davida. W każdym razie zobaczą Joshuę powtórnie, choć może dopiero na Boże Narodzenie.

A Sydnama nie ujrzy już nigdy więcej.

Nigdy.

Susanna objęła ją ramieniem i Anne weszła do szkoły razem z przyjaciółkami.

Wróciła do domu i było jej w nim dobrze.

Tylko że nigdy więcej to przeraźliwie długo.

Gdy Anne układała Davida do snu, udało się jej go przekonać, że do Gwiazdki nie jest wcale tak daleko. Pocieszyło go też, że Claudię i część dziewcząt bardzo zaciekała jego opowieść o wakacjach.

- Mamo - przyznał, kiedy otuliła go kołderką - dobrze, że już wróciliśmy. Wolę spać sam.

Owszem. Dobrze, że już wrócili, bo czekają mnóstwo pracy. Susanna wyjeżdżała do Barclay Court z Frances i jej mężem, tak że Anne i Claudia same będą musiały zadbać o rozrywkę dziewczynek. Należało też koniecznie przygotować się do nauczania kolejnych klas, napisać listy - do Eve i pani Pritchard po prostu z przyjaźni, do księżnej Bewcastle z podziękowaniami, a także do Morgan, panny Thompson i pozostałych żon Bedwynów.

Mimo męczącej podróży i mnóstwa wyczerpujących emocji podczas odjazdu z

Glandwr Anne spędziła wieczór w bawialni Claudii razem ze wszystkimi przyjaciółkami -

Frances wolała nocować w szkole, mimo że mąż wynajął pokoje w hotelu Royal York, Zjawił się co prawda na obiedzie, lecz szybko odszedł, mówiąc, że jego obecność byłaby zbyt duża i że zapewne panie przegadają co najmniej pół nocy.

Anne lubiła go, tak jak i reszta nauczycielek. Wszystkie cieszyły się małżeńskim

szczęściem Frances. Gawędziły o jej podróżach i sukcesach wokalnych na kontynencie, a także o walijskich wakacjach Anne. Nie padło jednak ani jedno słowo o Sydnami Butlerze...

i różnych innych rzeczach, choć do tej pory nie miały przed sobą tajemnic. Anne wydawało

się nieraz, że są raczej siostrami niż przyjaciółkami. Wcale też nie wspominały o tym, że

Frances nie pracuje już w szkole od dwóch lat. Zupełnie jakby pozostawała z nimi przez cały ten czas.

Następnego ranka Anne pożegnała się z Susanną i Frances. Gdy hrabia przyszedł po

nie, wraz z Claudią machała im ręką na pożegnanie. A potem obydwie uśmiechnęły się do siebie i zajęły urządzaniem wycieczki oraz pikniku w pobliskim parku Sydney Gardens.

Dwa tygodnie minęły bardzo szybko, pośród spacerów, pikników i zabaw w poszukiwanie skarbu. Anne stale przebywała z dziewczętami, czy to w szkole, czy w sypialniach, próbując wpoić im poczucie przynależności do rodziny i świadomość, że troszczą się o nie dorośli. Nieuchronnie jednak zbliżał się nowy rok szkolny. Przybyło uczennic, Lila Walton, obiecująca prymuska, stała się jedną z młodszych nauczycielek, tak samo jak cztery lata wcześniej Susanna. Anne spędzała z nią wiele czasu.

Wreszcie Susanna wróciła, wypoczęta i ożywiona, przywożąc mnóstwo nowinek z Barclay Court. Claudia jadła tego wieczoru obiad z rodzicami jednej z nowych uczennic.

Anne i Susanna zostały razem, gdy wszyscy już się położyli. Susanna usiadła na łóżku, obejmując kolana rękami, a Anne - na krześle przy małym biurku.

- Bardzo byłam zła na Frances, kiedy dwa lata temu wyszła za hrabiego. - Susanna westchnęła. - Ale - wierz mi, postąpiła słusznie. Jakże jej zazdroszczę! Hrabia to czarujący człowiek. A jaki jest z niej dumny! Ani trochę nie narzeka, że jeździ z nią po całym kontynencie, żeby mogła występować. On się wprost upaja jej sławą!

- I nadal jest w niej zakochany - dodała Anne. - Wyraźnie to było widać podczas obiadu.

- Co za bajeczna historia! - Susanna znów westchnęła. - Koniecznie chciał ją poślubić, mimo że był wicehrabią Sinclairem, a ona tylko skromną nauczycielką. Ale jaką piękną! Teraz jest jeszcze piękniejsza. Małżeństwo, podróże i kariera najwyraźniej jej służą. Zamilkły na chwilę, obydwie nadzwyczaj zadowolone z powodu szczęścia Frances, lecz raczej melancholijnie nastawione do własnego losu.

- A ty? - spytała Anne. - Spotkałaś kogoś interesującego?

- Na przykład księcia, który porwałby mnie, zawiózł do swego zamku jako żonę? -

Susanna się roześmiała. - Niestety, nie! Ale Frances z mężem robili, co mogli, żebym się dobrze bawiła każdego dnia, chociaż myślę, że własne towarzystwo wystarczyłoby im zupełnie po tak długiej podróży. Spotkałam wiele sympatycznych osób, tyle że większość z nich już przedtem poznałam.

- Ale nikogo... szczególnego?

- W gruncie rzeczy nie... Anne uniosła brwi z powątpiewaniem.

- No, tylko jednego dżentelmena - przyznała Susanna - który wyraźnie dał do zrozumienia, jakie ma względem mnie zamiary. Nie okazały się zbyt uczciwe. To stara historia, Anne... Był jednak bardzo przystojny. I przyjacielski. Nieważne. A ty? Mnóstwo nam naopowiadałaś wczoraj wieczór, ale nic nie dotyczyło ciebie.

- Bedwynowie okazali się nadzwyczajni. Księżę Bewcastle istotnie może budzić respekt, a nawet strach, a jednak był dla mnie bardzo łaskawy. Księżna jest urocza, ani trochę nie wyniosła, a on ją wprost uwielbia, choć nie robi tego ostentacyjnie. Uwielbia też swojego synka, berbecia, który bywa wprost niemożliwy, chyba że ojciec weźmie go na ręce. A księżę robi to często. Dziwny, tajemniczy i fascynujący mężczyzna.

Susanna oparła podbródek na kolanach.

- Przygnębia mnie to ciągle rozprawianie o księżęcych mariażach - powiedziała. Ale w jej oczach widać było szelmowski błysk. - Czy nie ma już wśród nich żadnego do wzięcia?

- Żadnego. - Anne również się uśmiechnęła, ale nagle przypomniała się jej scena przy przełazie.

Susanna nie spuszczała z niej wzroku.

- Anne, a więc... kto to był?

- W sumie nikt - odparła pospiesznie, prostując się na krześle. - Och, to nieładnie tak o

kimś mówić! Jest rządcą księżęcym w Glandwr i osobą samotną, podobnie jak ja. Nie dziwnego, że razem spacerowaliśmy albo siadywaliśmy wieczorem koło siebie na obiedzie.

To wszystko.

- Wszystko - powtórzyła Susanna, nadal się jej przypatrując. - Wysoki, przystojny i brunet, co?

- Tak, tak, tak. Susanna nadal nie przestawała jej obserwować.

- Zostaliśmy przyjaciółmi.

- Naprawdę?

- Naprawdę... - Nie mogła zmusić się do uśmiechu ani do siedzenia bez ruchu. Wstała i podeszła do okna. Uniosła zasłonę, spoglądając na tonącą w mroku łakę. - Bardzo... dobrymi przyjaciółmi.

- Ale ci się nie oświadczył? Szkoda. Zaległa między nimi cisza. Anne nie zaprzeczyła.

- Czy nie sądzisz - spytała w końcu Susanna - że wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby rodzice i bliscy zadbali o należytych wielbicieli dla nas? Czy nie byłoby to łatwiejsze niż nauczycielskie życie w szkole z internatem?

- Nie jestem pewna. - Anne opuściła zasłonę. - Czy życie w ogóle jest łatwe.

Dziewczęta i kobiety często zawierają fatalne mariaże, nawet jeśli rodzina służy im radą przy wyborze lub rozstrzyga o małżeństwie. Gdybym miała wybierać między złym związkiem a życiem tutaj, z pewnością wybrałabym to ostatnie.

- Nie powinnam była nawet o to pytać. Miałam szczęście, że mnie tu przysłano i byłam wręcz wniebowzięta, gdy Claudia zaoferowała mi pracę. Mam też dobre przyjaciółki.

Czego więcej można pragnąć od życia?

- Ale jesteśmy też kobietami, nie tylko nauczycielkami. - Anne znów siadła na krześle.

- Natura wyposażyła nas w pewne potrzeby służące przedłużaniu gatunku.

Potrzeby, które można desperacko zdusić, ale nie unicestwić. Susanna patrzyła na nią bez słowa przez dłuższą chwilę.

- Czasami trudno o nich zapomnieć. Tego lata bardzo mnie kusiło, żeby zostać czyjąś kochanką. I wciąż nie jestem całkiem pewna, czy dokonałam właściwego wyboru ani też czy zdołam go dokonać następnym razem.

- Ja też tego nie wiem - odparła Anne ze smutkiem.

- Och my biedne, stare panny! - Susanna zerwała się na nogi. - Wracam do mego samotnego łóżka. Podróż mnie zmęczyła. Dobranoc, Anne.

Trzy dni później wszystkie dziewczęta powróciły i napełniły szkołę gwarem. Przybyły też nowe uczennice, nieufne i niepewne, zwłaszcza dwie dziewczynki, opłacane przez dobroczynność, które przysłał pan Hatchard, londyński agent Claudii. Za jedną z nich płaciła Freya, choć Claudia, rzecz jasna, nie wiedziała o tym.

Anne zajęła się nimi. Jednej z nich potrzeba było nauki poprawnej wymowy - nikt bowiem nie rozumiał jej londyńskiego żargonu. Drugą należało cierpliwie oduczyć agresywnego zachowania.

Następnego dnia rozpoczęła się nauka.

Przez cały miesiąc Anne miała mnóstwo pracy, a większość wolnego czasu poświęcała Davidowi, któremu pan Upton obiecał po Gwiazdce naukę malowania farbami olejnymi. Pomagała synowi przy korespondencji z Davym i Becky. Do niego pisywał Joshua. Życie wróciłoby do normy, gdyby Anne nie zdała sobie sprawy, że jej ciało do niej nie wróciło. Okres nie pojawił się przed rozpoczęciem roku szkolnego, chociaż zawzięcie próbowała sobie wmówić, że to skutek przykrych przeżyć. Wciąż jeszcze się łudziła, nawet gdy zaczęły jej dokuczać poranne nudności, jak dziesięć lat temu.

Lecz oczywiście drugi okres, w październiku, również nie nadszedł. Czyż spodziewała

się cudu? Przypomniała sobie słowa Sydnama. Półtora miesiąca temu kochała się z nim z własnego wyboru. Pragnęła go, bo on pragnął jej. Bo to był ich ostatni wspólny dzień. I ten wybór odmienił na zawsze jej życie.

Była to przerażająca myśl.

Pewnego chłodnego sobotniego ranka, gdy Susanna zabrała większość dziewczynek na łąkę i David poszedł tam razem z nimi, zapukała do drzwi Claudii.

- Czy mogę ci przeszkodzić? - spytała. Jeszcze poprzedniego dnia piła w bawialni Claudii herbatę razem z Susanną i Lila, gawędząc na przeróżne tematy. Mogła zostać, gdy one już wyszły, i powiedzieć wszystko. Wiedziała jednak, że musi to zrobić w sposób bardziej formalny.

Claudia spojrzała na nią znad biurka.

- No, ostatni rodzice zapłacili wreszcie rachunki - oznajmiła. - Chyba poradzimy sobie finansowo w tym roku, Anne. A za dwa lub trzy lata powiadomię Hatcharda, że nie potrzebujemy już wspierania nas przez dobroczynność.

Odłożyła pióro i wskazała jej krzesło po drugiej stronie biurka.

- Doskonale sobie poradziłaś przy śniadaniu, kiedy Agnes Ryde wpadła w złość.

Załagodziłaś sytuację. Masz prawdziwy dar do poskramiania trudnych dziewcząt.

- Ona wciąż jeszcze czuje się nieswojo w nowym otoczeniu, to i wszystko. A kiedy się „boi, zaczyna walczyć, jeśli nie pięściami, to językiem, bo tak jej podpowiada doświadczenie.

Ma jednak dobre serce i bystry umysł, Claudio. A jedno i drugie można u nas rozwinąć. To bardzo dobra szkoła. Niejedna uczennica zrezygnowałaby z droższej, byle się tu dostać.

Claudia odchyliła się do tyłu na krześle i przez chwilę milczała.

- O co chodzi, Anne? Czegoś tu nie mogę zrozumieć. Jesteś równie pilna, serdeczna i cierpliwa, jak zawsze, ale... Brakuje ci teraz pogody ducha, jeśli można to tak ująć. Czy mam

posłać po pana Blake'a?

Pan Blake był lekarzem, którego wzywano do szkoły, gdy któraś z wychowanek czuła się źle.

- Muszę stąd odejść, Claudio... - powiedziała bez żadnych wstępów Anne. Własne słowa dotarły do niej jakby z dala, niczym cudza wypowiedź. Były jednak prawdziwe i nieodwołalne.

Claudia spojrzała na nią uważnie, lecz nic nie rzekła.

- Bo chyba... - Anne przymknęła na moment oczy - wyjdę za mąż.

Układała sobie i powtarzała w myśli to zdanie przez cały tydzień, od ostatniej soboty, kiedy wysłała list do Glandwr, ale dopiero teraz wypowiedziała je na głos. Nie uśmiechała się jednak przy tym i nie wyglądała na radosną i szczęśliwą. A zamierzała zrobić takie właśnie wrażenie.

- Za mąż? Zdała sobie sprawę, że Claudia powtórzyła za nią te słowa.

- Poznałam go w Walii tego lata - wyjaśniła. - Poprosił mnie wtedy o rękę. Napisałam teraz do niego.

- Moje gratulacje. - Claudia nadal wpatrywała się w nią surowo. - Czy wolno mi poznać jego nazwisko?

Anne westchnęła i poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Nie wiem, czy mogę tak zrobić. Jesteś w końcu moją przełożoną, a tymczasem ja trzymałam to w tajemnicy przez blisko dwa miesiące. Powinnam była postąpić uczciwiej wobec ciebie. Bardzo mi z tego powodu przykro. Nie powiedziałam najważniejszego. On nazywa się Sydnam Butler. Jest młodszym synem hrabiego Redfielda i rządcą księcia Bewcastle w Glandwr.

- Sydnam Butler z Alvesley Park koło Lindsey Hall? Przypominam go sobie. Był

niezwykle przystojnym chłopcem.

- Jestem przy nadziei - wyrzuciła z siebie Anne. Claudia zacisnęła usta.

- Gwałt?

- Nie! Och nie, Claudio. Nic podobnego. Zrobiłam to z własnej woli. Oświadczył mi się potem, ale odmówiłam. Obiecałam mu jednak, że go powiadomię, jeśli znajdę w ciąży, i wtedy zgodzę się na ślub. Tydzień temu wysłałam do niego list.

Zapadła krótka cisza.

- Ale nie chcesz wyjść za niego?

- W gruncie rzeczy nie.

Teraz obydwójce będą do tego zmuszeni. Anne musi się pogodzić z tym, że Sydnam będzie chciał uporządkować całą sytuację. On zaś z tym, że Anne wprawdzie dotrzymała obietnicy, lecz dostanie mu się oziębła żona.

Tęskniła za nim, ale i bała się tego. Z całego serca nienawidziła okoliczności, które zmuszały ich do małżeństwa. On zapewne też nie będzie szczęśliwy.

- W takim razie nie rób tego. - Claudia wsparła dłonie na blacie biurka, wstała i nachyliła się ku niej. - On jest uprzywilejowanym, bogatym synem hrabiego. O wiele zresztą zbyt przystojnym, żeby jemu lub tobie przyniosło to szczęście. W dodatku łączą go koligacje z księciem Bewcastle. Twój los będzie godny pożałowania.

- Co mi pozostaje? Czy mam zostać tutaj? Przecież wiesz, że to niemożliwe.

Zauważyła, że Claudia się zawahała.

Kilka lat temu, gdy zatrudniała niezamężną matkę jako nauczycielkę, niektórzy z rodziców się zgorszyli, zwłaszcza że Anne miała czelność zatrzymać przy sobie nieślubne dziecko. Jedną z uczennic odebrano nawet ze szkoły.

- A prócz tego nie mam wyboru. Davida czeka niełatwe życie. Nie pozwolę, by

kolejne dziecko przeżyło to samo.

- Czy on się z tobą ożeni?

- Tak.

W głębi serca była tego pewna. Sydnam powinien przyjechać lada chwila. Nagle jednak ogarnął ją paniczny strach. A jeśli nie przyjedzie?

- Och, Anne! - Claudia opadła na krzesło z westchnieniem. - Jak mogłaś postąpić tak głupio?

Istotnie, zrobiła coś głupiego, ale nie było czasu na żale. Stało się.

- Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej, zamiast czekać, aż będę pewna, że spodziewam się dziecka. Albo może później, gdy list już do niego dojdzie. Musisz znaleźć zastępstwo. Lila dobrze się zapowiada, podobnie jak kiedyś Susanna. Umie sobie zyskać szacunek dziewcząt, które niedawno były jeszcze jej koleżankami, i jest bardzo lubiana przez nowe uczennice. Prócz tego doskonale radzi sobie z matematyką, a z geografii zawsze stawiała jej najlepsze stopnie. Przy twoim wsparciu na pewno nie zawiedzie.

Claudia w zamyśleniu mierzyła ją wzrokiem. Potem wstała gwałtownie, obeszła wkoło biurko i objęła ją.

- Och, Anne, powinnam porządnie tobą potrząsnąć, ale... Moja droga, jak mogę ci pomóc? Czy istnieje choćby najmniejsza szansa, że go pokochasz?

Anne poczuła się lepiej w tym uścisku. Bała się utracić przyjaciółki, a zdyscyplinowanej Claudii lękała się najbardziej. Kobiecie, która po raz drugi spodziewa się nieślubnego dziecka, trudno domagać się współczucia.

- Nie zrobiłabym... tego, gdybym nic do niego nie czuła. To nie było uwiedzenie, Claudio, a już na pewno nie gwałt. Proszę cię, uwierz mi.

- Przecież nie zgodziłaś się wyjść za niego? Albo oszalałaś, albo ja się przesłyszałam.

- Wtedy małżeństwo wydawało mi się nieodpowiednie dla nas obojga z powodów, które trudno ująć w słowa. Teraz jednak chodzi o kogoś trzeciego i jest to jedyna właściwa rzecz, jaką możemy zrobić.

Claudia westchnęła powtórnie.

- Usiądź - powiedziała i pociągnęła za sznur, wiszący nad biurkiem. - Niech nam przyniosą herbaty. Przy niej wszystko można ujrzeć jaśniej i spokojniej ocenić. Poproszę tu Susanne. Bardzo mi brakuje Frances. Jak ja sobie bez ciebie poradzę?

Wydała polecenie służącej, która zjawiała się w drzwiach.

- Chodzi jeszcze o kogoś czwartego. Czy pan Butler będzie dobrym ojcem dla Davida? Wybaczę mu wiele, jeśli odpowiedź brzmi „tak”.

Anne to właśnie martwiło najbardziej. David potrzebował ojca, lecz wyobrażał go sobie jako atletycznego i nieskazitelnego fizycznie Joshuę, Alleyne'a czy Aidana. Znał już jednak Sydnama i mieli wspólne zainteresowania. Nie żywił też wobec niego odrazy.

Jak jednak odniesie się do Sydnama w roli ojca i jej męża?

- Sydnam będzie dla niego dobry. Tego jednego była całkowicie pewna.

Ulewne deszcze od kilku tygodni czyniły wszelką podróż głównymi traktami powolną, ryzykowną, a czasami nawet niemożliwą. Sydnam niecierpliwie czekał na listy od księcia Bewcastle i od jego radców prawnych - ostatnią już formalność, po której Ty Gwyn miał przejść oficjalnie w jego ręce.

Ucieszył się więc, gdy w końcu nadeszły. Otworzył je, nim przejrzał pozostałą pocztę, choć widział, że na wierzchu leży list od matki.

Stał pośrodku swego pokoju i przeglądał dokumenty. Powinien się cieszyć, skoro jego marzenie wreszcie się spełniło. Był teraz ziemianinem. Miał dom i ziemię w Walii, krainie, którą głęboko pokochał. Jedno i drugie należało do niego. Należało bez reszty. Musi o tym powiedzieć Tudorowi Rhysowi, a potem uczcżą to razem.

Trudno mu jednak było o radość.

Na miesiąc przed zakończeniem formalności polecił przemaalować jadalnię. Nie pofatygował się jednak, żeby kontrolować prace. Nie było go w Ty Gwyn przez prawie dwa miesiące, odkąd...

No cóż, od czasu tego, co się wówczas stało.

Nie potrafił się zmusić, żeby tam pojechać. Musiałby minąć furtkę i przejść koło przełazu. I koło ogrodu różanego. I wstąpić do pustego domu, gdzie nie byłoby nikogo poza robotnikami.

Nie chciał mierzyć się z absurdalną możliwością, że nigdy nie zamieszka w Ty Gwyn, że będzie bez końca tkwić w domku koło pałacu w Glandwr, pod pretekstem, że wygodniej mu stąd zarządzać posiadłością księcia.

Otworzył list od matki i przejrzał resztę poczty. Dotyczyła wyłącznie interesów, prócz jednego cienkiego listu, zaadresowanego elegancko, najwyraźniej kobiecą ręką. Nie było to

jednak pismo Lauren. Odłożył list od matki. Ten drugi nadszedł z Bath.

Któż mógł stamtąd do niego pisać? Złamał pieczęć i rozłożył pojedynczą kartkę.

Najpierw spojrział na podpis. Nie mylił się. Przeczytał list. Raz, potem drugi, zdanie po zdaniu, jakby treść nie mogła do niego w pełni dotrzeć.

Była w ciąży. Obiecała powiadomić go o tym. Przesyła mu uprzejme pozdrowienia, Wszystko ujęte w krótkie formułki.

Była w ciąży. Z jego dzieckiem. Jego i jej.

Była w ciąży, ale nie miała ślubu.

Wreszcie wróciła mu zdolność myślenia. Musi do niej natychmiast pojechać. Bez zwłoki. Jego życie nabrało nagle niezwykłej wartości, wprost bezcennej. Tylko on mógł uratować Anne Jewell i ich dziecko przed przerażającym losem. Nie wolno mu czekać.

Złożył list i wsunął go do kieszeni, nim pospiesznie zadzwonił po lokaja. Biedna Anne. Nie ma czasu do stracenia.

Zanim jednak lokaj - zdumiony, że wzywa się go o tej porze - wszedł do pokoju, Sydnam zdał sobie sprawę, że niełatwo mu przyjdzie pospieszyć jej z pomocą. Trzeba będzie włożyć buty, żakiet do konnej jazdy, wskoczyć na pierwszego z brzegu konia i pogalopować ku Bath.

List - jak stwierdził, gdy wyjął go z kieszeni i rozpostarł na łóżku, żeby kolejny raz się z nim zapoznać - nadano ponad tydzień temu. Szedł więc dwukrotnie dłużej niż zwykle. No, oczywiście, te drogi! Wiedział, że praktycznie są nie do przebycia i że długo takie pozostaną. Ulewy siekły je niemal codziennie. Prócz tego był przecież rządcą Bewcastle'a i miał pewne obowiązki. Musiał załatwić kilka niecierpiących zwłoki spraw, zanim się gdziekolwiek wybierze. I zawiadomić człowieka, który go zwykle zastępował, gdy musiał opuścić Glandwr.
- Za parę dni ruszamy do Anglii - powiedział lokajowi, choć w istocie pragnąłby

wyjechać za godzinę. - Spakuj moje rzeczy, Armstead, tak żebyśmy byli w każdej chwili gotowi do wyjazdu.

Musiały upłynąć kolejne dwa dni, zanim zrozumiał, że nie może się udać prosto do Bath, na ratunek Anne. Wcześniej trzeba było jechać do Londynu.

Pogoda nie poprawiła się przez ten czas. Błotniste, śliskie drogi, pełne wykrotów i kałuż, podobne teraz do wiejskich bajor, znacznie opóźniły jego podróż. A gdy znalazł się już w Londynie, stwierdził, że biurokraci doprawdy załatwiają wszystko w ślimaczym tempie.

Minęły trzy tygodnie od dnia, gdy Anne wysłała list, gdy bardzo spięty wchodził po południu do szkoły panny Martin przy Daniel Street. Stary odźwierny cofnął się na jego widok i najwyraźniej nie miał zamiaru go wpuścić, ale dotarło do niego, że przybysz ubrany jest po pańsku. Stał więc w półotwartych drzwiach i z nieukrywaną podejrzliwością spytał, co może dla niego zrobić.

- Chcę się widzieć z panną Jewell. Sądzę, że na mnie czeka.

- Teraz uczy - mruknął odźwierny. - I nie wolno jej przeszkadzać.

- Poczekam zatem, aż skończy - odparł Sydnam stanowczo. - Proszę ją powiadomić, że przybył z wizytą Sydnam Butler.

Odźwierny zasznurował wargi i spojrzał na niego tak, jakby miał szczerą ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Potem bez słowa wskazał gościowi drogę do saloniku, przez cały czas skrzypiąc niemiłosiernie butami. Wprowadził tam Sydnama i zaraz tak energicznie zamknął drzwi, jakby pragnął przekręcić w nich klucz.

Sydnam zauważył, że umeblowanie jest gustowne, ale też co nieco zużyte. Słyszał, jak dziewczęta śpiewają gdzieś z dala unisono, od czasu do czasu docierał do niego wybuch śmiechu i odgłosy niezbyt wprawnej gry na pianoforte.

Nie miał pojęcia, kiedy kończą się tego dnia lekcje. Stary odźwierny mógł też

zapomnieć o jego obecności albo po prostu świadomie nie powiadomić Anne, że ma gościa.

Po kwadransie drzwi otworzyły się jednak ponownie i do saloniku weszła dama.

Twarz jej wydała mu się znajoma i uznał, że musi to być osławiona panna Martin we własnej osobie. Spotkał ją raz czy dwa, gdy była guwernantką Freyi. Potem jednak opuściła Lindsey Hall, a historia o tym, jak utarła nosa Bewcastle'owi, stała się legendą. Ojciec Sydnama natknął się na nią, gdy maszerowała samotnie polną drogą, własnoręcznie dźwigając ciężki sakwojaż. Musiał wtedy użyć całej siły perswazji, by się zgodziła na podwiezienie do najbliższej stacji dylizansów.

Była na swój sposób ładna, choć teraz wyprostowała się jak struna i zacisnęła wargi.

Złożył jej ukłon, lecz stała bez słowa i patrzyła na niego z założonymi rękami. Musiał jej oddać sprawiedliwość, nie przestraszyła się jego wyglądu. A może Anne uprzedziła ją o nim?

- Czy panna Martin? - spytał. - Jestem Sydnam Butler. Przyszedłem porozmawiać z panną Jewell.

- Będzie tu za chwilę. Posłałam do niej Keeble'a z wiadomością, że pan przyjechał.

Panna Walton skończy za nią lekcję matematyki.

- Dziękuję, madame. - Skłonił przed nią głowę.

- Jeśli powodem pańskiej opieszłości było ociąganie się z obowiązkiem - zaskoczyła go tymi słowami, choć nie zmieniła ani pozy, ani wyrazu twarzy - to pragnę panu uzmysłwić, że panna Jewell ma przyjaciół, którzy chcą i mogą zaofiarować jej wsparcie.

A kiedy kobiety są solidarne, to - jak pan wie - dysponują pewną siłą.

Wreszcie zrozumiał, dlaczego niegdyś nie ugięła się przed Bewcastle'em.

- Dziękuję, madame, ale ja również chcę i mogę, a prócz tego gorąco pragnę, zapewnić pannie Jewell komfort, bezpieczeństwo i szczęście.

Spojrzelili na siebie, oceniając się wzajemnie.

Nie potrafił jej zniechęcić. To dobrze, że Anne ma tak oddaną przyjaciółkę.

Najwyraźniej panna Martin знаła prawdę, lecz nie miała najmniejszego zamiaru pozbywać się Anne ze szkoły. Przeciwnie, w razie potrzeby chciała jej zaofiarować dom i wsparcie.

- Przypuszczam - ciągnęła dalej - że musi pan być co nieco wart mimo pańskiego kalectwa. Bewcastle jest zadowolony z pana jako rządcy.

Niemal go rozbawił ten werdykt i krytyka. Nie uśmiechnął się jednak. Jednego był pewien, teraz już nie przegra.

Drzwi otworzyły się, zanim oboje zdążyli jeszcze coś powiedzieć. Do pokoju weszła Anne.

Wyglądała blado, raczej niezdrowo i najwyraźniej schudła. Była mimo to jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał.

Przez tydzień czy dwa po jej odjeździe na próżno usiłował odtworzyć w pamięci jej twarz, a potem nadszedł czas, kiedy był zadowolony, że nie pamięta ani samej Anne, ani rysów. Przypominanie ich sobie sprawiało mu ból i głęboko go przygnębiało. A samotność, którą zakłóciło jej przybycie do Glandwr razem z Bedwynami, stawała się wtedy czymś nie do zniesienia.

Uklonił się jej bardzo oficjalnie, zupełnie jakby nie nosiła jego dziecka w łonie.

Przypomniał sobie o tym tak niespodziewanie, że aż mu się zakręciło w głowie.

- Ach, oto i panna Jewell - powiedziała Claudia Martin żywo i całkiem niepotrzebnie.

- Dziękuję ci, Claudio. - Anne, mówiąc to, nie odrywała od niego wzroku.

Claudia. Odpowiednie imię dla kierowniczkę szkoły. Stanowcze, bezkompromisowe.

Rzuciła mu jeszcze jedno srogie spojrzenie, łagodniej popatrzyła na Anne i wyszła bez słowa.

Zostali sami.

A więc tamtego dnia nie pożegnali się na zawsze.

Był aż do bólu szczęśliwy, że ją widzi, i aż do bólu świadomy powodu, który sprawił ten cud. Zaszła w ciążę.

- Pewnie myślałaś, że już nie przyjadę.

- Tak. Rzeczywiście.

Stała przy drzwiach, dość daleko od niego. Trzy tygodnie oczekiwania musiały się jej dłużyć bez końca. Zaszła w ciążę. Po raz drugi. Bez ślubu.

Nienawidził samej myśli, że w jakiś sposób zrównywało go to z Albertem Moore'em.

- Deszcze opóźniły zarówno nadejście twojego listu, jak i mój wyjazd do Londynu - wyjaśnił. - Przykro mi, że tak się stało, ale wiesz przecież, że można mi zaufać.

- Myślałam, że mogę ci ufać, ale nie przyjechałeś.

- Nigdy bym cię nie zawiódł. Nigdy bym też nie opuścił mojego dziecka.

Ta myśl nękała go przez całą drogę do Londynu, a potem do Bath. Zostanie ojcem.

Anne westchnęła i przybrała swobodniejszą pozę. Wyjaśnienie ją przekonało.

Wybaczyła mu.

- Sydnemie, żałuję, że...

- Nie! - Uniósł rękę, żeby zamilkła, i podszedł do niej. - Nie wolno ci tak mówić,

Anne. Ani mnie. Jeżeli ty tego żałujesz, to musielibyśmy razem żałować tego, co się stało tamtego popołudnia w Ty Gwyn. A przecież uznaliśmy wcześniej, że tego pragniemy. A jeśli nie chcielibyśmy tego pamiętać, to musielibyśmy żałować, że na świat przyjdzie dziecko.

Byłoby wówczas niechciane. A tymczasem powinniśmy go oczekiwać z radością. Proszę, nie mów mi, że żałujesz!

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Londyn? - odezwała się w końcu. - Byłeś w Londynie?

- Żeby uzyskać zgodę na ślub. Musimy się pobrać bez zwłoki. Chcę, by chroniło cię

moje nazwisko.

Przygryzła zębami dolną wargę.

- Jeśli będziesz się upierać, by dać na zapowiedzi, tak żeby nasze rodziny miały czas przyjechać na ślub, uszanuję twoją wolę. Ale nawet te trzy tygodnie zwłoki mnie martwią.

Tylko ślub ratuje cię przed czymś niewyobrażalnym. Mimo całej determinacji panny Martin, która chciała zaopiekować się tobą, gdybym ja tego nie zrobił.

- Nie mam rodziny - odparła.

- W takim razie pobierzemy się jutro rano. Załatwię wszystko, co trzeba.

Nagle przypomniało mu się coś, jego własna, jakże nieudolna oferta małżeństwa.

„Jeśli chcesz, Anne, to się pobierzemy”. Och, dlaczego nie umie tego jakoś zręczniejszym sformułować? Czy Anne zawrze pośpieszne małżeństwo z konieczności i nigdy nie usłyszy żadnych słów, które choć trochę przypominałyby zaloty?

- Anne... - Ujął ją za lewą rękę i przyklęknął na prawe kolano, tak by mógł potem łatwiej wstać, posługując się mocniejszą lewą nogą. - Anne, moja droga, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Uniósł jej rękę do warg, lecz zdążył jeszcze zauważyć, że łzy zakręciły jej się w oczach. Nachyliła się nad nim i poczuł, że położyła mu dłoń na głowie.

- Tak - odparła. - A także dołożę wszelkich starań, abyś znalazł we mnie współczującą towarzyszkę, która może dać ci pociechę, i będę najlepszą z matek dla twojego... dla naszego dziecka.

Podniósł się i przygarnął ją do siebie, a ona wsparła mu głowę na lewym ramieniu, z rękami przy jego piersi.

Jakże by chciał objąć ją dwojgiem ramion, przytulić, otoczyć opieką. I ujrzeć ją obydwójgiem oczu. Nauczył się zmagać z przeciwnościami. Teraz zaś miał zyskać żonę i

towarzyszkę życia. A w Ty Gwyn pojawi się wkrótce dziecko. Mógł zacząć myśleć o życiu w liczbie mnogiej - moja żona, moja córka lub syn i ja. W jakiś niewytłumaczalny sposób był przekonany, że dziecko okaże się dziewczynką. Będzie miał córkę. Albo syna.

Musi dać Anne wszystko, co może - nazwisko, przyjaźń, wierność, życzliwość. Może z czasem...

Spojrzała wprost na niego.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Wszystko.

- Tak.

- Anne, a co z twoim synem? Czy on wie? Pokręciła głową.

- Dopóki nie przyjechałeś, nie wiedziałam, co mu powiedzieć.

- Będę go utrzymywał, troszczył się o niego i o jego edukację, jakby był moim własnym dzieckiem. Dam mu moje nazwisko, jeśli będziecie tego oboje chcieli. Ale czy on się zgodzi?

- Nie wiem, co będzie czuł - przyznała. - Tęskni co prawda za ojcem, ale... - Znów przygryzła wargę.

Tęskni za normalnym, zdrowym mężczyzną, jak Hallmere, Rosthorn czy każdy z Bedwynów.

- Czy możemy go wezwać i pomówić z nim? A może wolisz zrobić to sama?

Nabrała gwałtownie powietrza w płuca, a potem powoli odetchnęła.

- Pójdę i przyprowadzę go tu. Jutro jego życie się zmieni. Musi się wszystkiego dowiedzieć możliwie jak najszybciej.

Serce zabiło mu gwałtownie, gdy wyszła z pokoju. Jutro życie ich trojga - jego, Anne i nowego dziecka - zmieni się nieodwołalnie i na zawsze. Czas pokaże, czy będzie to zmiana na lepsze, czy na gorsze.

Znów była piękna, słoneczna sobota, wyjątkowo ciepły dzień jak na październik.

Mimo że uczennice panny Martin bawiły się jak zwykle na łące, pilnowała ich Lila Walton, a nie Susanna Osbourne. Ta bowiem siedziała z Anne w jej pokoju, usiłując wpleść sznur pereł we włosy przyjaciółki, które właśnie udało się jej upiąć bardziej elegancko niż zwykle.

- No, już - powiedziała, odступując w tył, żeby lepiej zobaczyć efekt swoich starań. -

Teraz wyglądasz, jak na pannę młodą przystało!

Anne miała na sobie swoją najlepszą suknię z zielonego jedwabiu.

Claudia stała bez słowa, tuż przy drzwiach, z założonymi rękami.

- Anne - odezwała się, przechwytyjąc spojrzenie przyjaciółki w lustrze - czy jesteś całkiem pewna?

Było to, rzecz jasna, głupie pytanie. Skoro jest brzemienna, a ojciec dziecka ma nadejść za pięć minut, żeby ją poślubić, nic się już więcej nie liczy.

- Tak.

- Był taki przystojny! - westchnęła Claudia.

- Nadal jest.

- Powiedziałaś mi, że jest wysokim, pięknym brunetem. Nie wspomniałaś o jego wojennych ranach.

- One się nie liczą. Powiedziałam ci również, że zostaliśmy przyjaciółmi. I jesteśmy nimi nadal.

- Cieszę się, że go poznałam - uznała Susanna. Claudia otworzyła drzwi, do których właśnie zastukał Keeble.

- Są na dole - oznajmił takim tonem, jakby chciał powiedzieć, że w szkole pojawiły się dwa diabły. Keeble, choć sam był mężczyzną, zawsze bronił szkoły, swojej domeny, przed niegodziwym, męskim światem, rozpościerającym się poza jej granicami. Spojrzał przeciągle

na Anne.

- Chciałoby się dziś panią schrupać, panno Jewell.

- Dziękuję, panie Keeble - odparła uprzejmie. Komplement nie podniósł jej jednak na duchu.

Sydnam zjawił się wraz z pastorem, który miał dać im ślub w prywatnej bawialni

Claudii. Salonik dla gości uznano za zbyt ponury na taką uroczystość.

Był to dzień jej ślubu, a jednak szła do niego z ciężkim sercem. Lubili się z

Sydnamem, ale nie było w nich chęci zawarcia małżeństwa. Powinna mu była ofiarować wszystko, lecz nie wierzyła, by miała do zaofiarowania cokolwiek poza sympatią.

On powinien był ofiarować jej wszystko. Prawda, że dwukrotnie się jej oświadczał, ale robił to z obowiązku, a nie wiedziony uczuciem. To musiało wystarczyć. Był dobrym, wrażliwym człowiekiem i nie uciekał przed obowiązkami.

Panna młoda jest chyba radośniejsza w dniu ślubu, pomyślała z rozgoryczeniem.

- Pójdę po Davida - oznajmiła.

- Pozwól, żebym ja to zrobiła - zaproponowała Susanna.

- Nie, dziękuję ci. I tobie, Claudio, również. Za wszystko. Keeble gdzieś zniknął, choć wciąż było słyhać, że schodzi po schodach.

Uściskała pospiesznie obydwie przyjaciółki i poszła do małego pokoiku, który zajmował David. Syn siedział na brzegu łóżka, w swoim najlepszym ubranku, starannie uczesany.

- Już czas zejść na dół. David spojrzał na nią i wstał.

- Chciałbym, żeby mój tata nie umarł. Grałby ze mną w krykieta, jak kuzyn Joshua, uczyłby mnie jeździć konno, jak lord Aidan Davy'ego, wspinałby się ze mną na drzewa, jak lord Alleyne, i zabierałby mnie do łódki, jak lord Rannulf. Albo mrugałby do mnie i nazywał

mnie zabawnie po francusku, jak lord Rosthorn. Brałby mnie na ręce, jak księżę Jamesa. I trzymałby cię z dala od... od niego. I kochałby nas oboje.

David nie wypowiedział tego wszystkiego na cały głos, ale i tak zrobił to bardzo dobitnie. Anne pohamowała gniew.

- Przecież ja tylko przestanę tu uczyć - tłumaczyła mu. - A tym samym będę spędzać z tobą więcej czasu.

- Ale będziesz miała dzidziusia.

- Tak. Przybędzie ci brat albo siostra. Ktoś, kto cię będzie podziwiał jako starszego brata, tak jak Hannah Davy'ego. A ja wciąż będę cię kochać tak, jak dotąd. Nie podzielę mojej miłości na dwoje, ona się tylko dwa razy powiększy.

- A on też będzie kochał dzidziusia?

- Tak, bo stanie się jego tatą. I twoim, jeśli zechcesz. Sydnam nie jest twoim wrogiem, tylko dobrym i honorowym człowiekiem. Przecież ci się podobało, kiedy chwalił twój obrazek i radził ci malować farbami olejnymi? Czy nie możesz go polubić?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Dlaczego potrzebny ci ktoś inny niż ja?

Alexander mówił, że to potwór. I po co ci inne dziecko?

Anne przysiadła na łóżku i objęła ramionami małą, szczupłą figurkę syna. Rozumiała jego ból i zagubienie, strach przed utratą wszystkiego, co nadawało kształt jego krótkiemu życiu. Nigdy nie musiał z nikim dzielić jej miłości i zawsze był dobrym, serdecznym dzieckiem. Przykro jej było słuchać jego słów i wiedzieć, że to ona jest ich przyczyną.

- Wszystko się zmienia. Kiedy podrośniesz, sam się o tym przekonasz. Życie się zmienia, jak wtedy, gdy przyjechaliśmy tutaj z Kornwalii. Ale jedna rzecz zostanie bez zmiany. Zawsze będę cię kochać całym sercem.

- Zejdźmy lepiej na dół, bo się spóźnimy - powiedział.

- Zgoda. Wyglądasz dziś wyjątkowo ładnie.

- Mamo - odezwał się, gdy byli już na schodach. - Będę grzeczny. Nie zrobię żadnej sceny. I postaram się go polubić. W końcu był dla mnie miły. No i chwalił mój obrazek. Ale nie zmuszaj mnie, żebym go nazywał tatą. Nie chcę. Miałem własnego.

- W takim razie zwracaj się do niego „panie Butler”. Przecież to jej przyszłe nazwisko!

Niemal się pod nią ugięły kolana. Za chwilę stanie się panią Butler.

Wbrew sobie samej poczuła nagłe podniecenie. Keeble otworzył drzwi do bawialni

Claudii z tak ponurą miną, jakby to miał być ich pogrzeb, a nie zaślubiny.

Sydnam czuł się bardzo osamotniony przez cały ranek, mimo że przywiózł ze sobą z Walii lokaja. Uczucie to nie minęło nawet wtedy, gdy wiózł w karecie pastora. Rzadko tęsknił za rodziną, mimo że do wszystkich jej członków był przywiązany i regularnie z nimi korespondował. Tego dnia dotkliwie mu ich brakowało.

Przypomniał sobie ślub Kita i Lauren pośród mrowia przyjaciół i krewnych; wypełniony po brzegi kościół, odjazd nowożeńców w przystrojonym powozie, a później śniadanie weselne, toasty, śmiechy, radość.

Prawdę mówiąc - przyznawał w duchu z niechęcią - nie czuł się dobrze w szkole Claudii, lecz był to w końcu dzień jego ślubu. Nie należało się przejmować drobiazgami. Zaprowadzono ich na piętro, a nie do ponurawego saloniku dla gości, jak się spodziewał. Stary odźwierny w skrzypiących butach otworzył drzwi pomieszczenia, które okazało się prywatną bawialnią, gustownie, a nawet elegancko umeblowaną. W środku nie było nikogo. Na łące za oknem dostrzegł grupę dziewcząt, bawiących się wesoło.

Pastor rozpoczął pompatyczny monolog o niebezpieczeństwach, na jakie kształcenie młodych dam naraża społeczność, a Sydnam nerwowo oczekiwał na przybycie panny młodej. Nie musieli długo czekać. Drzwi się otworzyły i Anne weszła do pokoju z synem, Claudią Martin oraz jakąś inną młodą kobietą, którą była, jak przypuszczał, panna Osbourne. Nie zważał jednak na nikogo poza Anne.

Włożyła suknię z zielonego jedwabiu, którą niejedną raz widział już wcześniej. Włosy miała pięknie ułożone i przetykane perłami, jakby wybierała się na bal, a nie na ślub. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, z całej siły zapragnął, żeby nie był nigdy kaleką, żeby mógł się do niej zalecać jak należało, żeby ten ślub był radosną ceremonią, świętowaną razem z krewnymi i przyjaciółmi. Ale i tak był to najprawdziwszy ślub i nic innego się w tej

chwili nie liczyło.

Kiedy wszyscy otoczyli ich kołem, wydało mu się, że nigdy nie spotkał kobiety piękniejszej niż Anne Jewell. Ani bardziej pociągającej. Ani sympatyczniejszej. I właśnie ona była jego panną młodą.

- Moi drodzy... - zaczął pastor, mówiąc głosem tak donośnym, jakby zwracał się do całych setek wiernych.

I nagle dla Sydnama przestało mieć znaczenie, że nie jest to taki ślub, jaki sobie wymarzył. A kiedy Anne spojrzała na niego, przyrzekając mu miłość, cześć i posłuszeństwo do końca życia, zdawało mu się, że w jej oczach widzi tęsknotę, czułość i... nadzieję.

Ani katedra, ani tysiące gości nie uczyniłyby tej ceremonii czymś bardziej realnym.

Krótki obrzęd zaślubin skończył się równie szybko, jak zaczął, a pastor oznajmił, że stali się mężem i żoną.

Anne została jego żoną.

Była teraz bezpieczna. Ich dziecko także. Uniósł jej lewą rękę do ust. Poczł gładką, złotą obrączkę, którą kupił poprzedniego wieczoru.

Śluby, jak się przekonał, nawet bardzo skromne, nie dają nowożeńcom zbyt wiele czasu na przebywanie we własnym towarzystwie. Anne nachyliła się, żeby objąć syna, a pastor uścisnął Sydnamowi dłoń, nim zrobiła to samo panna Martin. Uścisk miała mocny i patrzyła mu prosto w twarz.

- Mam nadzieję, że będzie pan nad nią czuwał. No i niech pan czuwa także nad Davidem.

Potem objęła serdecznie Anne, a druga młoda kobieta wyciągnęła ku niemu lewą rękę.

- Jestem Susanna Osbourne. Anne mówiła szczerą prawdę, kiedy nam pana opisywała jako wysokiego, przystojnego bruneta. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

W jej zielonych oczach błysnął psotny ogień. Była drobną, bardzo ładną osobką o kasztanowatych włosach.

- Naprawdę tak mówiła? - Zaśmiał się i poczuł absurdalną satysfakcję. - Co za kłamczucha!

Wreszcie znalazł się twarzą w twarz z Davidem Jewellem, który patrzył na niego poważnie. Sydnam miał nadzieję, że pogodzi się z małżeństwem matki, lecz poprzedniego dnia nie okazywał wobec niego entuzjazmu, wręcz przeciwnie. Gdy go sprowadzono na dół do saloniku dla gości, Sydnamowi zdawało się, że chłopiec wręcz się przed tym wszystkim wzdraga, a po wzmiance o nowym dziecku, które wkrótce zjawi się w ich rodzinie, wyglądał na zażenowanego i zakłopotanego.

- Davidzie - powiedział - zrobię, co tylko będę mógł, żeby troszczyć się o twoją matkę i twoje szczęście. Jesteś teraz moim pasierbem. Możesz mnie nazywać tatą albo ojcem. - Wyciągnął do niego rękę. - Ale tylko wtedy, jeśli naprawdę tego chcesz.

David podał mu niepewnie dłoń.

- Dziękuję, panie Butler - odparł bezbarwnym głosem. Tylko w bajkach nowożeńcy się pobierają, a potem żyją długo i szczęśliwie.

- Chciałam wraz z Susanną wydać dla was małe przyjęcie - odezwała się panna

Martin. - Zaprosiłam kilka osób na wino i ciasto. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciw temu.

Upłynęła godzina, nim Sydnam mógł wreszcie opuścić szkołę ze świeżo poślubioną żoną i jej synem. Przedstawiono mu innych pedagogów, w tym pana Huckerby, nauczyciela tańca, pana Uptona, nauczyciela rysunków, pannę Pierre, która uczyła francuskiego i muzyki, a wreszcie pannę Walton, młodą asystentkę. Przyjął od nich życzenia i gratulacje. Dziękował za toasty, wznoszone za zdrowie jego oraz Anne i czuł się zadziwiająco samotny jak na pana

młodego. W tym małym gronie wszyscy byli mu obcy poza żoną i pasierbem.

Wreszcie stanęli na bruku przed szkołą. Anne się przebrała, panny Martin i Osbourne również. Obydwie pożegnały się z nim, a potem uściskały Anne i Davida. Panna Osbourne uroniła nawet kilka łez mimo pogodnego usposobienia. Panna Martin popatrzyła tylko surowo na Anne, a on wreszcie zrozumiał, że to oznaka gorącego przywiązania.

Pomógł żonie wsiąść do powozu i usiadł naprzeciwko, bo miejsce tuż przy niej zajął David. Kareta ruszyła i Anne po raz ostatni pomachała ręką przyjaciółkom.

- Kochają cię szczerze - powiedział.

- Tak. Będzie mi ich brakowało. Zrozumiał, że pozbawił ją nie tylko szkoły i pozycji zawodowej.

To był również jej dom i rodzina. Dlaczego właściwie kobieta po zamążpójściu musi poniechać wszystkiego i towarzyszyć mężowi tam, gdzie on chce ją zabrać? Nigdy przedtem nie przyszło mu na myśl, że to krzywdzące. Jakież miał prawo czuć się samotnym i z niechęcią przyjmować fakt, że prócz jej syna ślubowi asystowały dwie przyjaciółki Anne, a w małym przyjęciu brało udział kilkoro dobrych znajomych? Teraz musiała zostawić wszystkich oprócz Davida.

- Gdzie jedziemy? - spytała, gdy powóz skręcił z Sydney Place w Great Pulteney Street.

Wydawała się zaskoczona. Zrozumiał, że spodziewała się od razu podróży do Walii.

Nie rozmawiał z nią wczoraj o niczym poza ślubem. Nie poradził się co do swoich planów.

Od czasu krótkiego pobytu na Półwyspie Pirenejskim zawsze decydował sam o sobie. Rzecz jasna miał wszelkie prawo postępować tak nadal, w końcu był mężczyzną. Postanowił jednak zmienić w miarę możliwości swoje nawyki.

- Wynająłem pokoje w hotelu Royal York. Myślę, że zatrzymamy się tam na jedną

noc.

Zauważył, że lekko się zarumieniła. Miała to być ich noc poślubna. Jakby jeszcze do niej nie dotarło, co stało się dziś rano.

- Po południu chciałbym zabrać na zakupy... - spojrzał na Davida - was obydwójce.

Spojrzenie chłopca świadczyło o zainteresowaniu, choć David nie rzekł ani słowa i nadal siedział tuż przy Anne.

- Na Milsom Street znalazłem sklep, w którym sprzedają farby olejne. Myślę, że trochę ich kupimy, skoro chciałbyś nimi malować. A jeśli już to zrobimy, musimy także kupić inne rzeczy, których mógłbyś potrzebować w Ty Gwyn, żeby się należycie posługiwać farbami, na przykład płótno, paletę i pędzle.

Davidowi zaokrągliły się oczy z przejęcia. Stał się w tej chwili bardzo podobny do matki.

- Ale ja nie wiem, jak się nimi maluje.

- Po przyjeździe do Ty Gwyn znajdę kogoś, kto cię tego nauczy.

Pani Llwyd, o czym wiedział, lubiła malować, chociaż nie był pewien, czy akurat farbami olejnymi. Może dałaby Davidowi kilka lekcji. A jeśli nie, poszuka innego nauczyciela.

- Farby to bardzo szczodry prezent - uznała Anne - ale czy nie mógłbyś sam uczyć Davida?

- Nie - odparł tonem ostrzejszym, niż zamierzał. Anne wtuliła się w siedzenie i zacisnęła usta.

- Co to jest Ty Gwyn? - spytał David.

- Nasz nowy dom. - Duży, choć nie tak bardzo, jak pałac w Glandwr. W pobliżu mieszkają różni sąsiedzi, niektórzy z nich mają dzieci w twoim wieku, które chętnie cię

poznają. Myślę, że łatwo byś się zaprzyjaźnił z braćmi Llwyd. Chodzą do wiejskiej szkoły.

Ty również możesz się tam uczyć, jeśli chcesz i jeśli zechce tego twoja mama. Mam nadzieję, że spodoba ci się nowe życie.

David przytulił policzek do ramienia Anne. Najwyraźniej zastanawiał się nad tą perspektywą i nie uważał jej wcale za przykrą. Koła powozu zadudniły po moście Pulteney.

- A więc Ty Gwyn należy już do ciebie? - spytała Anne. - Książę ci go sprzedał?

- Tak, ale jeszcze w nim nie mieszkam. Wprowadzimy się do niego razem.

Po jej spojrzeniu poznał, że pamięta, co się tam zdarzyło.

- Nie zabawimy w Bath tak długo, żeby zamówić suknie u krawcowej - ciągnął - lecz chyba znajdziemy odpowiednie, gotowe stroje w sklepach z konfekcją.

- Stroje? - znów się zarumieniła. - Nie potrzeba mi ich.

Cały ten dzień i nowa sytuacja były dla niej czymś równie nierzeczywistym, jak dla niego. Zrozumiał to, gdy spostrzegł w jej oczach, iż uświadomiła sobie, że teraz Sydnam ma prawo - a nawet obowiązek ubierać ją, jak przystało jego żonie. Nie chciał jednak przyczyniać jej zmartwień ani zakłopotania. Było to jak najdalsze od jego intencji.

- Nowa garderoba będzie prezentem ślubnym dla ciebie. Cieszę się z góry na te zakupy.

- Prezent ślubny - powtórzyła. Powóz wciąż zmierzał ku hotelowi. - Ależ ja nie mam dla ciebie żadnego.

- To całkiem zbędne.

- Nie - oznajmiła stanowczo. - Ja również kupię ci coś dziś po południu. Wszyscy sobie coś podarujemy.

Spojrzeli na siebie. Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

Anne istotnie potrzebowała nowych ubrań. Już latem zorientował się, że ma ich

niewiele, a ślub wzięła w starej sukni wieczorowej. Zbliżała się zima, a ona niedługo będzie w mocno zaawansowanej ciąży. Tak, potrzebowała strojów, a on miał zamiar je kupić.

Po zakupach zjedzą obiad w hotelu, wszyscy troje, nim David pójdzie spać. A potem nastąpi noc poślubna. Spodziewał się, że sprawi się tym razem lepiej niż w Ty Gwyn, a ona przywyknie do niego i zdoła czerpać z pożycia małżeńskiego satysfakcję. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Przypomniał sobie, jak ją po raz pierwszy zobaczył na urwisku - piękną boginię wynurzającą się z mroku. A teraz, po trzech miesiącach, stała się Anne Butler.

David poszedł spać tuż po wieczornym posiłku. Był to dla niego dzień pełen wrażeń, ale też przyjemnego podniecenia. Po powrocie z zakupów rozłożył wszystkie nowe przybory malarskie na jednym z wąskich łóżek w swoim pokoju, a potem dotykał ich co chwila, z szacunkiem, wręcz nabożnie. Nie mógł się doczekać przyjazdu do Ty Gwyn i spotkania z obiecany nauczycielem malarstwa.

Anne była równie przejęta. Ona też rozłożyła swoje prezenty na łóżku, tak żeby mogła podziwiać wszystkie stroje na dzień, trzy suknie wieczorowe - jedną z nich miała na sobie - pantofle, kapelusze, torebki oraz inne części garderoby i akcesoria, których - jak sądził Sydnam - potrzebowała. Znowu pomyślała, że musi być niezwykle zamożny. Uparł się nawet, żeby zabrać ją do jubilera, gdzie kupił jej diamentowe kolczyki i złoty łańcuszek z wisiorkiem. Także i te ozdoby miała teraz na sobie.

Anne kupiła mu w tym samym sklepie łańcuszek do zegarka, wydając prawie wszystkie swoje pieniądze. Sydnam stał w drzwiach sypialni i obracał go w palcach, patrząc, jak ona i David podziwiają swoje o wiele droższe prezenty.

Anne przez cały wieczór świadoma była istnienia drugiej sypialni - gdzie stało obszerne łóżko z baldachimem - za bawialnią i jadalnią. Miała tam spędzić noc poślubną z

mężem.

Chociaż David towarzyszył im nieustannie, coś w sposobie bycia Sydnama przez całe popołudnie i podczas obiadu upewniało ją, że ślub był wprawdzie wymuszony okolicznościami, ale on jej pragnął i nie uważa wcale tego związku za małżeństwo z rozsądku.

Ona zresztą też nie życzyła sobie takiego małżeństwa. Chciała być normalną kobietą. Pragnęła normalnego związku. Przez cały dzień bała się nocy poślubnej, ale i oczekiwała jej z nadzieją. Czuła napięcie, gdy jak zawsze opowiadała Davidowi bajkę na dobranoc. Zwykle podejmowała wątek w miejscu, gdzie go poprzednio urwała, snuła go przez jakieś dziesięć minut, wymyślając treść, a potem zawieszała narrację w najciekawszym miejscu. Zazwyczaj śmiała się z sennych protestów Davida i pochylała się, żeby go ucałować.

- Jakże doczekamy jutrzejszej nocy, nim się dowiemy, co stało się z biednym Jimem?

- spytał Sydnam. Wiedziała, że stoi w drzwiach, choć była odwrócona do niego plecami.

- Nie masz wyboru - odparła. - Aż do jutrzejszej nocy ja sama nie będę wiedzieć, co go spotka.

Odwróciła się, chcąc odgarnąć Davidowi włosy z czoła. Nim zamknął oczy, dostrzegła w nich niechęć.

Och Davidzie, powiedziała w duchu, daj mu szansę. Proszę cię, daj mu szansę.

- Dobranoc, Davidzie - powiedział Sydnam, nie wchodząc do sypialni.

- Dobranoc panu - odparł David, a po krótkiej pauzie dodał:

- Dziękuję za farby.

Anne poszła za Sydnamem do bawialni chwilę później, zamykając za sobą drzwi do sypialni.

- David chce się znaleźć w Ty Gwyn jak najprędzej wyjaśniła, - żeby nimi malować.

Nie mogłeś wymyślić lepszego prezentu.

- Chyba tam jednak nie pojedziemy od razu. Jesteśmy dosyć blisko Alvesley. Chcę, żeby rodzice poznali moją żonę. Myślę, że udamy się tam za kilka dni.

Anne, cała zdrętwiała, siadła przy uprzątniętym już stole. Sydnam zajął miejsce naprzeciw niej. Sięgnął po kieliszek. Dziwne, że przez cały ten czas, gdy czekała na jego przyjazd, nie dotarło do niej, że biorąc z nim ślub, wchodzi też w koligacje z rodziną hrabiego Redfielda. Co ci ludzie sobie o niej pomyślą? Nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić.

- Czy oni o mnie wiedzą?

- Nie. Po raz pierwszy zrozumiała, w jak niezręcznej sytuacji znalazł się z jej powodu.

Nie wolno jej było myśleć w ten sposób! Za to, co się stało, równie dobrze można było winić jego, jak i ją. Jeśli w ogóle należało tu mówić o winie.

- W takim razie musimy jechać do Alvesley - uznała. Dojrzała błysk w jego oku, a potem znany jej już, nieco krzywy uśmiech.

- Twoje słowa brzmią jak zgoda na własną egzekucję. Polubisz ich jednak. A oni pokochają ciebie.

Wątpiła w to, choć nadal pocieszała się w myśli, że oboje z Sydnamem są jednakowo odpowiedzialni za poczęcie dziecka, a zatem i za niezaplanowane małżeństwo. Nie wątpiła jednak, że jego rodzina będzie się na to zapatrywać trochę inaczej.

- Czy powiemy im... wszystko? Odstawił kieliszek, lecz nie przestał bawić się jego nóżką.

- Chcę, żeby wiedzieli - ponownie się uśmiechnął - że zostanę ojcem. Ale ze względu na ciebie nic im teraz nie powiemy. Oznajmię im o tym listownie, kiedy już będziemy w Ty Gwyn, a oni mogą sobie potem wyciągać dowolne wnioski, gdy dziecko się już urodzi. Spojrzał na nią. Anne z trudem oparła się chęci położenia ręki na brzuchu. Wydawało

się jej czymś nierealnym, że wspólnie dali początek nowemu życiu. Poczula też nieoczekiwany przyływ pożądania.

- Kit i Lauren mają troje dzieci. Wszystkie są młodsze od Davida, ale mimo to powinien być rad, że pozna kuzynów.

- On bardzo lubi się bawić z małymi dziećmi. To chyba naturalna reakcja. Ostatnie kilka lat spędził z dziewczętami starszymi od siebie. Młodsze dzieci sprawiają, że czuje się kimś ważnym.

- W takim razie rano wyjeżdżamy do Alvesley. Chwila ciszy, która zapadła po jego słowach, mogłaby przynieść odprężenie, gdyby nie było w niej tyle zmysłowego napięcia. Stali się mężem i żoną. Mogli przez całą resztę życia dzielić łóżce małżeńskie, kiedy będą mieli na to ochotę.

- Anne - zaczął. - Po wizycie w Alvesley powinniśmy pojechać do hrabstwa Gloucester, żebyśmy mógł poznać twoją rodzinę.

- Nie!

- Przecież to bardzo odpowiednia okazja. Wszystkie ich obiekcje złagodzi świadomość, że wyszłaś za męża. Upewnimy ich również, że zajmę się Davidem jak własnym synem. Nadszedł czas, żeby...

- Nie! Nie nadszedł! - krzyknęła, zrywając się na nogi, a potem stanęła przed kominkiem, patrząc na płonące węgle. - I nigdy nie nadejdzie! Ja nie mam rodziny.

- Ależ masz - ciągnął spokojnie, lecz z uporem. - Masz męża i syna. Masz powinowatych i ich dzieci w Alvesley. Masz także rodziców i rodzeństwo w hrabstwie Gloucester, którzy są dziadkami, ciotkami i wujami Davida. A może też i jakichś kuzynów. Nigdy mi tego bliżej nie wyjaśniłaś.

- Zrobiłam to świadomie, bo i ja nie wiem tego dokładnie. Moja rodzina nie pocieszała

nie ani nie wspierała, kiedy jej potrzebowałam, nauczyłam się więc obchodzić bez niej, a potem uznałam, że wcale jej nie potrzebuję i nie będę potrzebować nigdy więcej.

- Zawsze potrzebujemy rodziny. Tylko nieliczni nie mają nikogo bliskiego. Ci nieszczęśnicy zasługują na współczucie. Inni znów odwracają się od rodziny i być może jeszcze bardziej zasługują na litość. Lecz oni mają przynajmniej szansę powrotu.

- To nie ja się od nich odwróciłam - odparła, zła, że poruszał ten temat, skoro wyjawiała mu już kiedyś swoje uczucia. - I nie ja do niej powrócę.

- Nie zgadzam się z tobą. Wiem, że byłaś nieszczęśliwa, ale nie wierzę, żebyś kiedykolwiek zaznała szczęścia, póki nie spróbujesz pogodzić się z rodziną i nie przedstawisz im męża oraz syna.

- I, jak przypuszczam, mojego kolejnego dziecka, całkiem już prawowitego, które w dodatku będzie ni mniej, ni więcej tylko wnukiem lub wnuczką hrabiego Redfielda. Problem w tym, że istnieje David Jewell. Nieślubny syn. Bękart!

Nigdy jeszcze nie widziała, żeby Sydnam się rozgniewał. Lewa strona jego twarzy pobladła, a rysy się zaostrzyły i stały jeszcze przystojniejsze niż zwykle. Z kolei prawa, jakby z powodu kontrastu, jeszcze bardziej znieruchomiała, a czarna opaska na oku zaczęła wyglądać wręcz ponuro.

- To wstrętne słowo, Anne, i nie powinnaś go była użyć. David jest moim pasierbem. Zamierzam go adoptować. Dam mu swoje nazwisko, jeśli zechce je nosić.

- David jest moim synem - odparła ostro, a obydwie dłonie zacisnęły się jej w pięści. - Nie twoim ani też niczym innym. Nazywa się David Jewell i nie potrzeba mu nikogo prócz mnie!

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, póki Sydnam nie odwrócił go od niej.

Pchnął pusty kieliszek na środek stołu.

- Nie chciałem być mężem, który wymaga od żony posłuszeństwa i go oczekuje, gdyż uważa, że mu się ono należy. Myślałem, że jeśli ci powiem o moim zamiarze zabrania cię do Alvesley i przedstawienia rodzinie, to dasz mi również szansę poznania twojej, lecz tylko cię uraziłem i rozgniewałem. Przepraszam.

Gniew ją nagle opuścił. Nieczęsto w niego wpadała. Prócz tego lubiła Sydnama i miała nadzieję, że będzie go lubić nadal. A tymczasem już pierwszego dnia po ślubie się pokłócili. O mało nie nazwał jej tchórzem. Próbował jej wmówić, że się unieszczęśliwiła, zrywając stosunki z ludźmi, którzy przedtem odwrócili się od niej i od jej syna. Jedyłą winą Davida było to, że urodził się, gdyż ją zgwałcono. Mąż zgromił ją za to, że użyła słowa, którym - dobrze o tym wiedziała - określali go niektórzy ludzie.

Chociaż nie chciał być despotą, to wspomniął o adoptowaniu Davida i nadaniu mu swego nazwiska. Zupełnie jakby dziesięć lat jej starań i nazwisko Jewell były niczym. Jakby trzeba ich było podnosić na wyższy poziom i chronić przed czymś!

Wiedziała też, że nie zachowała się względem niego lojalnie, i nie pomagało jej to odzyskać spokoju.

- Ja również muszę cię przeprosić. Nie zamierzałam kłócić się z tobą, zwłaszcza dzisiejszego dnia. Innego także nie. Chyba jestem zmęczona. Ostatnie kilka tygodni było dla mnie ciężką próbą.

- Może wolałabyś dziś spać w pokoju Davida? Sugestia była tak nieoczekiwana, że Anne utkwiała w mężu wzrok, usiłując nie okazywać konsternacji. Nie chciała tego. Pragnęła powrotu do normalności. Nie wierzyła zresztą, żeby i on naprawdę pragnął ją oddalić. W końcu nie tylko ona czuła przez cały wieczór podniecenie. A jednak coś nieodwracalnie przepadło i nagle musiała zgodzić się na propozycję, której wolałaby nie przyjąć.

- Owszem. Dziękuję ci. To chyba dobry pomysł. Jeśli David obudzi się nagle w

obcym sobie miejscu, to poczuje się pewniej, jeśli ja tam będę.

Och, co za bzdury, powiedziała sobie w duchu.

- Oczywiście. - Sydnam wstał od stołu i bardzo oficjalnie uniósł jej dłoń do warg.

Lewą dłoń. Widziała, jak w świetle świecy połyskuje na niej obrączka. A ona pragnęła, żeby uniósł głowę i pocałował ją w usta, kończąc tę niemądrą komedię. Zęby ich noc wyglądała tak, jak się tego spodziewali.

Uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Dobranoc, Anne, śpij dobrze. Czy możemy wyruszyć z samego rana?

- Tak. - Zabrała rękę i odwzajemniła jego uśmiech. - Dobranoc, Sydnamie.

W kilka minut później leżała na wąskim łóżku, wpatrując się w baldachim nad sobą.

Łzy płynęły jej po policzkach i kapały na poduszkę, ale na nie nie zważała. Zdawała sobie sprawę z absurdalności tej sytuacji i zachowania ich obojga, lecz w niczym jej to nie pomagało.

W noc poślubną spoczywała z dala od sypialni męża. A wszystko z powodu kłótni, mimo że musieli w końcu przeprosić się wzajemnie. Rozpaczliwie pragnęła, żeby ta noc stała się początkiem lepszej, szczęśliwszej przyszłości.

Teraz bała się, że nic z tego nie wyjdzie.

Chciała wstać i mimo wszystko pójść do niego, ale przecież właśnie z jej inicjatywy znaleźli się teraz w tej sytuacji. Nie miała odwagi zrobić tak po raz wtóry. Dwa razy nie może zdarzyć się to samo.

Powóz skręcił i wjechał pomiędzy skrzydła wielkiej bramy z kutego żelaza, a potem potoczył się po obszernym, wysypanym żwirem podjeździe obsadzonym z obydwu stron drzewami. Choć wszystko wyglądało tu inaczej, Anne przypomniała sobie swój przyjazd do Glandwr, gdzie wszystko się zaczęło.

Czuła się teraz bardzo podobnie.

Siedziała wraz z Davidem przodem do kierunku jazdy, Sydnam zaś plecami do koni.

Trudno byłoby powiedzieć, czy jest podniecony na myśl, że ujrzy bliskich, czy też zastanawia się nad charakterem swojego powrotu. Trwał w milczeniu, wyglądając przez okienko.

Nie rozmawiali zbyt wiele, odkąd wyjechali z Bath, a jeśli już się odzywali, to poruszali tematy błahe i bez znaczenia. Anne zastanawiała się, jak będzie wyglądać jej najbliższa noc, lecz gdy dostrzegła z dala wodę i trawniki, zrozumiała, że nim noc zapadnie, czeka ją zapewne kilka niełatwych chwil.

- Stąd możesz już zobaczyć park wewnętrzny - odezwał się Sydnam. - Ten widok zawsze zapiera mi dech, mimo że dobrze go znam.

Tuż po jego słowach powóz wynurzył się spoza drzew i jego wnętrze zalało światło.

Anne mogła się teraz przekonać, że ujrzana przez nią woda była rzeką. Rozległy trawnik, usiany starymi drzewami, sięgał aż pod sam dwór, wciąż jeszcze odległy. Po lewej widniało obsadzone drzewami jezioro.

Widok Alvesley i parku wewnętrznego uświadomił jej, co właściwie zrobiła. Wyszła za syna właściciela tego wielkiego, majestatycznego domostwa. Stała się synową hrabiego.

Żołądek podjechał jej do gardła, całkiem jak przy porannych nudnościach, których doświadczyła kilka godzin wcześniej.

Bała się tym bardziej, im bliżej byli domu. David najwyraźniej czuł się podobnie, bo

przywarł do niej, wtulony w jej ramiona. Uśmiechnęła się do syna, chcąc go uspokoić, gdy powóz z łoskotem wjechał na zadaszony, palladiański most, przerzucony ponad rzeką, a potem sunął poprzez park.

Gdy podjechali bliżej, mogła zobaczyć stojących na trawniku tuż przy dworze ludzi - dwie damy, jedną młodszą, drugą starszą, a także dwoje dzieci, czteroletniego mniej więcej chłopczyka i trochę młodszą od niego dziewczynkę. Obydwie damy spoglądały ku powozowi. Jedna z nich ocieniała oczy ręką.

- Moja matka - wyjaśnił Sydnam, zbliżając twarz do okienka - i Lauren. No i Andrew.

Mała dziewczynka to na pewno Sophie. Kiedy ją ostatnim razem widziałem, leżała jeszcze w kołysce. W pokoju dzieciennym powinien być jeszcze jeden maluch, którego nawet nie zdążyłem poznać.

Anne widziała jego radość z powodu powrotu do domu i wzruszyło ją to. Tym dotkliwiej odczuła własne osamotnienie.

Powóz okrążył taras z marmurowymi stopniami i wspartym na kolumnach portykiem, który osłaniał podwójne drzwi frontowe. Dwóch mężczyzn w strojach do konnej jazdy pospiesznie wyszło spoza stajen.

- Mój ojciec i Kit. Najwyraźniej przyjechaliśmy w odpowiednim momencie. Wszyscy tu są - z wyjątkiem niemowlęcia.

Anne wsparła się mocno na siedzeniu, jakby chciała w ten sposób uniknąć, czekającej ją ciężkiej próby. Sydnam przeniósł na nią wzrok.

- Kapelusz i spencerek mają dokładnie taki sam kolor, jak twoje oczy. Wyglądasz przepięknie, Anne.

Ubrana była w jeden z nowych strojów. Suknia miała odcień o ton jaśniejszy od spencerka. Przypomniała sobie, ile przyjemności sprawiły jej zakupy w Bath i uśmiechnęła

się do męża.

Powóz zahamował. Sydnam wysiadł z niego natychmiast po opuszczeniu schodków, lecz nie zdążył jej nawet podać ręki. Brat musiał go wcześniej dojrzeć przez okienko, bo pędził przez taras, żeby go uściskać.

- Syd, stary chłopie, a to dopiero! - zawołał ze śmiechem. Był wyższy od Sydnama i miał jaśniejsze włosy. Uznała, że nie dorównuje mu urodą mimo zgrabnej sylwetki. Miał za to miłą, dobroduszną twarz.

Nim Sydnam zdążył coś powiedzieć, podbiegła do niego matka i ona z kolei porwała go w objęcia.

- Sydnam! - wykrzyknęła radośnie. - Sydnam, och, Sydnam!

- Mamo... - powiedział tylko i poklepał ją po plecach swoją jedyną ręką.

David kulił się z tyłu za Anne.

Ojciec, choć również rozpromieniony, stanął nieco dalej, a bratowa, z kędzierzawą dziewczynką uczeponą poły jej sukni, podeszła bliżej, trzymając za rękę chłopczyka. Rondo jej słomkowego kapelusza falowało na wietrze. Była piękną brunetką o fiołkowych oczach.

- Co za wspaniała niespodzianka! Tak, to istotnie żyta ze sobą, szczęśliwa rodzina, pomyślała Anne.

Nikt nie zauważył jej ani Davida wewnątrz powozu. Sydnam szybko się oswobodził z matczynego uścisku.

- Chciałbym, abyście poznali dwie osoby - oznajmił, pomagając Anne wysiąść, po czym objął ją serdecznie.

wszyscy spojrzeli na nią z zaskoczeniem i zaciekawieniem.

- Pozwólcie sobie przedstawić moją żonę Anne i Davida Jewella, jej syna. Anne, Davidzie, to hrabia i hrabina Redfieldowie, mój ojciec i matka, oraz Kit i Lauren, wicehrabia i

lady Ravensberg, mój brat i bratowa, a także Andrew i Sophie Butler, ich dzieci.

Anne dygnęła, David, który właśnie schodził po schodkach, skinął tylko głową, a potem znów do niej przywarł całym ciałem.

- Twoja żona?

- A niechże cię lichy!

- Co, tyś się ożenił? Naprawdę?

- Och, cudownie! Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, lecz choć niewątpliwie byli zdumieni, a może nawet i zaszokowani, nie wyglądali na przerażonych. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Chłopiec, wpatrzony w Sydnama, szarpnął ojca za nogawkę. Wicehrabia wziął go na rękę. Mała dziewczynka skryła buzię na ramieniu wicehrabiny.

Hrabina - imponująca i piękna zarazem - powitała swoją nową synową uśmiechem.

- Anne, droga moja - zaczęła, ujmując jej rękę i ściskając je mocno - czyżby mój syn się ożenił, nic nam o tym nie mówiąc? Jakże mógł tak zaniedbać swoje powinności? Przecież wyprawilibyśmy wam wielkie wesele. Och, Sydnamie, z twojej strony to doprawdy nieładnie!

- Syd, ty stary łobuzie! - krzyknął wicehrabia. - Anne, mogę ci mówić po imieniu, prawda? Tak się cieszę, że mogę cię poznać. - Uśmiech sprawił, że w kącikach oczu zarysowały mu się sympatyczne zmarszczki. Uścisnął jej rękę.

- Ja również jestem zachwycona.

- Pamiętasz stryjka Syda, Andrew? - spytał synka.

- Chirurg wojskowy ciachnął mu ramię wielkim nożem. - Malec zerknął na Syda i wykonał szybki gest rączką. - O tak, trach! Tata mi mówił.

- Mnie także jest bardzo miło - powiedziała ciepło wicehrabina, muskając policzek

Anne swoim, wciąż jeszcze z Sophie na rękę. - Ale skąd możemy wiedzieć, mamó, czy Syd i

Anne sami nie wyprawili już wielkiej uroczystości? Albo równie pięknego małego i skromnego wesela? W każdym razie szczerze żałuję, że mnie na nim nie było!

Potem zaś skupiła całą uwagę na Davidzie i uściskała również.

- Jakże miło zyskać nowego bratanka, starszego kuzyna Andrew, Sophie i Geoffreya.

Geoff jako jedyny nie uczestniczy w radosnym powitaniu, bo właśnie śpi sobie smacznie w pokoju dziecinnym!

- Witaj w naszej rodzinie, Anne. - Hrabia wyciągnął ku niej szeroką dłoń. - Sydnam jest nam jednak winien wyjaśnienie. Dlaczego nie wiedzieliśmy o tym aż do tej pory?

- Wzięliśmy wczoraj w Bath cichy ślub za specjalnym zezwoleniem, milordzie - tłumaczyła Anne.

- Za specjalnym zezwoleniem? - hrabia spojrzął podejrzliwie na Sydnama. - Skąd ten pośpiech, synu? I dlaczego akurat w Bath?

- Uczyłam tam w szkole dla dziewcząt jeszcze dwa dni temu - dodała Anne z niejaką ulgą. Najwyraźniej zanosilo się na to, że rodzina mimo wszystko gotowa jest przyjąć ją życzliwie. - Sydnam nie chciał odwlekać ślubu.

- Nie chciałem - przyznał wesoło - bo...

- Bo moja mama będzie mieć dzidziusia! - oznajmił David wysokim, przenikliwym chłopięcym głosem, wyraźnie artykułując każde słowo, co sprawiło, że skupił na sobie powszechną uwagę.

Zapadło krótkie milczenie. Anne zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. Spozrzęła niespokojne spojrzenie Davida. Spróbowała się do niego uśmiechnąć.

- Za jakieś sześć miesięcy - oświadczył Sydnam. - Jesteśmy niesłychanie szczęśliwi z tego powodu. Pomyślcie tylko, zostanę ojcem!

Atmosfera zmieniła się w jednej chwili. Powiało chłodem.

- A kiedy zeszedł z tego świata pan Jewell? - spytała nagle hrabina sztywno i oficjalnie.

Wszelkie nadzieje co do stopniowego ujawniania prawdy rodzinie Sydnama przysły.

- Nie byłam zamężna aż do wczoraj, madame.

- David Jewell! - zawołała nagle Lauren. - Ależ oczywiście! Panna Jewell! Anne, bawiłaś latem w walijskiej posiadłości księcia Bewcastle, prawda? Christine wspominała mi o tobie. Mówiła, że zaprzyjaźniłaś się z Sydnmem.

Podczas kolejnej chwili kłopotliwej ciszy wszyscy się domyślili, że ostatniego lata tych dwoje stało się czymś więcej niż jedynie przyjaciółmi.

- No cóż - zabrał głos Kit, siląc się na serdeczność - jeśli będziemy dłużej stali na tarasie, to zrobi się ciemno. Proponuję, żebyśmy napili się herbaty, zwłaszcza Syd i Anne, skoro są po długiej podróży. Wejźmy do środka! Davidzie, chłopcze drogi, chodź ze mną, znajdziemy ci pokój blisko tego, w którym sypia Andrew. Ile masz lat?

- Dziewięć, choć tak naprawdę to już prawie dziesięć.

- Prawie dziesięć! Jesteś więc jego starszym kuzynem. A ja chciałbym być dla ciebie stryjaszkiem Kitem. W czym jesteś dobry? W rachunkach, krykiecie, staniu na głowie?

Kit postawił synka na ziemi i wziął Sophie od żony, David oderwał się w końcu od Anne i poszedł w ślad za Kitem, uciekając od napiętej atmosfery, którą wywołało jego oświadczenie. Andrew spoglądał na niego z prawdziwym uwielbieniem.

Lauren ujęła Anne pod rękę i wprowadziła ją do domu. Sydnam, pomiędzy matką a ojcem, postępował za nimi. Po radosnym gwarze powitania sprzed kilku minut nie został nawet ślad.

- Ach, te dzieci! - westchnęła Lauren ze szczerym przekonaniem. - Jak one zawsze lgną do siebie. Obojętne, młodsze czy starsze.

Reszta dnia wcale nie okazała się łatwiejsza. Anne po raz kolejny pokłóciła się z Sydnmem.

- Och, gdybym mogła zapaść się na tym tarasie pod ziemię! - jęknęła, kiedy zaprowadzono ich do dawnych pokoiów Sydnama, gdzie mogła się odświeżyć przed herbatą w salonie.

- Nie gniewaj się na Davida. Po prostu chciał dać do zrozumienia, że jest członkiem naszej rodziny. Chyba lepiej się stało, że prawda od razu wyszła na jaw, nie sądzisz?

- Co oni sobie o mnie pomyślą? - prychnęła, rzucając na łóżko kapelusz. - Najpierw przedstawiono im mnie i mojego syna. Później usłyszeli, że musieliśmy się szybko pobrać, ale bez wzmianki, że dziecko jest w drodze. A wreszcie dowiedzieli się, że jestem przy nadziei i że nigdy nie byłam mężatką! - wyliczała na palcach. - W dodatku wszystko to, co sobie pomyślą, jest być może prawdą. Nie powinnam była wychodzić za ciebie...

- Anne! Nie wolno ci tak mówić. Mnie to również dotyczy. Do spłodzenia dziecka trzeba dwojga ludzi.

- Och, czy ty niczego nie rozumiesz? Przecież to kobieta zawsze jest winna. Nawet gdy została zgwałcona!

- Chcesz dać mi tym samym do zrozumienia, że w Ty Gwyn wziąłem cię siłą? - Sydnam zacisnął z całej siły dłoń na wezgiłowi łóżka.

- Skądże. Twoja rodzina widzi to całkiem na odwrót, ich zdaniem właśnie ja cię uwiodłam.

- Nonsens! - zachnął się. - Gdy tylko lepiej cię poznają i rozumieją, ile dla mnie znaczysz, na pewno cię pokochają.

Niczego nie rozumiał. To był jego dom, jego bliscy. Przy nich czuł się bezpieczny.

Nie potrafił spojrzeć na wszystko jej oczami.

- Pokaż mi, gdzie mogę się uczesać i umyć ręce. Czekają na nas.

- Cały kłopot w tym - zaczął, gdy mieli już wychodzić z pokoju - że ty, Anne, nie ufasz nikomu prócz siebie i kręgu twoich przyjaciółek.

- Cały kłopot w tym - odparła zgryźliwie - że nie wierzyłam, iż nieszczęście może mnie dotknąć ponownie. Widocznie nie umiem się uczyć na własnych błędach.

- Czy nasze dziecko jest nieszczęściem? - spytał z pozornym spokojem, lecz Anne wyczuła w jego głosie gniew. - Czy David to także nieszczęście?

- Grasz nieczysto, Sydnamię Butler! - syknęła, niemal dusząc się ze złości. -

Przekręcasz moje słowa! Wcale nie to miałam na myśli!

- Nie musisz krzyczeć. Czy wszyscy muszą wiedzieć, że się kłócimy? Co właściwie miałaś na myśli?

Anne zwykle była osobą o łagodnym usposobieniu. Słyszeła z niego jako nauczycielka.

Cechował ją też rozsądek i rozwaga. Sama nie rozumiała, co w nią wstąpiło i skąd się w niej wzięło tyle goryczy. Gniew opuścił ją równie szybko, jak zeszłej nocy.

- Doprawdy, nie wiem już, co miałam na myśli. Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu, i tyle!

Tylko że nie wiedziała, gdzie jest jej dom. Przecież nie w hrabstwie Gloucester. I nie w Bath, bo przestała tam uczyć. A w Ty Gwyn była tylko raz, i to w dość szczególnych okolicznościach. Nie miała żadnego bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby się schronić.

Być może Sydnam się nie mylił. Nikomu nie ufała i żadnego miejsca nie mogła nazwać domem. W dodatku znalazła się w kłopotliwym położeniu wyłącznie z własnej winy.

- Zabiorę cię stąd wkrótce - powiedział łagodniejszym tonem Sydnam. - Ale skoro przyjechaliśmy do Alvesley to możemy chyba zostać tu przez kilka dni.

- Tak, oczywiście. Otworzyła drzwi i wyszła z pokoju pierwsza. Sydnam podał jej

ramię, gdy schodzili na dół, a ona je przyjęła, lecz nierozstrzygnięta kłótnia i burzliwy początek małżeństwa oddaliły ich od siebie. Anne zdawała sobie sprawę z tego, że była drażliwa i rozgoryczona. Świadomość tego wcale nie była przyjemna. No i dobrze wiedziała, co sobie o niej myśli rodzina męża.

Wszyscy byli dla niej uderzająco grzeczni zarówno przy herbacie, jak i podczas obiadu. Obyło się też bez krępującego milczenia przy stole. Ale serdeczność i radość, z którymi ich wcześniej przyjęto, znikły. Nikt jej jednak nie traktował jak powietrze, a nawet starano się ją wciągać do rozmowy.

Hrabia zadał jej kilka pytań. I dowiedział się, że jej ojciec był człowiekiem dobrze urodzonym. Ze miała młodszą siostrę i starszego brata. Oraz że koszty jego edukacji w Eton, a potem w Oksfordzie, bardzo nadszarpnęły rodzinne finanse, tak że na kilka lat przed zamążpójściem musiała podjąć pracę jako guwernantka.

Hrabina zapytała o to, jak jej się wiedzie na tym polu. Anne opowiedziała więc, że była guwernantką przed przyjściem na świat Davida. A gdy się już urodził, przez kilka następnych lat uczyła garstkę dzieci w kornwalijskiej wiosce, póki szczęśliwym trafem nie zyskała pracy w szkole panny Martin.

- Panna Martin? - Kit uśmiechnął się szeroko. - Ta sławetna panna Martin, która porzuciła miejsce w Lindsey Hall po nieudanej próbie edukowania Freyi i odmówiła przyjęcia referencji od Bewcastle'a?

- Właśnie ona.

Również i Kit nie stronił od pytań. I dowiedział się, że Anne zaproszono do Glandwr, bo markiz Hallmere zaprzyjaźnił się z nią w Kornwalii, a lady Hallmere poleciła ją szkole jako nauczycielkę.

- Należy się spodziewać - powiedział rozbawiony - że panna Martin nie wie o tym

smakowitym szczególe.

- Wie - odparła Anne. - Ale rzeczywiście nie wiedziała, gdy się decydowała mnie zatrudnić.

Hrabia zadał jeszcze jedno pytanie, o rodzinie Anne. Nie ukrywała, że od dziesięciu lat nie utrzymywała z nią stosunków. Nikt nie pytał o przyczynę. Powód był zbyt oczywisty.

Przy obiedzie Lauren zainteresowała suknią Anne - z kremowej koronki na jedwabnym spodzie. Ze zdziwieniem przyjęła fakt, że to prezent ślubny i że Sydnam kupił Anne wczoraj również inne stroje. A gdy hrabina zapytała o brylantowy wisiołek i kolczyki, wyszło na jaw, że i one są prezentem.

- Nie uważasz, mam, że mam znakomity gust? - spytał Sydnam. - Choć oczywiście uroda mojej żony nie wymaga dodatkowego podkreślenia.

Anne zaczęła żałować, że nie włożyła starej sukni z zielonego jedwabiu i nie zrezygnowała z biżuterii. Im dłużej trwał obiad, tym jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, że w oczach rodziny Sydnama wygląda na łowczynię fortuny. Nie była przecież młodą kobietą, skoro miała blisko dziesięcioletniego syna. Zawsze brakowało jej pieniędzy. Musiała zarabiać na życie, bo ojciec zubożał. Urodziła nieślubne dziecko. Mogła się spodziewać, że - z braku widoków na przyszłość - do końca pozostanie niezamężną nauczycielką. Jedyne jej atutem była uroda. I właśnie nią się posłużyła ostatniego lata, żeby złapać bogatego i dobrze urodzonego męża. Wyglądało na to, że starannie wybrała człowieka, którego szanse matrymonialne były równie nikłe, tyle że z całkiem innej przyczyny. Człowieka, który z powodu kalectwa był skazany na samotność do końca życia. Plan powiódł się znakomicie. Pod koniec lata zaszła w ciążę z kimś, kto cenił sobie honor bardziej od życia, o czym świadczyło jego okaleczone ciało.

Taką właśnie kobietę musieli w niej widzieć.

Jakże mogłoby być inaczej? Fakty zdawały się mówić same za siebie.

Był to bardzo niepochlebny obraz.

Rzecz jasna traktowali ją uprzejmie, jako gościa i żonę Sydnama, którego - jak się doskonale orientowała - wszyscy uwielbiali. Jakże musieli nią gardzić!

Poszła spać krańcowo wyczerpana. Była wdzięczna Sydnamowi, który zdecydował się pozostać w salonie, aby porozmawiać z bratem o ziemi, płonach i żywym inwentarzu.

Pokoje Sydnama składały się z bawialni, obszernej garderoby i sypialni, gdzie stało tylko jedno łóżko.

Rozebrała się, umyła, włożyła nocną bieliznę i wyszczotkowała włosy najprędzej, jak potrafiła. A potem wślizgnęła się do wielkiego łóżka, jak najdalej od brzegu. Naciągnęła na siebie kołdrę po samą brodę i zamknęła oczy.

Pomyślała, że zapewne w tym właśnie łóżku Sydnam leżał przez wiele miesięcy swojej rekonwalescencji. Nie zapłakała jednak nad jego losem, bo to nie był jej własny pokój.

Poprzednia noc, która miała być poślubną, okazała się nieudana. Anne pragnęła na początku, by ta przyniosła poprawę. Ale teraz była zbyt znużona, by pragnąć czegokolwiek.

Miała tylko chęć rozplakać się nad mężczyzną, jakim Sydnam musiał być przed torturami.

Nad mężczyzną, którego nigdy nie spotkała.

Gdy wszedł po cichu do sypialni jakieś piętnaście minut później, Anne udała, że śpi.

Koszmary prawie zawsze były podobne do siebie.

Nigdy nie było w nich tortur, tylko przerwy między nimi - oczekiwanie na kolejne męczarnie. Nie wiedział, kiedy nastąpią, lecz miał pełną świadomość tego, co oprawcy z nim zrobią. Zawsze mu o tym mówiono, i to ze szczegółami. Nękała go wtedy straszliwa pokusa, żeby powiedzieć im to, co chcieli z niego wydobyć, żeby zdradzić Kita, własny kraj, sojuszników i znaleźć wreszcie wytchnienie w śmierci.

- Nie! - Nie mówił do nich. Przemawiał do pokusy. - Nie! Nie! - Rozpaczliwie starał się nie krzyżeć. Nigdy nie chciał krzyżeć podczas tortur. Nie chciał dać oprawcom satysfakcji. Ale czasami...

- Niecee!

Jak zawsze zbudził się z krzykiem. Siadł sztywno na łóżku, zlany potem. Odrzucił kołdrę, lecz i tak była dla niego przeszkodą, kiedy chciał wstać, bo przecież odrzucił ją prawą ręką! Chciwie, niczym tonący, zaczerpnął głęboko tchu.

Niemal natychmiast poczuł koło siebie obecność Anne, która zerwała się z posłania, próbując go dosięgnąć, lecz był od niej za daleko, na drugim skraju łóżka. Tkwiał jeszcze na poły w koszmarze i miało tak być przez dłuższy czas. Wiedział o tym z doświadczenia.

Przeszłość zanadto zatrwała mu ciało i umysł. Rzeczywistość mieszała mu się z koszmarem. To nie był czas na zabawę w uprzejmości.

- Precz! - rzucił w stronę żony. - Precz stąd!

- Sydnamie...

- Precz, mówię!

Ona również wyskoczyła z łóżka, obiegła je naokoło i przypadła do niego. Uderzyłby ją, gdyby mógł to zrobić prawym ramieniem.

Ktoś zastukał do drzwi, a właściwie zaczął się do nich dobijać.

- Syd? - dał się słyszeć głos Kita. - Syd? Anne? Czy mogę wejść?

Anne rzuciła się ku drzwiom, które otworzyły się, gdy tylko do nich dobiegła.

- Syd? - zawołał jeszcze raz Kit. - Czy znowu dręczą cię koszmary? Pozwól, żebym ci pomógł. Anne.

- Odejdź! Precz stąd! Sydnam niemalże krzyczał. Wkrótce zaczną nim wstrząsać drgawki. Nienawidził ich bardziej niż całej reszty. Nie cierpiał też, gdy ktokolwiek oglądał go w tym stanie.

- Anne - powtórzył Kit tonem oficera, który Sydnam znał z krótkiego pobytu na półwyspie - idź do Lauren. Moja matka też tu przyszła. Odejdź razem z nimi. Ja się tym zajmę.

- Wynoście się stąd wszyscy!

- Nękają go koszmary - rzekła Anne cichym, lecz stanowczym tonem - i to ja się nim zaopiekuję, Kit. Dziękuję ci.

- Alez...

- Sydnam jest moim mężem. Chce teraz zostać sam. Wracaj do łóżka. Wszystko będzie dobrze. Zajmę się nim.

A kiedy zamknęła drzwi, zostali we dwoje sami.

Wtedy zaczął się trząść. Drżała każda, najmniejsza nawet cząstka jego ciała. Mógł tylko trzymać się kurczowo wezgiłowia i zaciskać zęby, dysząc chrapliwie.

- Usiądź - powiedziała cicho jakiś czas później. Nie wiedział, czy upłynęły minuty czy godziny. Jedną ręką dotykała jego ramienia, drugą obejmowała go od tyłu w pasie.

Usiadł w fotelu, który mu podstawiła. Okryła go kołdrą, podciągniętą pod samą brodę, tak że czuł się w niej niczym w ciepłym kokonie. Anne klęczała przed nim, a głowę oparła na

jego piersi, obejmując go ramionami.

Nie ruszała się i nie powiedziała ani słowa, podczas gdy on się trząsał i oblewał potem, póki nie poczuł wreszcie wokół siebie ciepłej kołdry, ciężaru głowy Anne na swoich kolanach i rąk, którymi go obejmowała.

Matka, ojciec, służący - wszyscy kolejno próbowali do niego przemawiać podczas tych ataków, tylko je w ten sposób pogarszając.

Cenił sobie milczenie Anne bardziej, niż mógłby to wyrazić słowami. Jej obecność działała dużo więcej, niż się spodziewał.

- Przepraszam - wykrztusił w końcu.

Rękę miał zakrytą kołdrą. Położyłby ją Anne na głowie, gdyby była wolna. Anne spojrzała na niego. W słabym świetle księżyca, które wpadało przez okna, wydała mu się jeszcze piękniejsza niż przedtem.

- Ja ciebie też. Och, Sydnamię, mój drogi, tak mi przykro. Chciałbyś opowiedzieć o tych koszmarach?

- Za nic, ale dziękuję ci. To moje własne demony, które będą we mnie tkwiły do samej śmierci. Nie można doświadczyć czegoś podobnego, doznając wyłącznie obrażeń fizycznych. Moje ciało pozostanie na zawsze okaleczone, podobnie będzie z moim umysłem. Pogodziłem się z tym. Zresztą koszmary nie nękają mnie już tak często, jak niegdyś. A kiedy nadchodzą, przeważnie mogę się od nich szybko uwolnić. Przykro mi jednak, że przysporzyłem ci zmartwienia i że, być może, taka sytuacja jeszcze się kiedyś powtórzy.

- Sydnamię! - Zdał sobie sprawę, że Anne obejmuje jego uda. - Wyszłam za ciebie. Za całego ciebie. Wiem, że nie mogę dzielić z tobą cierpień, ale nie powinieneś czuć się zobowiązany do tego, by mnie przed nimi chronić albo też by je bagatelizować. Zmartwiłoby mnie, gdybyś tak robił. Przecież niemal od samego początku staliśmy się przyjaciółmi. A

teraz jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi, mimo że nasze małżeństwo zaczęło się w sposób dosyć burzliwy. Staliśmy się mężem i żoną. Jesteśmy... kochankami.

Byli nimi jeden jedyny raz, ale ten jeden raz dał początek nowemu życiu i połączył ich na zawsze. Nie czuł się z tego powodu winny, nawet jeśli dostrzegł jej zgryzotę podczas dwóch ostatnich wieczorów. Czuł się natomiast winny, że musiała z jego powodu porzucić pracę i przyjaciółki. Powinien był ją jakoś pocieszyć, a nie kłócić się z nią czy - jak teraz - obarczać ją jeszcze jednym, nowym brzemieniem.

Zrzucił z siebie kołdrę i powiódł palcami po jej ramieniu.

- Chyba jestem próżny i zarozumiały. Za nic nie chcę, żebyś była świadkiem mojej słabości.

- Myślę - odparła - że jesteś najsilniejszą ze wszystkich znanych mi osób, Sydnemie Butler.

Uśmiechnął się do niej.

- Czy Andrew mówił prawdę? - spytała. - Czy rzeczywiście chirurg wojskowy odjął ci rękę?

- Tak, brytyjski chirurg. Kit wraz z hiszpańskimi partyzantami odbił mnie wtedy. Nie dało się jej uratować.

- Sydnemie - powiedziała - chcę cię zobaczyć. Dobrze wiedział, o co jej chodzi.

Położył się przecież do łóżka w koszuli i w spodniach, mimo że już wtedy spała. Pokręcił głową.

- Muszę to zobaczyć - powiedziała. Przypuszczał, że nie da się tego uniknąć, chyba żeby mieli żyć w celibacie przez resztę swoich dni, co wydawało mu się czymś o wiele trudniejszym do zniesienia niż dalsza samotność. Wcześniej czy później obejrzy jego blizny. Chciał jedynie, żeby się to stało jak najpóźniej. Był bardzo znużony.

Ale Anne nie czekała na pozwolenie. Wstała i zapaliła świeczkę na małym stoliku przy łóżku. A potem znowu przed nim uklękła i wyciągnęła jego koszulę zza paska od spodni, zsuwając z niego wcześniej kołdrę.

Zachowałby się po grubiańsku, gdyby nie podniósł ręki, kiedy podciągnęła koszulę, by ściągnąć mu ją przez głowę.

Nie zamknął oczu. Patrzył na nią.

Chirurg amputował mu ramię, kilkanaście centymetrów poniżej barku. Nie było wówczas żadnej bitwy i lekarz nie musiał zajmować się innymi rannymi żołnierzami. Dobrze wykonał swoją robotę. Kikut nie wyglądał odpychająco.

- Widzisz, ja właściwie nadal mam to ramię - wyjaśnił - i dłoń. W mojej głowie wciąż istnieją, i to w sposób bardzo realny. Czasami bolą. Niekiedy zdaje mi się, że mógłbym poruszać tą ręką. Lecz w istocie jedno i drugie, jak możesz się przekonać, już nie istnieje.

Mogła jednak zobaczyć nie tylko kikut. Całą prawą stronę jego ciała pokrywały czerwone ślady po oparzeniach i krzyżujące się blizny, dla kontrastu sine. Widniały na prawym boku i sięgały aż po kolano.

Położyła dłoń na jego nagim ciele, tuż nad paskiem od spodni.

- Czy to wciąż boli? Zawahał się.

- Tak - przyznał. - Zwłaszcza oko, kikut i kolano, choć ono jest w najlepszym stanie.

Ale nie zawsze tak bywa i nie jest to ból nie do wytrzymania. Pogarsza się przy deszczowej pogodzie. Przyzwyczailem się już do niego i mogę nad nim zapanować. Można się nauczyć żyć z mnóstwem dolegliwości, a nawet z bólem. Przez blisko pół roku szczerze pragnąłem umrzeć, ale dzisiaj jestem zadowolony, że tak się nie stało. Życie jest doprawdy czymś cudownym mimo wszystkich ran, jakie odniosłem. Nie narzekam na mój los.

- Nie narzekasz - przytaknęła. Uniosła dłoń i ujęła w nią prawą stronę jego twarzy.

Przymknął oko i wsparł się na jej ręce. Niewiele osób, z wyjątkiem lekarzy, dotykało prawej strony jego ciała, odkąd wrócił do domu z Półwyspu Pirenejskiego. Zupełnie jakby tylko jego dręczyciele mogli sobie rościć do tego prawo. Nawet nie wiedział, jak bardzo pragnął czyjś dotyku. Delikatnego, miękkiego dotyku po całej tej przemocy. Zdawało mu się, że jej ręce niosą ukojenie i gdy je cofnie, jego ciało znowu stanie się całe i zdrowe.

A potem poczuł, że Anne kciukiem unosi opaskę na prawym oku i dotarło do niego, co chce zrobić. Chwycił ją za nadgarstek i otworzył lewe oko, ale było już za późno, ściągnęła opaskę i rzuciła ją na podłogę koło fotela.

Spojrzał na nią ze zgrozą i udręką.

- W porządku - powiedziała bardzo cicho. - Sydnamie, przecież jesteś moim mężem.

Już po wszystkim.

Ale to nie było w porządku. Prawego oka już nie miał. Zamknięte powieki były zapadnięte i leżały płasko na czymś, co tworzyło jedną wielką bliznę. Doprawdy, niepiękny widok.

Nie mógł jednak przymknąć tego drugiego oka. Zacisnął zęby i patrzył na Anne, która wstała, nachyliła się nad nim z rękami na jego ramionach, a potem delikatnie dotknęła wargami zewnętrznych kącików powiek.

Walczył ze łzami, które dusiły go w gardle. Anne całkiem nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

- Bez opaski jesteś mniej podobny do pirata.

- To źle czy dobrze?

- Niektóre kobiety uważają, że piratom nie można się oprzeć.

- Może założę ją z powrotem?

- Lepiej mnie nie kuś. Jestem kobietą zamężną.

- Ach, jakie to smutne.

- Nie dla mnie. Widzisz nie potrzebuję pirata. Mój mąż jest kimś, komu nie mogę się oprzeć.

Uśmiechnął się. Ona również.

Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że koszmary znikły i poczuł falę pożądania.

Najwyraźniej go uwodziła!

- Myślę - powiedział, dźwigając się - że powinienem się sam przekonać, czy to aby prawda.

- Przekonaj się. Otarła się o niego, a jej palce sięgnęły do paska spodni. Kiedy był już całkiem nagi, zaczęła się przyglądać bliznom.

- Anne, myślę, że w twoim stanie...

- Jesteśmy małżeństwem. Wczoraj wzięliśmy ślub. Oczywiście, z powodu mojego stanu! A wcześniej się pożegnaliśmy i mieliśmy się już nigdy więcej nie zobaczyć! Chcę być twoją żoną w każdym znaczeniu tego słowa i założyłabym się, że ty też chcesz być moim mężem w tym znaczeniu. Bo chcesz, prawda?

Było to nie tyle wyznanie miłości, co rzeczowa akceptacja sytuacji, w której się znaleźli - właśnie z powodu jej stanu. Patrzyła na jego nagie, okaleczone ciało, a jednak nadal go pragnęła. Cóż za wspaniały dar.

- A... dziecko?

- Radziłam się lekarza. Claudia nalegała, żeby tak zrobić. Powiedział, że prócz ostatniego miesiąca nie będzie to szkodliwe ani niebezpieczne.

W słabym świetle świeczki dojrzał rumieniec, pokrywający stopniowo jej twarz i szyję. Czy naprawdę zasięgała porady lekarskiej?

Dotykał jej nagiego, kształtnego ciała dłońią, palcami, koniuszkami palców, kiedy już

się położyli koło siebie. Dopiero wtedy spostrzegł, że nie zgasił świeczki, ale było mu to teraz obojętne. Nie będzie już ukrywał swojego kalectwa. Jeśli mieli się stać prawdziwym małżeństwem, musiał dać jej całego siebie i zaufać, że przyjmie go wraz ze wszystkimi niedoskonałościami.

Kiedy nakrywał ją swoim ciałem, pożałował przez chwilę, że nie ma obydwu rąk, bo wtedy nie przygniatałby jej całym swoim ciężarem. Ona jednak skwapliwie oplótła go nogami i ramionami, pomagając mu ruchami bioder.

To jest prawdziwa noc poślubna, pomyślał, i zaczął kochać się z własną żoną. Z Anne. Z kobietą, którą wczoraj poślubił i z którą miał odtąd dzielić życie.

Poruszał się w niej w powolnym rytmie, tam i z powrotem, póki nie zrozumiał, że Anne leży pod nim spokojnie, chociaż z lekko wyprężonym ciałem. Ale nie wynikało to wcale z podniecenia. Udawała tylko albo też usiłowała zachować się, jak na dobrą żonę przystało, traktując go jak normalnego mężczyznę.

A on nie zgasił tej cholерnej świeczki!

Niemal całe jego podniecenie znikło.

Ale jeśli było tak, jak myślał, to Anne ma świadomość, że Sydnam wie, iż zbliżenie nie sprawia jej przyjemności. Jak zdołają sobie z tym poradzić? Chciała się z nim kochać, tylko dlatego że się o niego troszczyła.

Zaczął poruszać się szybciej i nie myślał już o niczym prócz własnych doznań, aż wreszcie nastąpiło spełnienie. Niemalże pogardzał w tej chwili czysto fizyczną satysfakcją.

Wycofał się prawie natychmiast i okrył jej ramiona kołdrą. Patrzyła na niego w migotliwym świetle świeczki. Wolałby już, żeby zamknęła oczy i udawała śpiącą.

Uśmiechnął się do niej. Może Anne mimo wszystko nie zdaje sobie sprawy, że on wie? Była dla niego taka dobra dzisiejszej nocy.

- Dziękuję - powiedział półgłosem. Coś go jednak zaniepokoiło. Miała łzy w oczach.

W takim razie obydwójce przed sobą udawali.

- Sydnemie - odezwała się niemalże szeptem. - To nie ty. Proszę, uwierz mi, że to nie ty. To ja.

I nagle objawiła mu się cała prawda. Oczywiście! On cierpiał wskutek koszmarów, bo jego ciało potraktowano z niewyobrażalnym okrucieństwem. A ona cierpiała, bo doznała czegoś podobnego. Czy ją również nękały koszmary?

A może to właśnie fizyczna intymność była dla niej koszmarem? I ten koszmar dopadł ją dwukrotnie, raz w Ty Gwyn, a drugi raz w tej chwili? Spojrzał na nią przerażony. W obydwu przypadkach wiedziała, rzecz jasna, że to on, ale czuła Alberta Moore'a.

- To ja - powtórzyła. - Proszę, wierz mi, że to nie ty. Ty jesteś piękny, Sydnemie, delikatny i czuły. Inny niż tamten!

- Anne. - Pocałował ją delikatnie. - Anne, teraz wszystko rozumiem. Aż do tej chwili nie zastanawiałem się nad tym. Co mam robić? Czy...może byś wolała, żebym spał w bawialni?

- Nie! - Przywarła do niego. - Proszę cię, nie! Chyba że zupełnie nie potrafisz tego znieść. Przepraszam cię!

- Cicho. Cicho, kochanie. Chcę cię przytulić, zupełnie tak samo, jak ty przytulałaś mnie przedtem. Cicho.

Pocałował jej skroń i upewnił się, czy cała jest otulona kołdrą. Ogrzewał jej ciało swoim.

I nagle stało się coś cudownego, niewiarygodnego. W ciągu kilku chwil odprężyła się i całe jej ciało stało się ciepłe. Zrozumiał w końcu, że zasnęła.

On jednak nie spodziewał się, że zaśnie po tak trudnej nocy.

Ale zapadł w sen kilka minut po niej.

Anne obudziła się, czując, że łaskocze ją w nos coś, czego nie potrafiła odpędzić ocieżając od snu ręką. Zrozumiała, że to palec, i że ten palec należy do Sydnama.

Otwarła oczy.

- Dzień dobry, pani Butler - powiedział. - Czy ma pani zamiar wreszcie wstać?

Leżał koło niej na łóżku, ale na pościeli, całkowicie już ubrany. Słyszała, jak jego lokaj hałaśliwie się krząta za zamkniętymi drzwiami garderoby. Nie można było dłużej spać.

- Nawet zdążyłeś się ogolić - stwierdziła, dotykając gładkiej skóry na lewej części jego twarzy.

- Czyż piraci nie bywają ogoleni?

- Chyba że jesteś Sinobrodym? A może Czarnobrodym? Uśmiechnął się do niej. Ani przez moment nie zapomniała wczorajszej nocy. Ani też żadnej innej. Nie chciała jednak zaczynać dnia od przykrych wspomnień. Obydwoje mieli demony, z którymi powinni walczyć. Po cóż w takim razie walczyć z sobą? Odwzajemniła uśmiech.

- Wczoraj umówiłem się z Kitem i z ojcem na objazd farm. Przez kilka lat po wyzdrowieniu byłem rządcą ojcowskiego majątku. Czy mówiłem ci o tym? Masz może coś przeciwko temu, żebym z nimi pojechał?

Miała, i to bardzo. Zostałaby wtedy sama z jego matką, Lauren i dziećmi. Czegóż się jednak spodziewała? Ze będzie się kryć w jego cieniu? Razem z nim poślubiła też jego rodzinę, więc musi się teraz starać, żeby im pokazać, że nie zależy jej jedynie na pieniądzach Sydnama, jak się zapewne spodziewali.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Wstał z łóżka.

- Lauren zajmie się tobą.

- Nie wątpię - odparła. Wicehrabina była wyjątkowo piękna, elegancka i niezwykle

schłodna. Okazała się także miła, nawet po fatalnym wystąpieniu Davida.

- Kiedy Kit po raz pierwszy zjawił się z nią tutaj po swoich zaręczynach, przyjęto ich bardzo chłodno. Kiedyś ci to wyjaśnię. Lauren chciała wtedy ze mną porozmawiać i widziałem wyraźnie, że wcale nie jestem jej ulubieńcem. Ale wysłuchała tego, co miałem do powiedzenia, i to z uwagą. Była pierwszą osobą, która tak zrobiła i zrozumiała mój punkt widzenia. Zmusiła nas obu z Kitem do konfrontacji. Byliśmy wówczas niechętni sobie, niezręczni i zaciętrzewieni. A jednak to podziałało. Teraz jest moją ulubienicą. Raz mnie nawet pocałowała. - Stuknął palcem w prawy policzek.

- Co, naprawdę?

- Czyżbyś była zazdrosna?

- Bardzo! Roześmiali się obydwój. Anne wiedziała, że przynajmniej jedna rzecz nie uległa żadnej zmianie. Nadal byli dobrymi przyjaciółmi. Niewiele chyba mogła się po tym spodziewać, skoro stali się już małżeństwem, ale... Stanowczo chciała zacząć ten dzień w dobrym nastroju.

- Jeśli się zaraz ubierzesz, możemy zejść na dół i zdążymy jeszcze zjeść razem śniadanie.

Dziesięć minut później, gdy schodzili do jadalni, Anne zdała sobie sprawę, że tym razem nie dokuczały jej mdłości. Widocznie była zbyt pochłonięta czym innym.

Reszta dnia nie okazała się taka straszna, jak się obawiała w nocy. Mężczyźni wcześnie wstali od stołu, a gdy tylko wyszli, odezwała się hrabina.

- Martwiliśmy się o ciebie i Sydnama ostatniej nocy, zwłaszcza że zamknęłaś nam drzwi tuż przed nosem. Trochę nas to zdenerwowało. Ale nic więcej nie było już słychać, a dziś rano Sydnam okazał się tak wesoły i pełen energii, jak nigdy przedtem. Zwykle następnego dnia po ataku jest znużony i apatyczny. Jak zdołałaś tego dokonać?

- Po prostu okryłam go i mocno trzymałam, póki nie przestały nim wstrząsać

konwulsje. - Anne poczuła, że się czerwieni.

Teściowa spojrzała na nią przeciągle i bez uśmiechu.

- Bardzo niemądrze postąpił, idąc na wojnę tylko po to, żeby dowieść, że jest równie dzielny, jak Kit.

- Musisz jednak przyznać, mamó, że tego dowiódł - odezwała się Lauren.

- Ale jakim kosztem! A był taki utalentowany! Wiedziałaś o tym, Anne?

- Jako malarz? Tak, słyszałam.

- Nie tylko utalentowany. Marzył, że zostanie kiedyś wielkim malarzem. Nigdy nie zdołam zrozumieć, dlaczego poniechał tych ambicji, żeby pojechać na półwysep.

- Czasami - powiedziała Anne - ludzie pragną dowieść swego męstwa, zwłaszcza gdy są młodzi. A czyż mogą znaleźć lepszą sposobność, niż ruszyć na wojnę?

Wszystkie trzy pokiwały głowami nad szaleństwami płci męskiej. I nagle Anne zrozumiała, że fakt, iż została sama z Sydnmem zeszłej nocy, zyskał jej życzliwość jego rodziny. Może w końcu ją zaakceptują i rozumieją, że nie miała najmniejszego zamiaru usidlić zamożnego i ustosunkowanego mężczyzny?

- Czy zachowały się jakieś jego obrazy? Lady Redfield westchnęła.

- Cały dom był nimi obwieszony. Kiedy wyzdrowiał i potrafił już chodzić, kazał wszystkie zniszczyć! Nie mogłam tego zrobić. Kazałam tylko wynieść je na strych. Leżą tam do dziś, razem z jego malarskimi utensyliami. Czasami po jego wyjeździe nachodziła mnie myśl, żeby powiesić tu znów jeden czy dwa z nich, lecz nie mogę się na to zdobyć. To byłoby wbrew jego woli. Nie wiem też, czy zdołałby znieść ich widok po tak długim czasie.

- Ale Sydnam nie jest jakąś tragiczną postacią - zabrała głos Lauren. - Potrafi prowadzić całkiem normalne życie. A teraz ma też żonę i rodzinę.

Uśmiech Lauren był naprawdę ciepły.

- Anne, pójdziesz dzisiaj ze mną i z Lauren na wizytę - powiedziała hrabina, tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Trzeba cię przedstawić naszym sąsiadom i wyjaśnić w jakiś zręczny sposób to pośpieszne małżeństwo. Ale nie zabierzemy twojego syna.

Lauren zaśmiała się dyskretnie i wstała.

- David jest uroczym chłopcem. Cały czas bawi się z naszymi dziećmi. Kiedy weszłam wczoraj do pokoju dziecinnego, żeby nakarmić Geoffreya, udało mu się nawet zażegnać kłótnię między nimi, nim zdołałam zrobić to sama. Może obie tam pójdziemy, Anne?

I rzeczywiście spędziły resztę poranka w pokoju dziecinnym, choć nie musiały wcale zabawiać malców. Andrew był zachwycony, że ma starszego kuzyna, który chce razem z nim budować wielki zamek z klocków. Sophie zadowalała się patrzeniem na nowego towarzysza zabaw i tylko dotykała ukradkiem jego włosów. David pozwolił jej podawać sobie klocki, mimo że Andrew zabronił siostrzyczce dotykać zamku.

Geoffrey, tłuściutki i zadowolony, znalazł się w ramionach Anne, ale zaraz usnął. Miał takie same jak matka fiołkowe oczy.

- Będzie mi miło - powiedziała po chwili Lauren - uważać cię za siostrę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nasze dzieci też chętnie powitają nową ciocię i kuzyna.

- Masz jakąś siostrę?

- Tylko kuzynów, a właściwie powinowatych, z którymi się wychowywałam. Stale jednak myślę o Gwen jako o siostrze, a o Neville'u jako bracie. O mało zresztą za niego nie wyszłam. Już nawet wchodziłam do kościoła!

- Co się stało?

Lauren zaczęła opowiadać o śmierci ojca, wicehrabiego Whitleafa, który obumarł ją w

dzieciństwie, i o powtórnym małżeństwie matki z młodszym bratem hrabiego Kilbourne'a. O tym, jak matka z nowym mężem wyruszyła w podróż poślubną, z której nigdy nie wróciła - chociaż teraz ze sobą korespondowały. Lauren wychowywała się potem w domu Kilbourne'ów wraz z ich synem i córką, mając nadzieję, że poślubi Neville'a, kiedy dorosną. Neville wyruszył jednak na wojnę i powiedział jej na odjeźdźnym, żeby na niego nie czekała. Ona i tak czekała. A gdy wreszcie wrócił do domu, mieli się pobrać. Weszła już do kościoła, gdy wbiegła do niego jakaś kobieta o wyglądzie godnym żebraczki, wołając, że Neville jest jej mężem i że pobrali się wcześniej na półwyspie.

- A najstraszniejsze było to - mówiła Lauren, gładząc bezwłosą główkę Geoffreya - że mówiła prawdę!

- Och! - wyrwało się Anne.

- Myślałam wtedy, że cały mój świat się zawalił - przyznała Lauren. - Co prawda przybrana rodzina zawsze była dla mnie lepsza od prawdziwej, ale miałam świadomość, że jestem tam kimś obcym. Przez całą młodość usiłowałam sobie zaskarbić ich życzliwość, zresztą całkiem niepotrzebnie, bo i tak mnie tam kochano. I pragnęłam jedynie tego, żeby wyjść za Neville'a.

A więc wytworna, idealna Lauren też poznała ból. Może każdy go musi doświadczyć na jakimś etapie swego życia? Może błędem jest sądzić, że ktokolwiek może uniknąć bolesnych cierpień.

- A w rok później - ciągnęła Lauren - spotkałam Kita. Nie były to bynajmniej łatwe zaloty, lecz wkrótce zrozumiałam, dlaczego Lily, żona Neville'a, ponownie pojawiła się w jego życiu, ja zaś musiałam odejść. Fatum sprawiło, że byłam przeznaczona Kitowi. Bo ja wierzę w fatum, Anne. Nie w ślepy los, który nie daje nam możliwości wyboru, lecz w przeznaczenie, które nam je ofiarowuje. Należy tylko nauczyć się sztuki wyboru. I być

szczęśliwym.

- Och, ja chyba też w to uwierzę.

- To przeznaczenie postawiło na twojej drodze Sydnama, a jemu wskazało ciebie.

Mimo niekorzystnych okoliczności - wybacz mi, proszę, moje wyrażenie - widzę, że się bardzo kochacie.

Uśmiechnęły się do siebie i wkrótce zaczęły mówić o czymś innym. Anne poczuła, że zostaną przyjaciółkami, a może nawet czymś więcej, bo prawie siostrami.

Teściowa z uznaniem powitała jej oddanie mężowi i miała ją po południu zabrać na wizytę. Może więc rodziny nie zawsze odnoszą się niechętnie do osób, które są uważane za czarne owce? Może od czasu do czasu potrafią ich przyjąć życzliwie? Może należy zaufać miłości?

Dzień rozpoczął się dla Sydnama dość dobrze.

Przede wszystkim od nadziei. Anne była tego ranka pogodna, a nawet żartowała z nim. Nie mówiła już, że chce jak najszybciej jechać do domu ani też nie sprzeciwiła się temu, by zostawił ją z Lauren i z matką. Nadal byli, jak sądził, przyjaciółmi. Na razie musiał się zadowolić przyjaźnią i wzajemnym współczuciem.

Najpierw objechał dworskie farmy wraz z ojcem i Kitem. Spotkał farmerów i ich żony, których nie widział, odkąd przestał być rządcą w rodzinnym majątku. Wszystko to było bardzo miłe.

Po południu powrócił jednak do przygnębiającej rzeczywistości. Do spraw, które mogły, jak się obawiał, spowodować nowe zatargi w jego małżeństwie. Matka i Lauren zabrały Anne na wizytę. Poszedł więc do pokoju dziecinnego, chcąc zaprosić Davida - i inne dzieci również, gdyby tego chciały - na spacer wokół jeziora. Spotkał tam Kita, który miał odprowadzić Andrew na lekcję jazdy konnej.

- Chodź z nami, Davidzie - zachęcił go.

- Przecież nie umiem jeździć!

- Nigdy nie miałaś okazji? - Kit położył mu rękę na ramieniu. - Musimy zrobić z tym porządek.

- Nauczysz mnie jeździć na koniu, stryju Kicie? - Davidowi rozjaśniła się buzia.

- A po cóż są stryjowie? - roześmiał się Kit. - Syd, a może ty też z nami pójdziesz?

Kilka minut później wszyscy byli już w stajni. Andrew przy pomocy stajennego dosiadł kucyka. Kit wyszukał Davidowi spokojną klacz. Wyjaśnił mu najważniejsze rzeczy, posadził go na niej i objechał z nim naokoło padok. Wreszcie, dodając chłopcu otuchy, pozwolił mu to zrobić samodzielnie.

David był tak ożywiony, jak w Glandwr, gdzie Sydnam widział go raz czy dwa z Joshua. Śmiał się wesoło i gawędził swobodnie z Kitem, jakby od lat byli najlepszymi kompanami.

Gdyby David miał choćby najskromniejsze podstawy, Sydnam mógłby go uczyć jazdy. Być może stworzyłoby to między nimi jakąś więź. Ale chłopiec dopiero co wsiadł na konia. W tych okolicznościach rozsądniej było pozostawić naukę bratu. Mimo to Kit spojrział na niego pytająco, nim rozpoczął swoją lekcję.

Sydnam zaprzyjaźnił się za to z Sophie, która zrywała stokrotki za padokiem, a potem pociągnęła go za spodnie i podała mu bukiet. Nachylił się nad nią, żeby jej podziękować. Dziewczynka nie uciekła, choć podejrzliwie przyjrzała się opasce na oku. Dotknęła jej paluszkami, a później się roześmiała.

- Bawi cię to? - spytał. - Czy stryjek Sydnam jest zabawny?

Sophie znów zaniósł się pogodnym, dziecięcym śmiechem. Przez następne pół godziny zrywali wspólnie stokrotki i jaskry.

Kiedy nadszedł czas powrotu, a Kit chciał ją wziąć na ręce, Sophie potrząsnęła gwałtownie kędzierzawą główką i wyciągnęła rączki do Sydnama. Wręczył jej wtedy kwiatki i uniósł na swoim jedynym ramieniu.

David jednak trzymał się Kita, ożywiony i rozgadany. Wrócili do pokoju dzieciennego i zastali tam Anne, zarumienioną i uroczą, w jednej z najładniejszych nowych sukien. Syn podbiegł do niej, chwaliąc się swoimi sukcesami i nazywając Kita raz po raz stryjkiem.

Sydnama nie pocieszył fakt, że Sophie chciała mu pokazać jedną ze swoich lalek.

Stracił okazję, żeby wystąpić w roli ojca, za którym chłopiec tak tęsknił. Kit go ubiegł i Sydnam musiał się wycofać. Było za późno.

Mógł jedynie czekać. Może następnym razem nie straci szansy. Jeszcze tego samego

dnia jego nadzieje zostały poddane próbie. I znów okazały się daremne.

Anne jak zwykle poszła opowiedzieć Davidowi przed snem bajkę i otulić go kołdrą.

Sydnam wahał się przez chwilę. Pamiętał co prawda, że w Bath David niechętnie przyjął ingerencję w ten rytuał, lecz mimo to poszedł za żoną. Hrabia czytał coś w salonie, hrabina haftowała, Lauren karmiła w pokoju dzieciennym Geoffreya. Kit udał się tam razem z nią.

Sydnam wszedł do pokoju Davida, stukając najpierw w półotwarte drzwi, a potem usiadł w fotelu, z dala od łóżka. Anne snuła właśnie swoją opowieść i tak samo jak wtedy przerwała ją w najbardziej interesującym momencie, tym razem Sydnam nie odezwał się ani słowem. Po chwili spostrzegł, że w drzwiach stanął Kit.

- Matki potrafią być okrutne, Davidzie - powiedział brat, mrugając do chłopca. -

Powinny skończyć bajkę, skoro ją już zaczęły. Sprawiedliwości musi stać się zadość! Czy jutro znów będziesz się uczył jeździć? Może tym razem poza padokiem?

- Och tak, strytku Kicie! Ale ja bym najbardziej chciał malować. Mój... pan Butler kupił mi w Bath farby i mnóstwo innych rzeczy, ale nie umiem się nimi posługiwać. Może ty byś mi pokazał albo ciocia Lauren?

- Nigdy nie malowałem i Lauren też nie. Nie znam też bliżej nikogo takiego, chyba że... - I spojrzął na Sydnama.

Sydnam gwałtownie chwycił za poręcz fotela, czując nagły zawrót głowy. Ujrzał, że David siadł na łóżku i patrzy na niego błagalnie.

- Czy... czy pan by mógł to zrobić? Bardzo proszę!

- Davidzie! - powiedziała Anne dosyć ostro. A wtedy Sydnamowi przypomniał się nagle niemal identyczny moment z jego życia. Kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat, rodzice podarowali mu na Gwiazdkę pudełko farb, którymi także nie potrafił się posłużyć. W Alvesley było wówczas pełno krewnych, a przyjęcia i zabawy urządzone specjalnie dla dzieci

zajmowały niemal każdą chwilę. Kazano mu odłożyć prezent i czekać, póki ze swoich ferii nie powróci wychowawca. Były to najdłuższe i najsmutniejsze święta jego dzieciństwa.

- Zrobi to pan? - spytał znów David. - Minęły już całe dwa dni. Tak długo potrwa, nim pojedziemy do Walii i znajdziemy tam nauczyciela.

Sydnam zwilżył językiem zaschnięte wargi. Doprawdy, to wręcz śmieszne! Gdy dorastał, uwielbiał malować i nabrał w tym nawet pewnej zręczności, lecz odkąd stracił rękę, nie potrafił powrócić do malarstwa. Nieważne. W końcu umiał robić całe mnóstwo innych rzeczy. Mógł na przykład zastąpić ojca pasierbowi. Tylko że...

- Davidzie, ja byłem praworęczny. I dlatego...

- Ale może mi pan przecież powiedzieć, jak to się robi. Tylko powiedzieć.

- Davidzie! - wtrąciła się Anne. - Czy nie rozumiesz, że...

- Chyba mogę - Sydnam usłyszał własne słowa jakby gdzieś z daleka. - Owszem, opowiem ci o tym. Masz już na tyle doświadczenia, że nie będę musiał prowadzić cię za rękę.

- Sydnamie...

- Naprawdę?! - David aż podskoczył na łóżku. - Już jutro?

- Jutro rano po śniadaniu. - Sydnam wstał. - A teraz połóż się i śpij, bo inaczej obydwaj dostaniemy burę od mamy.

David opadł na poduszki cały zaróżowiony z przejęcia.

- Och, żeby zaraz mogło być jutro!

Sydnam wyslizgnął się z pokoju przed Anne. Kit gdzieś zniknął. Najgorsze będą nie dawane pasierbowi wskazówki, lecz odraza, jaką w nim teraz budziło malowanie, a nawet wszyscy, którzy malowali. To właśnie z tą niechęcią przyjdzie mu się uporać. Z czymś bliskim chorobie. Zapach farb, gdy Morgan malowała w Glandwr i gdy on sam kupował je Davidowi w Bath, niemal przyprawił go o mdłości.

Ale przyjął na siebie zobowiązanie. Musiał coś zrobić dla Davida, bo małżeństwo i obowiązki wobec chłopca były dużo ważniejsze od jego awersji. Przystanął na schodach i odczekał chwilę. Znowu poczuł zawrót głowy.

Anne siedziała na niskim krzeselku w dużym, jasnym i niemal zupełnie pozbawionym mebli pomieszczeniu, które - jak się domyślała - musiało kiedyś być pokojem lekcyjnym.

Na środku rozstawiono nowiutkie sztalugi Davida i umieszczono na nich nieduży blejtram, sam David zaś z paletą w lewej ręce i pędzlem w prawej stał przed nimi. Obok, na stole, ustawiono widok morski, którym Sydnam posługiwał się przy nauce.

' Syd stał za plecami Davida. W powietrzu unosiła się ciężka, ostra woń farb olejnych.

Anne przypatrywała się raczej Sydnamowi niż synowi. Mąż był niezwykle blady.

Ostatniej nocy nie udało jej się nawiązać z nim rozmowy. Nawet jej nie dotknął, gdy się położyli, tylko odwrócił się tyłem i udawał, że zasnął. Nie spał jednak zbyt długo. Ona też nie, choć starała się udawać, podobnie jak on.

Czy wierzył w to, co mu powiedziała poprzedniej nocy? O nic nie pytał, a ona nie wyjawiała mu szczegółów? A może nadal uważał, że jest szkaradnym, oszpeconym pariasem?

Jak się domyślała, ubodło go, że to Kit, a nie on zaczął uczyć Davida konnej jazdy.

Wiedziała też, że zgodził się udzielać chłopcu wskazówek przy malowaniu, żeby stać się dla niego ojcem tak, jak tego pragnął. I że właśnie malarstwo było czymś, o czym chciał zapomnieć.

Musiał się jednak zmierzyć z tym wyzwaniem - dla dobra jej syna. Anne czuła teraz, że kocha go znacznie mocniej. Gdyby ją nawet poślubił inny mężczyzna, to co najwyżej tolerowałby tylko jej nieślubnego syna.

- Nie, nie! - powiedział. - Staraj się energiczniej poruszać pędzlem, żeby oddać strukturę fal. Nie kładź farby tak gładko, jak w akwarelach.

- Nie potrafię. - W głosie Davida po kolejnej nieudanej próbie zabrzmiało przygnębienie.

Sydnam zbliżył się do płótna z pędzlem w lewej ręce, lecz dłoń mu drżała i było jasne, że nie zdoła, wyjaśnić Davidowi tego, co chciał. Wydał jakiś głuchy, nieartykułowany odgłos, a potem desperacko wsadził pędzel w zęby, wykonał nim kilka zamaszystych pociągnięć i odstąpił w tył.

- Ach! - zawołał David. - Rozumiem! Widzę już, o co chodzi. Fale nie są płaskie!

Teraz ja!

Wziął od Sydnama pędzel i powiódł nim po płótnie, a potem spojrzał mu z triumfem w twarz.

- Tak. - Sydnam położył mu dłoń na ramieniu. - Spójrz tylko, jaka różnica.

- Tylko że to wciąż jedna i ta sama barwa - uznał David, patrząc z uwagą na płótno. -

A przecież woda wcale nie jest jednego koloru.

- Istotnie, ale mieszając ze sobą różne farby olejne można uzyskać o wiele więcej odcieni niż w akwarelach. Szybko się o tym przekonasz.

I Anne patrzyła, jak wspólnie nachylają się nad blejtrmem, całkowicie pochłonięci malowaniem. Zapomnieli zupełnie o jej obecności.

Sydnam jadł, nie czując żadnego smaku. Wciąż jeszcze męczył go zapach farb olejnych.

- Czy Kit i Lauren jadą z tobą po południu do Lindsey Hall? - spytała matka.

Powinni się tam byli wybrać już wczoraj. Oczywiście, napisał do Bewcastle'a list z prośbą o krótki urlop, do którego miał prawo. Dobre maniery nakazywały jednak, aby pojawił się w Lindsey Hall z żoną, nim księżę dowie się od kogoś innego, iż Sydnam bawi w Alvesley. Należało udać się tam jeszcze dzisiaj.

- Może mnie zastąpić, mamie? - spytał. - Nie czuję się najlepiej. Wolałbym zostać tutaj.

- Ja też. - Anne spojrzała na niego uważnie. - Możemy wybrać się do Lindsey Hall kiedy indziej.

Nie mógł się z nią kłócić, nie byli przecież sami. Ale chciał zostać zupełnie sam.

Niczego sobie bardziej nie życzył.

- Może zabierzemy chłopców na przejażdżkę, Lauren? - zaproponował Kit. - Założę się, że David mógłby już z nami pojechać. Za twoją zgodą, rzecz jasna.

- Och, oczywiście. Chłopak wprost nie może się tego doczekać. Wkrótce potem Sydnam i Anne znaleźli się sami w swoich pokojach na górze.

- Potrzeba mi świeżego powietrza - wyznał Syd. - I trochę samotności. Poszedłbym na spacer. Zostaniesz tutaj czy wolisz towarzyszyć mojej matce?

- Chciałabym pójść z tobą.

- Moje towarzystwo nie będzie miłe. Źle się czuję.

- Wiem.

Chyba, pomyślał, naprawdę to wiedziała.

Nagle przyszło mu do głowy, że może samotność nie jest najlepszą rzeczą w tej chwili. Czy małżeństwo sprawiło, że czuł się zmęczony liczniejszym niż zwykle towarzystwem? To niepokojące. I przykre! Przecież tęsknił za kobietą, towarzyszką życia. Był jednak nierozsądny, wierząc, że po ślubie żyje się długo i szczęśliwie.

- Nie odsuwaj mnie od swojego życia, Sydnamie - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Musimy się starać, żeby w naszym małżeństwie dobrze się układało. W Walii byliśmy przyjaciółmi. Bądźmy nimi i teraz. Chcę pójść z tobą na spacer.

- Więc chodźmy - odparł niechętnie. Sięgnął po kapelusz i poczekał, aż Anne włoży

nowe, ciepłe okrycie oraz zawiąże pod brodą wstążki kapelusza.

Bez słowa poszli ku palladiańskiemu mostowi, a potem Sydnam skręcił na ścieżkę, która, wijąc się wśród drzew, prowadziła do marmurowej gloriety na południowym brzegu jeziora. Roztaczał się stamtąd malowniczy widok.

Dzień był chłodny, chmurny i wietrzny. Ziemię pokrywały opadłe liście, chociaż sporo ich jeszcze zostało na drzewach. Anne usiadła na ławce wewnątrz budynku, Sydnam zaś stanął na zewnątrz, spoglądając na wzburzone fale.

Nieczęsto ogarniała go melancholia. Nie pozwalał sobie na nią. Gdy wpadał w zły nastrój, starał się pracować bez wytchnienia. Praca była wspaniałym antidotum na depresję. Rzadko też użalał się nad sobą, bo uważał, że to nudne, tchórzliwe i bezcelowe. Wolał rozpamiętywać zalety swego obecnego położenia. Żył w końcu, co zakrawało na cud. Od czasu do czasu przygnębienie osaczało go jednak i nie pomagały wtedy żadne wysiłki ani wyteżona praca. Bał się tego. A dziś właśnie nadszedł jeden z takich dni.

- Sydnamie...

Niemal zapomniał o jej obecności. A przecież była jego żoną, przyszłą matką ich dziecka i okazywała mu niezmierną dobroć, mimo że sama miała powody do rozgoryczenia.

- Sydnamie, czy nie ma żadnego sposobu, żebyś znów mógł malować?

Rozumiała go aż za dobrze.

- Prawej ręki nie mam, a lewa nie chce mi być posłuszna. Przecież widziałaś to dzisiaj rano.

- Ale wzięłaś pędzel w usta i dzięki temu David zrozumiał, co chciałaś przekazać.

- Nie potrafię w ten sposób tworzyć sztuki. Wybacz, ale ty tego nie pojmujesz.

Urzeczywistnienie mojej wizji wymaga prawej ręki, której już nie ma. Czy mam tworzyć widmowe obrazy?

- A może pozwoliłeś swojej wizji zawładnąć tobą, zamiast podporządkować ją własnej woli?

Siedziała, sztywno wyprostowana, na kamiennej ławce gloriety, ze stopami tuż przy sobie, z rękami złożonymi na podolku. Wyglądała na wymagającą nauczycielkę, którą była jeszcze kilka dni temu. Odwrócił głowę.

- Wizja to nie mięśnie, które można wytrenować. Straciłem nie tylko rękę, lecz i oko, więc nie widzę, jak należy. Wszystko się zmieniło i stało jakby bardziej spłaszczone, bez perspektywy. Jak mógłbym teraz widzieć tak dokładnie, żeby pozwoliło mi to malować?

- Widzieć jak należy - powtórzyła jedno z użytych przez niego wyrażeń. - Skąd możemy wiedzieć, jaka wizja jest należyta czy też dokładna?

- Ta, która wymaga dwojga oczu - odparł raczej gorzkim tonem.

- Ale czyich oczu? Czy widziałeś kiedyś drapieżnego ptaka, który szybuje tak wysoko, że ludzkie oko nie wypatrzy go na niebie? A jednak jastrząb potrafi dostrzec mysz na ziemi! Czy możesz sobie wyobrazić jego wizję, ujrzeć świat jego oczami? Kot widzi w ciemności to, co dla nas jest niewidzialne. Czym może być kocia wizja? I skąd możemy wiedzieć, co jest wizją właściwą? Czy w ogóle istnieje coś takiego? Widzisz teraz inaczej niż ja lub ty sam niegdyś, bo zostało ci tylko jedno oko. Ale czy jest to tym samym wizja niewłaściwa? Może twoja artystyczna wizja jest na tyle silna, żebyś dostrzegł nowe znaczenie rzeczy i znalazł inny, równie dobry sposób dania mu wyrazu? Może wymaga to zmian, które popchnęłyby cię do stworzenia wielkich dzieł, jakich sobie przedtem nawet nie wyobrażałeś?

Sydnam poczuł nagły przypływ miłości do żony. Uparcie próbowała mu pomóc, całkiem jak poprzedniej nocy. Natomiast on nie mógł chyba w żaden sposób pomóc jej.

- Anne, ja nie mogę już malować. Ale też... nie mogę żyć bez malowania.

Przestraszyły go własne słowa, które mu się bezwiednie wyrwały. Wcześniej nie

śmiałyby ich użyć nawet w myśli, a teraz nie miał odwagi w nie uwierzyć. Bo jeśli kryła się w nich prawda, to nie było już dla niego żadnej nadziei.

Nagle znalazł się na samym dnie rozpacz. Przerażony zaczął głośno szlochać, a gdy próbował zdusić w sobie łkanie, stało się jeszcze głośniejsze.

Nie mógł powstrzymać płaczu, chciał się więc zerwać i uciec, lecz wtedy dwoje ramion objęło go mocno, mimo że usiłował się z nich wyswobodzić.

- Nie - usłyszał głos Anne - już dobrze, mój miły. Już dobrze. Już po wszystkim.

Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się szlochać. Mógł krzyczeć do utraty tchu, jęczeć, wyć albo cierpieć w milczeniu, ale nie płakać.

A teraz szlochał i nie mógł przestać, a ona tuliła go do siebie, jakby był dzieckiem, które zrobiło sobie krzywdę. I jak dziecko czerpał pociechę z jej uścisku, ciepła, szeptu. Aż wreszcie łkanie ustało.

- Mój Boże, Anne - powiedział, prostując się i szukając chustki. - Przepraszam cię. Za kogo będziesz mnie teraz miała?

- Za kogoś, kto zdołał przezwyciężyć wszystkie rodzaje bólu prócz tego najgorszego.

Westchnął głęboko i nagle zdał sobie sprawę, że zaczęło padać.

- Wejźmy do środka - powiedział, biorąc żonę za rękę i wprowadzając ją do wnętrza.

- Przepraszam cię. Dzisiejszy ranek zupełnie mnie rozstroił, choć jestem rad, że się na to odważyłem. David był uszczęśliwiony. Teraz poradzi sobie z farbami olejnymi.

Splotła jego palce ze swoimi.

- Musisz stanąć oko w oko z najgorszym bólem. I tylko tyle. Zresztą już to właściwie zrobiłeś. Nie wolno ci tracić nadziei. Masz wizję, talent, osobowość. Dzięki nim zdołasz czegoś dokonać nawet bez prawej ręki i oka.

Uniósł ich splecione ręce i ucałował wierzch jednej z jej dłoni, nim je puścił.

- Będę uczył Davida. Zastąpię mu ojca pod każdym względem. Będę z nim jeździł konno. Będę...

- Maluj razem z nim. Koniecznie.

- A ty - odparł, uświadamiając sobie nagle coś, o czym dotąd nie myślał - musisz pojechać do domu.

Zapadło między nimi krótkie, pełne napięcia milczenie.

- Do Ty Gwyn?

- Do hrabstwa Gloucester.

- Nie!

- Czasami trzeba zrobić krok w tył, gdy chce się ruszyć naprzód. A przynajmniej uważam to za konieczne, chociaż bardzo przykre. Chyba musimy tak zrobić, Anne. A gdy już obydwójce tego dokonamy, to może zaświta dla nas nadzieja. Nie spodziewam się jej co prawda w moim przypadku, muszę jednak spróbować.

Gdy na nią spojrział, zobaczył, że pobladła i patrzy gdzieś w bok, z twarzą bez wyrazu.

- Przecież chciałaś, żebym ja tak postąpił.

- Tylko że... - Urwała i milczała przez dłuższą chwilę. - Nie mogę i nie chcę tam wrócić. To niczego nie zmieni, niczego nie rozwiąże. Mylisz się.

- Niech i tak będzie - odparł, ujmując ponownie jej dłoń. Siedzieli bez słowa, patrząc na deszcz.

Anne nieufnie przyglądała się koniom. Wydawały się jej zbyt wielkie, zanadto pełne energii i wręcz przepelniające sobą dziedziniec przed stajnią. Od dość dawna nie jeździła konno, lecz tego ranka musiała to zrobić. Spojrzała na Sydnama i Kita. Obaj czuwali nad Davidem, który właśnie dosiadał wierzchowca. Udało mu się to, więc uradowany, spojrzał najpierw na nich obydwu, a potem na nią.

- Popatrz na mnie, mammo!

- Patrzę, patrzę - zapewniła go. Kit pomógł Lauren usadowić się w siodle, a potem podał jej Sophie. Sydnam podszedł do żony.

- Nie zapomniałaś chyba, jak się to robi - powiedział, prawidłowo odczytując wyraz jej twarzy. - A Kit wybrał ci dobrego konia.

- Czy to znaczy, że jest stary i kuleje na wszystkie cztery nogi? Zaśmiał się głośno.

- Oprzyj się tylko butem na mojej prawej ręce, a znajdziesz się w siodle szybciej, niż pomyślisz.

- Pozwól, żebym ja to zrobił, Syd. - Kit podszedł do nich.

- Myślałem, że wybiłem ci już z głowy ten zwyczaj całe lata temu. - Sydnam wciąż się jeszcze uśmiechał.

- Zwyczaj niedocenywania twoich możliwości? No to jazda, spróbuj zaimponować żonie! Zrób na nas wszystkich wrażenie!

Anne usłuchała Sydnama i stwierdziła, że jego ręka jest twarda niczym kamień. W chwilę później była już na koniu i wygładzała suknię. Kit poklepał ją po ramieniu.

- Dopiąłeś swego - rzucił bratu. - Nie każdemu trzeba do tego obu rąk. Jedna jest całkiem zbędna.

Jeszcze wczoraj po południu, gdy siedziała w gloriecie, była pełna najgorszych

przeczuć i przekonana, że zrobiła beznadziejny błąd, wychodząc za Sydnama. Sądziła też, że uraziła go niezmiernie, choć w niezamierzony sposób. Uważała również za błędne jego twierdzenie, że ona musi - lub muszą oboje - zrobić krok w tył, żeby mogli potem ruszyć naprzód. Szansę w życiu mieli jej zdaniem tylko ci, którzy parli nieustannie do przodu. Gdy deszcz ustał i wrócili przez wilgotny las, David z entuzjazmem zaczął jej opowiadać o swojej jeździe.

- Szkoda, że mnie nie widziałaś, mammo! I pan! Stryj Kit mówi, że dobrze sobie radzę!

- Już wczoraj widziałem, jak potrafisz jeździć. - Sydnam przy tych słowach zmierzwił mu czuprynę, a David uśmiechnął się do niego uszczęśliwiony.

Posępny nastrój Anne nagle się rozproszył. Bez żadnego konkretnego powodu uznała, że jest jeszcze jakaś nadzieja.

Tego ranka jechali konno do Lindsey Hall z wizytą do księcia i księżnej Bewcastle.

Kiedy wspomnieli o tym przy śniadaniu, David zaczął gorąco prosić, żeby wzięli go z sobą, choć próbowała mu tłumaczyć, że dzieci, z którymi się bawił w Glandwr, rozjechały się do swoich domów.

- Ale James tam przecież będzie - przypomniał jej. - Pozwól mi pojechać, mammo!

Proszę mi pozwolić, panie Butler!

A potem, rzecz jasna, Andrew też zaczął się napraszać, Sophie zaś wkręciła się pomiędzy nich i tak długo ciągnęła za chwosty przy wysokich butach Sydnama, dopóki nie zwróciła na siebie uwagi.

O tak, tego ranka, mimo nocy spędzonej z mężem po dwóch różnych stronach łóżka i mimo że żadna z nękających ją kwestii nie doczekała się rozstrzygnięcia, Anne była pełna nadziei.

Syd i Kit wsiedli na konie jako ostatni. Anne, patrząc na męża, znów podziwiała jego

muskularne nogi, poczucie równowagi, panowanie nad wierzchowcem - który w końcu do niego nie należał - i sposób, w jaki błyskawicznie usadowił się na jego grzbiecie, ściągając wodze.

- Och! - powiedział z podziwem David. - Jak pan to zrobił?

- Człowiek wiele może, jeśli tylko chce. - Sydnam spojrzał na Anne. - Na koniu nie jeździ się w końcu rękami, tylko nogami. Słyszałem, jak stryj Kit mówił ci to przedwczoraj.

- Nie wiedziałem wtedy, że pan umie jeździć. Mógłby mnie pan uczyć.

- Nie zdołałbym przecież pracować w Glandwr, gdybym tego nie potrafił. Ale teraz, kiedy i ty już się nauczyłeś, mógłbyś ze mną jeździć, gdzie tylko zapragniesz.

- Naprawdę? - w głosie Davida zabrzmiało zainteresowanie.

- Oczywiście. Przecież jesteś moim chłopcem, prawda?

Kit, Lauren i Andrew jechali na przedzie, Sydnam, David i Anne za nimi. Syd mieli się bez słów. Byli rodziną.

Ku wielkiej uldze Anne całą drogę do Lindsey Hall przebyto w bardzo wolnym tempie, mimo jej obaw, że mężczyznom się to nie spodoba. Lauren obejrzała się, gdy byli już niemal u celu, i zawołała do niej:

- Lubię te chwile, kiedy zabieramy na przejażdżkę Andrew, bo wtedy Kit nie ma ochoty ścigać się ze mną!

- Ścigać? - spytał Kit. - Ależ ścigać się z Lauren można tylko w tempie umiarkowanego truchcika. Coś strasznego, Syd, daję słowo!

Uwagę Anne pochłonęła jazda ku Lindsey Hall po prostej, obsadzonej drzewami drodze. To po niej musiała iść Claudia tego dnia, gdy zrezygnowała z posady guwernantki Freyi. Sama siedziba, potężna i obszerna, była zlepkiem różnych stylów architektonicznych, co dowodziło jej dostojnego wieku, jak też prób rozbudowywania jej i upiększania przez całe

pokolenia właścicieli. Wyglądała imponująco. Przed nią rozciągał się wielki, kolisty ogród, ciągle jeszcze, mimo późnej pory, pełen barwnych kwiatów. Pośrodku stała masywna fontanna, lecz z powodu nadchodzącej zimy nie było w niej wody.

Weszli do środka, oddawszy wierzchowce pod opiekę stajennych. Anne wprost zaparło dech na widok wspaniałej gotyckiej galerii dla grajków, potężnego kamiennego kominka i białych ścian zawieszonych tarczami oraz chorągwiemi. Ogromny dębowy stół zajmował cały środek pomieszczenia.

Nie podziwiali jednak westybulu zbyt długo, gdyż księżna wbiegła tam z wyciągniętymi rękami ledwie minutę czy dwie po zaanonsowaniu przez kamerdynera ich przybycia.

- Lauren! Kit! - zawołała. - I Andrew, i Sophie! Co za radość! Ach, i panna Jewell, i David, i pan Butler! Z jakiego powodu to wszystko? Proszę mi zaraz powiedzieć!

- Nie panna Jewell, Wasza Wysokość, tylko pani Butler - wyjaśnił Kit.

Księżna przycisnęła ręce do piersi i bez słowa spoglądała to na Anne, to znów na Sydnama. Nim jednak zdołała coś powiedzieć, do holu wkroczył książę Bewcastle we własnej osobie, z nieodłącznym lorgnon uniesionym do oczu.

- Och, Wulfricu! - Księżna podbiegła do męża. - Przybyli do nas Kit i Lauren z dziećmi, a pan Butler w końcu się jednak ożenił z panną Jewell! Widzisz, to my mieliśmy rację, a nie ty!

- Bardzo cię przepraszam, moja droga. - Jego Wysokość przywitał wszystkich jednym krótkim ukłonem. - Muszę zaprotestować. Nigdy nie twierdziłem, że ty lub moi bracia i siostry się mylicie. Ja tylko powiedziałem, że podobne swatanie jest czymś zbędnym i niegodnym, bo dwoje ludzi jak najbardziej może samodzielnie zalecać się do siebie! Wydaje mi się zatem, że to właśnie ja miałem rację! Ach, więc prosiłeś mnie, Sydnamie, o urlop tylko

po to, żeby się ożenić? Moje gratulacje, madame! - I złożył kolejny ukłon Anne.

- A my będziemy mieli nowe dziecko! - oznajmił triumfalnie David.

- Naprawdę? - spytał księżę lodowatym tonem. - Założyłbym się, chłopcze, że ten sekret powinna wyjawić twoja mama. Wątpię, czy cieszyłbyś się, gdyby to ona rozgłaszała twoje sekrety!

Księżna opuściła wreszcie ręce i podeszła do Davida, żeby go uściskać.

- Ale to jest najwspanialszy sekret na świecie - oznajmiła. - I należy on do całej naszej rodziny, a nie tylko do twojej mamy. Po co tu stoimy? Jakby nie było u nas pokoju dzieciennego ani saloniku z ciepłym kominkiem, gdzie możemy się na pić kawy? Mama i Eleanor bardzo się ucieszą, że będą miały towarzystwo.

Anne poczuła się zupełnie jak po przybyciu do Alvesley. Och, dlaczego nie przyszło jej wcześniej do głowy, żeby pomówić z Davidem? Spojrzała bezradnie na Sydnama i dostrzegła wesołe ogniki w jego oku. Co za nędznik! Rozbawiło go to!

Księżna ujęła ją za rękę i poprowadziła ku schodom.

- Tak się cieszą, pani Butler! Czy to nie cudownie dowiedzieć się, że ktoś jest przy nadziei? Kiedy pobraliśmy się z Wulfrikiem, sądziliśmy, że nie możemy mieć dzieci. James, ten mały zuchwalec, jest naszym największym skarbem, mimo że wczorajszej nocy zbudził piastunkę głośnym płaczem, a dzisiaj po śniadaniu smacznie zasnął właśnie wtedy, gdy chciałam się z nim pobawić!

A więc roztrząsali możliwość romansu między nimi. Wszyscy Bedwynowie! I próbowali ich swatać! Nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Umarłaby ze wstydu, gdyby wiedziała!

Czy Sydnam wiedział? Czy się tym przejmował? Czy chciał się do niej zalecać? Czy naprawdę miał poważne zamiary, kiedy się jej oświadczał w Ty Gwyn? Czy chciał, żeby

powiedziała „tak”?

Gdyby istotnie tak było, stanowiłoby to ogromną różnicę. Ale jeśli rzeczywiście chciał ją poślubić, to dlaczego poprosił ją o to w taki sposób? „Jeśli chcesz, Anne, to się pobierzemy”.

Tylko że tamtego dnia powiedziała mu zapewne „nie”. Podobnie jak powinna była to powiedzieć w Bath. Chodzi o to, że będą mieli dziecko. I było ono o wiele ważniejsze niż ona i Sydnam.

- Nie zabawili długo w Lindsey Hall, choć przyjęto ich tam nadzwyczaj serdecznie.

Księżna wprost nie posiadała się z radości. Nawet książę był łaskaw wypić w saloniku kawę razem z nimi.

Wrócili do domu w porze lunchu, a Sydnam czuł, że wreszcie może zrobić to, co planował od wczoraj. Kiedy mówił Anne, że obydwójce muszą zrobić krok wstecz, żeby ruszyć naprzód, nie przypuszczał, że w takim samym stopniu może się to odnosić do niego, jak do niej. Pragnął przypomnieć sobie, co niegdyś chciał utrwalić i czego dokonać, posługując się pędzlem. Mogło to być bolesne. Przez wiele lat nie pozwalał sobie na takie wspomnienia. Chodziło jednak o coś więcej niż tylko o wspomnienia.

Po deszczu wracali do domu w niemal zupełnym milczeniu. Sydnam odchylił gałąź, która, potracona, mogła opryskać ją wodą.

- Chętnie bym teraz obejrzał choć jeden z moich dawnych obrazów, ale wszystkie zniszczono.

- Wcale nie - odparła, podtrzymując gałąź ręką, tak by mógł ją wyprzedzić. - Są na strychu. Powiedziała mi o tym twoja matka.

Odwrócił się wtedy i zamilkł. A po powrocie przekonywał się, że jest już późno i w tym świetle nie da się ich należycie obejrzeć. Dziś rano uznał, że koniecznie trzeba pojechać z

wizytą do Lindsey Hall. Teraz jednak nie mógł znaleźć kolejnej wymówki.

Anne siedziała po drugiej stronie stołu, słuchając opowieści jego matki o pierwszej wizycie księżny w Alvesley, kiedy wszystkim zaczęło świtać, że Bewcastle się do niej zaleca.

- Straciliśmy już wszelką nadzieję, że się ożeni, a Christine wcale nie wyglądała na kobietę, którą naszym zdaniem mógłby wybrać na żonę. Nie mieliśmy pojęcia, na co się zanoszą. Lecz choć Bewcastle pozostał równie srogi, jak był, to jest chyba, jak sądzę, zadowolony z tego małżeństwa.

- Och, zadowolony to za mało powiedziane - wtrąciła się Lauren - on ją uwielbia!

- Idę na górę - powiedział po obiedzie Sydnam, gdy razem opuścili jadalnię.

- Chciałeś się położyć?

- Nie. Nie idę do naszej sypialni.

- Do pokoju dzieci... - zaczęła, ale nagle zrozumiała. - Na strych?

- Tak.

- Chcesz tam iść sam? Czy mogę pójść z tobą? Nie był pewien, czy zdobędzie się na tyle odwagi, mimo że początkowo taki właśnie miał zamiar.

- A chciałabyś?

Ujęła go za rękę i poszli razem ze splecionymi dłońmi. Sydnam bywał często na strychu jako chłopiec, jego bracia zresztą też. Buszowali wśród starych pudeł, znajdując tam nieraz coś do zabawy. Jerome najczęściej stroił się w starą perukę, brokatowy surdut i długą, haftowaną kamizelkę po przodkach z zeszłego stulecia. Pewnego dnia włożył je jednak i Sydnam. Wypacykował sobie wtedy twarz starym różem i henną oraz przykleił na niej mnóstwo muszek. Paradował po strychu w butach na wysokich, czerwonych obcasach, które też tam znaleźli, z małą, zmatowiałą szpadką u boku. Wszyscy trzej zwijali się wówczas ze śmiechu. Mężczyźni z dawnych lat musieli widać mocno ufać własnej męskości, skoro

ubierali się w tak zniewieściałym stylu.

Tym razem jednak szedł tam w innym, poważniejszym celu i szybko trafił na to, czego szukał.

Jego wojskowy uniform wisiał za drzwiami małej komórki. Szkarłatny kolor munduru wyblakł, stając się bliższy różowemu. Sydnam nie zwrócił na to uwagi, bo znów poczuł woń farb. Sztalugi i przybory malarskie ułożono starannie w kącie. Nie były nawet zakurzone, widocznie sprzątano tu od czasu do czasu.

Bezwiednie zacisnął mocniej dłoń na ręce Anny. Drgnęła i skrzywiła się nieznacznie z bólu. Puścił jej ramię.

- Niełatwo wrócić do przeszłości, zwłaszcza gdy ktoś sądził, że nic po niej nie pozostało.

Patrzył na resztki swego poprzedniego życia, nie dotykając niczego. W odległym kącie dojrzał stertę obrazów, odwróconych do ściany.

- Może lepiej byłoby - odezwał się - zostawić wszystko tak, jak jest...

Anne zamknęła oczy, a on zauważył, że umyto również okno, które przepuszczało sporo światła.

- Ale boję się, że potem męczyłbym się nieustannie. Podeszedł bliżej i dotknął z wahaniem jednej z ram, a potem odwrócił malowidło ku sobie.

Był to ulubiony obrazek matki, który wisiał niegdyś w jej buduarze. Widniał na nim mały, wygięty mostek i drzewa nad strumieniem u wejścia do ogrodu, rozciągającego się na wschód od dworu. Sydnam odwrócił następny i ustawił go obok poprzedniego. Przedstawiał leśniczówkę na południe od palladiańskiego mostu, zbitą ze zmurszałych desek, ze zdezelowanymi drzwiami i kamiennym, wyslizganym progiem.

Kiedy już odwrócił wszystkie, ustawił je tak, by móc każdy po kolei obejrzeć. Była

tam glorieta - widziana z przeciwległego brzegu, łódka wśród trzciny, ogród różany i - wiele innych obrazów. Prawie wszystkie przedstawiały park w Alvesley i namalowano je akwarelami albo farbami olejnymi.

Nie wiedział, jak długo tam stał. Nagle zdał sobie sprawę, że Anne nadal czeka nieruchomo przy drzwiach i nie mówi ani słowa.

- Były całkiem dobre - uznał, odwracając się ku niej.

- Były?

- Potrafiłem uchwycić podstawową jedność tego, co malowałem. Na przykład ten most łączy ogród francuski z angielskim, ale w istocie tworzą one jedną całość. Stara leśniczówka jest częścią lasów i w końcu lasem się stanie, gdy nikomu już nie będzie dłużej potrzebna. Róże, o które starannie dbano, okazały się czymś trwalszym niż ręce tych, którzy je sadzili i przycinali, ale te ręce tworzyły ład i piękno na dzikim pustkowiu, bo do tego je popychała ludzka natura. Czy rozumiesz to, co mówię?

- Tak. Teraz już wiem, jak wyglądała twoja wizja. Widać ją w tych obrazach.

- Były całkiem dobre - powtórzył.

- Po raz drugi powiedziałaś „były”. Przecież istnieją! Są zdumiewające, wprost zapierają dech. Trafiają w samo sedno.

- To tylko prace młodzieńcze. Dziwne, ale wydają mi się słabsze, niż je zapamiętałem.

- Sydnamie... - zaczęła, lecz on nakazał jej gestem milczenie.

- Ludzie się zmieniają. Ja też się zmieniłem. Nie jestem już chłopcem, który je malował. Co takiego powiedziałaś wczoraj?

- Ze pozwoliłaś swojej wizji zawładnąć tobą, zamiast nagiąć ją do własnej woli.

- Mówiłaś o mojej kondycji fizycznej. Ale to się odnosi także do wieku i do upływu czasu. Mój wiek i doświadczenie wywarły wpływ na moją wizję.

- Czy malowałbyś dziś inaczej?

- Chłopiec, który to malował, był romantykiem. Sądził, że wszystkim rządzi piękno, i w jakimś sensie miał rację, gdyż wiódł pełne piękna życie. Mało o nim wiedział, bo był młody. Widział piękno, ale nie znał prawdziwego zapamiętania. Nie doznał jeszcze tego, co jest przeciwieństwem piękna.

- Stałeś się teraz bardziej cyniczny.

- Cyniczny? - zmarszczył brwi. - Nie. Wiem już dzisiaj, że istnieje odrażająca strona życia, że nie wszystko jest w nim piękne. Nie jestem już chłopcem, ale też nie stałem się cynikiem. W życiu jest coś, co zapewnia przetrwanie. Coś rozpaczliwie wątego, a zarazem niewiarygodnie silnego. Może to Bóg? Nie śmiem tak określać tej siły, która wszystko spaja i podtrzymuje, bo umysł zaraz tworzy sobie wyobrażenie jakiegoś nadludzkiego bytu. Nie o tym myślałem.

- Może miłość?

- Miłość? - Nie podobało mu się to, lecz nie powiedział tego na głos.

- Morgan mówiła kiedyś coś w tym rodzaju. Poczekaj, niech sobie przypomnę. -

Przymknęła oczy i zastanawiała się przez chwilę. O, właśnie. „Prawdy zawsze trzeba szukać głębiej, a kiedy się ją już znajdzie, okazuje się piękna, bo jest nią po prostu miłość”.

- Po prostu miłość? I Morgan tak powiedziała? Muszę to sobie przemyśleć. Może ma rację. Miłość jest potężną siłą. Tylko dzięki niej zdołałem przeżyć w Hiszpanii. Nienawiść nie pozwoliłaby mi na to. Byłem bliski załamania. Nienawidziłem moich oprawców. Ale myślałem o rodzinie, a potem o matkach, żonach i dzieciach tych, którzy mnie torturowali. Zwykle sądzą, że miłość to słabość, a tymczasem okazuje się potęgą. Może to właśnie ona rządzi światem? „Po prostu miłość”. Podobają mi się te słowa.

- Co zrobisz z tymi obrazami?

- Nie wystarczają mi już. Nie mogę pozwolić, żeby tylko takie po mnie pozostały.

Spróbuję znowu malować.

- Jak? Przez chwilę czułem strach. Lewą ręką? Ustami?

- Może siłą woli? - odparł i stanął przy niej. - Sam nie wiem. Znajdę jakiś sposób.

Jakie fatum postawiło cię na mojej drodze, Anne?

- Nie mam pojęcia.

- Czekalaś na mnie, zanim jeszcze to wszystko się ze mną stało. Twoje bolesne przejścia sprawiły, że mogłaś przyjść mi z pomocą. Ze mną było podobnie. Powiedz, że mam słuszność! Powiedz mi, że możemy pomóc sobie nawzajem.

- Tak, masz ją. Koleje losu doprowadziły nas do tej chwili. Dziwne! Lauren wczoraj powiedziała coś bardzo podobnego.

Pocałował ją mocno.

- Zejdźmy na dół. Piękny dziś dzień mimo chłodu - powiedział, otwierając drzwi.

Zdumiewające, ale teraz, kiedy zdecydował się znów malować, dotarło do niego, że nie tylko malarstwo będzie się liczyć w jego życiu, ale także mnóstwo innych rzeczy. Miał żonę, pasierba, nienarodzone jeszcze dziecko. Rodzinę.

Po prostu miłość.

Po Morgan można się było spodziewać podobnych słów.

Następnego dnia w powietrzu czuło się już jesienny chłód. Anne korzystała z ostatnich ciepłych promieni słońca. Wystawiała ku niemu twarz, nie udając już nawet, że czyta. Zabrała ze sobą książkę tylko po to, żeby David ani Sydnam nie czuli się skrępowani jej obecnością. Żaden z nich nie zwracał na nią jednak uwagi. Odłożyła więc książkę na koc, który rozpostarła na trawie, żeby uchronić się przed rosą, i objęła kolana rękami.

Obydwaj malowali.

Malowanie farbami olejnymi w plenerze nie jest zbyt wygodne, bo wymaga wielu przyborów. David i Sydnam wybrali jednak akurat tę technikę.

Anne udawała z początku zaczytaną tylko dlatego, że obawiała się spojrzeć na Sydnama. Rozstawił sztalugi na północnym brzegu jeziora, daleko od dworu. Rozpoznała to miejsce. Widziała je na jednym z jego obrazów, które wczoraj oglądali. Przy brzegu rosły trzciny. Stara łódka przycumowana była do małego drewnianego pomostu. Pośrodku jeziora leżała niewielka wysepka.

Słońce odbijało się w wodzie, podobnie jak i na tamym płótnie. Dzisiaj wiał jednak wiatr i powierzchnię jeziora pokryły drobne fale. Na malowidle woda była gładka jak lustro. David od czasu do czasu prosił o wskazówkę, a Sydnam za każdym razem jej udzielał, nie okazując niezadowolenia i nie przerywając własnej pracy. Przez większą część czasu - a była to cała godzina - malował na swoich sztalugach, trzymając pędzel w lewej ręce niczym sztylet, a koniec jego rękojeści - w ustach.

Anne nie mogła widzieć rezultatów tej metody z miejsca, gdzie siedziała. Najpierw spodziewała się oznak rozdrażnienia lub nawet czegoś jeszcze gorszego. Lecz stopniowo rosła w niej nadzieja, że nie popełniła błędu, nakłaniając męża do czegoś, co mogło się nie udać.

Próbowała się odprężyć, jakby z obawy, że wszelkie jej napięcie lub zwątpienie może udzielić się Sydnamowi.

Co mogło się teraz dziać w Bath? Czy Lila Walton zdoła sobie poradzić z nauczaniem matematyki i geografii, przedmiotów zawsze powierzanych doświadczonym pedagogom?

Była taka młoda! Czy Agnes Ryde zadomowiła się już w szkole i zrozumiała, że nie musi tam desperacko walczyć o przetrwanie? Kto zajmie się przygotowaniem występów świątecznych? Czy Susanna i Claudia odczuwają jej brak?

Bo Anne bardzo ich brakowało. Przez dłuższą chwilę siedziała z czołem wspartym na kolanach, rozpaczliwie tęskniąc za znajomym otoczeniem, za atmosferą szkoły. Czy wszystkie świeżo poślubione żony, nawet szczęśliwe, czują się na początku tak osamotnione i wyrwane z własnych rodzin? Rodziną Anne były Susanna i Claudia.

Sydnam miał przynajmniej jakąś nadzieję, snuł marzenia, tworzył. Nie byli w jednakowej sytuacji. Kiedy spostrzegła, że czyści pędzle w ten swój charakterystyczny, niezręczny, lecz mimo to skuteczny sposób, wstała i podeszła do niego. Bała się trochę tego, co zobaczy. Spostrzegł ją i odsunął się bez słowa na bok, żeby mogła obejrzeć płótno.

Było wprost niezwykle, choć całkowicie niepodobne do obrazów, które widziała przedtem, nawet tych namalowanych przez Sydnama. Farbę położono na nim z rozmachem, choć trochę niezgrabnie, gęstymi smugami, a pociągnięcia pędzlem dało się wyraźnie dostrzec. Anne nie wydało się to wcale niedostatkami - jeśli w ogóle można tu było o nich mówić. Widziała tylko, że jezioro i trzciny są na obrazie pełne życia, energii, ruchu i dumnego piękna, zdolnego wznieść się ponad konkretny motyw. Miały w sobie dostojeństwo.

Czy nie dopatrywała się zbyt wielkich zalet w czymś, co mogło być jedynie niezbyt zręcznie ujętym widokiem? Może za bardzo pragnęła dopatrzeć się w nim oznak wielkości? Tylko że te oznaki naprawdę tam były! Nawet niewprawne oko mogło je dostrzec. Był

to obraz wizjonerski i stworzony z pasją.

Nagle z całą ostrością dostrzegła czarną opaskę na jego prawym oku. Wizja Sydnama uległa zmianie - i ta zewnętrzna, i ta wewnętrzna. Nie był już tym chłopcem, którego prace oglądała wczoraj. Doświadczył zarówno piękna, jak i jego przeciwieństwa,, ale nie załamał się. Zdołał przeobrazić klęskę w triumf.

- Straszny bohomas - powiedział, lecz oko błysnęło mu porozumiewawczo. - Zupełnie jakbym się przedzierał przez gęsty las, kiedy tuż obok biegnie wydeptana ścieżka. Tylko że ja chcę wydeptać inną. Drugi obraz będzie już bardziej udany, a trzeci - lepszy od drugiego.

Ona też знаła to uczucie.

- Z każdym rokiem pragnęłam zmienić coś w treści, w nadziei, że wreszcie uda mi się osiągnąć idealne metody.

- Moja droga, dałaś mi bardzo wiele. Natomiast ja pozbawiłem cię wszystkiego, co ci było drogie, z wyjątkiem syna. Jak mógłbym ci to wynagrodzić?

Nim zdążyła zaprzeczyć jego słowom, David powiedział coś głośno i oboje podeszli do niego.

- Łódka wciąż jeszcze jest zbyt brązowa, a woda zanadto niebieska - zaczął, ignorując całkowicie obecność Anne. - Ale dobrze, że nie wyglądają już tak płasko.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli - odezwał się Sydnam - ale zaletą obrazu olejnego jest to, że można na nim dużo zmienić. Łódka wygląda niemal na nową. Co trzeba zrobić, żeby zaczęła przypominać tę prawdziwą? U ciebie widać, że farba się na niej miejscami łuszczy. Potrafiłeś to uchwycić. Dobrze zrobione.

Anne wróciła do koca i otworzyła koszyczek, który teściowa radziła im zabrać ze sobą na piknik. Były tam bułeczki z serem, marchewka z dworskiego warzywnika, po jednym błyszczącym jabłku dla każdego, butelka z jabłecznikiem i druga z lemoniadą.

Uporządkowali przybory, a potem zjedli i wypili wszystko, co dla nich przygotowano.

Wilgotne jeszcze płótna pozostały na sztalgach. Dzień wydał się Anne wręcz błogosławiony.

Znów zaświtała jej nadzieja, że kiedy przyjadą do Ty Gwyn, staną się szczęśliwą rodziną.

Dopiero teraz zaczęło ją cieszyć, że zostanie matką. Przedtem wiązało się z tym zbyt wiele obaw. Może tym razem urodzi się dziewczynka? Choć cieszyłaby się i z drugiego chłopca.

Najważniejsze, żeby to było żwawe, zdrowe niemowlę.

I nagle, całkiem niespodziewanie, kiedy najmniej tego oczekiwała, stanęła wobec kryzysu, który wprawdzie musiał kiedyś nastąpić, lecz ona wciąż nie była na to przygotowana. David zaczął zadawać pytania.

- Pan jest moim ojczymem, prawda? - spytał, klękając na kocu i wpatrując się w Sydnama.

- Tak - odparł Sydnam pomiędzy jednym a drugim kęsem jabłka. - A zostałem nim, bo ożeniłem się z twoją mamą.

- Ale nie jest pan moim prawdziwym ojcem. Tamten nie żyje. Utonął.

I Sydnam musiał przyznać, że nim nie jest. David spojrział z kolei na Anne.

- Jak on się nazywał? Nabrała głęboko tchu.

- Albert Moore. - Nie mogła dłużej okłamywać siebie samej, że chłopiec jest za mały, aby mu powiedzieć prawdę.

- A dlaczego ja się nie nazywam David Moore?

- Bo nigdy za niego nie wyszłam i dlatego nosisz moje nazwisko.

- A czy ożeniłby się z tobą, gdyby nie utonął? Kłamstwo nie chciało jej przejść przez gardło. Ale nie mogła też powiedzieć synowi prawdy.

- Nie wiem, bo umarł. Przykro mi, kochanie. Tylko że wcale nie było jej przykro. Ani trochę.

- Kuzyn Joshua nazywa się Moore. Czy jest moim krewnym?

- Był stryjecznym bratem twego ojca - wyjaśniła. - Możesz go więc uważać za kuzyna.

- A Daniel i Emily też nimi są?

- Tak, chociaż to już kuzyni drugiego stopnia.

- Mamo - spojrzał na nią żałośnie - a jakich krewnych jeszcze mam? Pan Butler ma stryjka Kita, ciocię Lauren, Andrew, Sophie, Geoffreya, dziadka i babcię, ale wszyscy oni są tylko moimi przyrodnimi krewnymi, bo jest moim ojczymem. Kogo jeszcze mam z prawdziwych krewnych?

Sydnam dotknął jej lekko. Zrozumiała, że nie było to przypadkowe, choć trwało krótko. Wstał z koca i odszedł ku brzegowi jeziora, ale nie tak daleko, by ich nie słyszeć.

- Znasz przecież Prudence Moore z Kornwalii - odparła, przygarniając do siebie syna.

- Tę, co wyszła za Bena Turnera, rybaka. I Constance, żonę pana Saundersa, rządcy w Penhallow. Może też pamiętasz Chastity, która mieszkała w Penhallow, kiedy my żyliśmy w Lydmere. Dzisiaj nazywa się lady Meecham. Wszystkie były siostrami twojego ojca i są twoimi ciotkami.

Davidowi zaokrągliły się oczy.

- One mi tego nie mówiły. I ty też nie.

- Bo nigdy nie wyszłam za ich brata. Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, że to duża różnica. Teraz nie chcę się im narzucać, ale Joshua mówił mi, że wszyscy oni uważają cię za krewnego i będą cię traktować jak swojego bratanka.

Oczywiście, że nie chciała się im narzucać. Wolą nie pamiętać o tym, że David miał ojca i że był nim Albert Moore. Zaczęła sobie jednak zdawać sprawę, że to, czego pragnęła dla siebie, niekoniecznie było dobre dla Davida.

Choć sama ta myśl wydawała się jej straszna, Albert Moore naprawdę był jego ojcem.

Nawet nie wspomniała o owdowiałej markizie Hallmere, babce Davida. Nie mieszkała już co prawda w Kornwalii, ale za to nienawidziła jej - a tym samym i Davida - z dziką zaciekleścią.

Niemal bezwiednie dostrzegła, że Sydnam spogląda na nią przez ramię. Znowu nabrała głęboko tchu w płuca i odetchnęła powoli, stopniowo.

- Masz też dziadka i babkę. Żyją w hrabstwie Gloucester. To twoi prawdziwi dziadkowie, moja matka i mój ojciec. Masz również ciotkę Sarah i wujka Matthew, moją siostrę i brata.

David znowu przykląkł na kocu i wpatrywał się w nią oczami wielkimi jak spodki.

- A czy mam tam jakichś kuzynków?

- Nie wiem, bo nie widziałam moich krewnych przez wiele lat, ale, rzecz jasna, muszą tam jacyś być.

Naprawdę tego nie wiedziała, bo listy jej matki, przysyłane dwa razy w roku, zawsze były krótkie i bez żadnych wzmianek o rodzinie.

- Dlaczego nie wiesz?

- Och, chyba zawsze byłam czymś zajęta. Albo oni. David nadal na nią patrzył, a ona przewidziała, co powie, nim jeszcze otworzył usta.

- Przecież już nie jesteś zajęta. A pan Butler na pewno nas tam zawiezie. Dlaczego nie możemy ich zobaczyć?

Anne zwilżyła językiem zaschnięte wargi. Czy powinna skłamać? Nie. Nadszedł czas.

David miał prawo poznać prawdę.

- Może kiedyś tak zrobimy.

- Kiedy?

- Kiedy skończymy wizytę tutaj. Tylko że...

- Cudownie! - krzyknął, zrywając się na nogi. - Słyszał pan? Mam prawdziwego dziadzia i babcię i pojedziemy ich poznać. Zaraz to powiem stryjkowi Kitowi i cioci Lauren!

Sydnam ciekaw był, czy powiedziałaaby Davidowi o swojej rodzinie i zgodziłaby się go tam zabrać, gdyby nie jego przedwczorajsze słowa w gloriecie.

Nie wyrzekli się jej. Wybaczyli jej przecież. Tylko że to było o wiele gorsze. Nigdy nie pytali o Davida ani nie wyrazili najmniejszej choćby chęci, żeby go zobaczyć.

Mógł sobie wyobrazić, co czuje Anne. Wiedział jednak, że decyzja, którą podjęła, jest nieodwołalna. David był niesłychanie podniecony perspektywą wyjazdu.

- Czy kiedykolwiek pływałaś łódką i wiosłowałaś?

- O czym ty mówisz? - Spojrzała na niego półprzytomnie.

- Bo ja tak, całe lata temu. Pewnie mógłbym wiosłować i dzisiaj, ale byłoby to bezskuteczne. Jednoręki wiosłarz kręciłby się w kółko, nigdzie nie dopływając. W pewnym sensie przypomina to życie, jeśli chce się być pesymistą.

Kpił z własnej niesprawności i bawiło go to.

- Owszem, wiosłowałam - odparła, patrząc nieufnie na łódkę, którą obydwaj z

Davidem niedawno malowali. - Mieszkałam w Kornwalii przez kilka lat, tuż nad morzem.

Ale nie potrafiłam robić tego długo i nigdy nie byłam w tym naprawdę dobra. Zawsze zanurzałam wiosła zbyt głęboko, jakbym w ten sposób chciała odpychać morze od łódki, zamiast poruszać się nią po jego powierzchni.

- Musiało to być wyczerpujące. • - I beznadziejne.

- Od wielu lat nie byłem na tej wysepce pośrodku jeziora. Nie popłynęłabyś tam dzisiaj ze mną?

- Jako wiosłarka? - Zmrużyła oczy, usiłując ocenić odległość. - Jeśli masz godzinę lub dwie do stracenia...

- Jestem zbyt rycerski, żeby cały trud pozostawić tobie. Myślałem, że moglibyśmy wiosłować we dwoje - ty przy jednym z wiosła, ja przy drugim.

- Wygląda to jak przepis na katastrofę.

- Umiesz pływać?

- Umiem.

- A ja potrafię pływać wkoło, trzymając głowę nad wodą. Zapewne przeżylibyśmy nurkowanie, ale się go nie spodziewam. Wierzę w nasze umiejętności wiosłarskie.

Oczywiście, jeśli się boisz...

Najpierw się uśmiechnęła, potem zachichotała, aż wreszcie parsknęła śmiechem.

- Straciłeś chyba rozum!

- A może poślubiłem wariatkę?

- Jak głęboko tu jest? - Ocieniła oczy ręką i spojrzała z powątpiewaniem na wodę.

- W najgłębszym miejscu zanurzysz się po brwi.

- Po uniesione brwi?

- Go za tchórz z ciebie. W takim razie wracajmy do domu.

- Nie zmieścimy się we dwoje na ławce łódki.

- Jak najbardziej się zmieścimy. Pamiętaj, że nie mam jednej ręki. A ty jeszcze... jesteś dosyć smukła.

Zaczerwieniła się.

- Och, ty wariacie - powiedziała wreszcie. - Zgoda! Był to szalony pomysł, do czego nie chciał się przyznać przed samym sobą. Już dawno temu przekonał się, co jest trudne, lecz możliwe - na przykład jazda konna - a co absolutnie niemożliwe. Wiosłowanie należało do tej drugiej kategorii. Ale do niedawna myślał tak i o malarstwie, a znajdowało się ono na samym czeluście listy. Teraz zaś czuł, że potrafi zrobić wszystko, jakby stał się nagle Herkulesem.

Pomost okazał się nieco bardziej chwiejny, niż pamiętał, ale zdołał po nim ostrożnie przejść i przytrzymać łódź, gdy Anne do niej wsiadała. Bardzo ostrożnie i bez jego pomocy, bo jedyną ręką trzymał za burtę. Siadła na ławeczce i wyglądała na przerażoną, gdy podciągała rękawy. Potem posunęła się, żeby mu zrobić miejsce. Łódka zakołysała się niebezpiecznie, gdy do niej wchodził. Anne krzyknęła, po czym obydwójce się roześmieli. Miała jednak sporo racji, ledwie zdołali się zmieścić w środku. Odwiązał linę, którą łódź była przycumowana, i odbił od pomostu.

Droga na wysepkę zajęła im pół godziny. Kiedy wreszcie dopłynęli do piaszczystego brzegu i wyskoczyli z łodzi, żeby wyciągnąć ją na ląd, stwierdzili, że mogliby przepłynąć kanał La Manche tam i z powrotem, tak zawiłe meandry robili przez pierwsze dwadzieścia minut, kiedy obydwójce usiłowali przypomnieć sobie, jak się właściwie wiosłuje.

Ujął ją za rękę, czerwoną i odparzoną od wiosła, i uniósł jej dłoń do warg.

- Jeśli porobią ci się pęcherze, nigdy sobie tego nie daruję.

- Dla takiej świetnej zabawy można w końcu wytrzymać parę pęcherzy. Kiedy ostatnim razem tak dobrze się bawiłeś?

Próbował sobie przypomnieć, ale nie mógł.

- Całe wieki temu.

- Ja tak samo.

Była to maleńka, sztucznie utworzona wysepka. Na porośniętym trawą brzegu, który nachylał się stopniowo ku wodzie, rosło w lecie pełno polnych kwiatów. Nawet i teraz zostało ich tu trochę. I on, i bracia często pływali tutaj nago i nigdy ich na tym nie przyłapano.

- Tu jest naprawdę cudownie - powiedziała, siadając i patrząc na wodę.

- Powinniśmy byli wziąć ze sobą koc.

- Trawa jest sucha - stwierdziła, macając ją ręką. Usiadł koło niej, a potem położył się

i spojrzął w niebo.

- Zawieziesz nas tam? - spytała kilka minut później, nachylając się nad nim, żeby spojrzeć w jego twarz.

- Do hrabstwa Gloucester? Oczywiście. Wiesz przecież, że tego chcę.

- Chyba powinnam ci powiedzieć, co się wtedy stało.

- Chyba powinnaś. Uniósł dłoń i dotknął palcami jej policzka.

- Połóż się tu - powiedział i wyciągnął na trawie ramię, tak by mogła wesprzeć o nie głowę. Gdy to zrobiła, odkładając na bok kapelusz, objął ją i przyciągnął do siebie.

- Miałam wyjść za Henry'ego Arnolda. Byliśmy jednak za młodzi na małżeństwo, a mój ojciec miał trudności finansowe i ja przez kilka lat musiałam pracować jako guwernantka. Jadąc do Kornwalii, myślałam, że serce mi pęknie. Znałam Henry'ego przez całe życie i brakowało mi go bardziej niż kogokolwiek z mojej rodziny. Nie byliśmy co prawda oficjalnie zaręczeni, ale wszyscy wiedzieli, że jesteśmy po słowie. Wszyscy się też z tego cieszyli, i w jego rodzinie, i w mojej.

A on ją rzucił. Sydnam czekał na najboleśniejszą część opowieści.

- A potem, niedługo po mojej wizycie u rodziny i po dwudziestych urodzinach

Henry'ego, które wspólnie obchodziliśmy, byłam zmuszona napisać do domu o tym, co się ze mną stało. Napisałam także do Henry'ego.

I ten nędznik ją porzucił.

- Moja matka odpisała mi. Ze mi przebaczą i że mogę do nich wrócić, gdybym chciała. Przypuszczam, że miała na myśli powrót po urodzeniu dziecka. Zasugerowała też, że może lepiej byłoby, gdybym tego nie zrobiła.

Sydnam przymknął oczy. Bawił się włosami Anne. Jak którakolwiek z matek mogła

odmówić córce pomocy w takiej sytuacji? Jak którykolwiek z ojców mógł nie wyzwać na

pojedynek nikczemnika, który zrujnował jej życie?

- Henry nie odpisał. No skądże, na pewno by tego nie zrobił.

- A potem, ledwie w trzy tygodnie po moim pierwszym liście, matka napisała do mnie znowu, żeby mi oznajmić, że Sarah, moja młodsza siostra, właśnie wyszła za mąż. Za Henry'ego Arnolda. Dodała też, że najlepiej byłoby, żeby nie wracała do domu, jak się domyślałam, wcale.

Dłoń Sydnama znieruchomiała w jej włosach.

- Nie wiem, czy mogłam wtedy znieść więcej ciosów. - Głos Anne zabrzmiał ostrzej i wyżej niż zwykle. - Najpierw Albert. Wkrótce świadomość, że zaszłam w ciążę. Potem markiza Hallmere, matka Alberta, wyrzuciła mnie z pracy. Później wyrzekli się mnie rodzice. A w końcu zdrada. Nie możesz pojąć, jaka była dla mnie straszna. Kochałam Henry'ego całym sercem, podobnie jak Sarah, moją najukochańszą siostrę. Zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego. Wiedziała, co do niego czuję.

Ukryła twarz na jego ramieniu. Odwrócił głowę, żeby ucałować ją w czubek głowy, a wtedy spostrzegł, że płacze. Przygarnął ją mocno do siebie, tak jak ona jego, dwa dni temu. Nie próbował nawet do niej mówić. Bo i cóż miał powiedzieć? Uspokoila się w końcu.

- Czy się teraz dziwisz, że nigdy nie wróciłam do domu?

- Nie.

- Matka przysyła mi listy na święta i na moje urodziny. Nigdy nie jest to nic ważnego. Ani razu nie wspomniała o Davidzie, choć kiedy jej odpisuję, zawsze coś o nim piszę.

- Ale koresponduje z tobą?

- Tak.

- Powiem ci, co bym zrobił - powiedział, całując ją ponownie - gdyby Albert Moore jeszcze żył. Odszukałbym go i posiekał własnoręcznie na kawałki.

Parsknęła śmiechem.

- Zrobiłbyś tak? Naprawdę? Prawie mi go żal. Prawie. Milczeli obydwójce przez chwilę.

- Nigdy nie potrafiłam znieść ze spokojem tego, że David to jego syn. Podobny jest zresztą do niego. Staram się tego nie dostrzegać. Sama nie wiem, w jaki sposób zdołałam teraz powiedzieć tak na głos. David wygląda jak on.

- Ależ twój syn nie jest Albertem, podobnie jak ja nie jestem swoim ojcem, a ty swoją matką. Wszyscy jesteśmy odrębnymi istotami, nawet jeśli dziedziczność sprawia, że przypominamy kogoś z wyglądu. David to David i już.

Westchnęła.

- Jak on umarł? Poza tym, że utonął?

- Och... - Mógł usłyszeć jej schrypnięty, przyspieszony oddech. - Byłam już wtedy w ciąży i mieszkałam w wiosce. Chastity Moore przyszła do mnie pewnego wieczoru i powiedziała, że Albert wraz z Joshua wypłynął na morze w łodzi rybackiej. Joshua najwidoczniej pokłócił się z nim wtedy. Chastity poszła wówczas ku przystani i czekała na ich powrót. Dowiedziała się skądś prawdy. Przypuszczam, że od Prudence. Miała ze sobą pistolet. Poszłam razem z nią.

- A więc został zastrzelony?

- Nie. Kiedy łódź przyplynęła, Joshua wiosłował, Albert zaś płynął obok niej.

Najwyraźniej wyskoczył za burtę, kiedy Joshua zaczął mu grozić. Joshua zawrócił, nie widząc nas, i odpłynął, sądząc, że Albert może bezpiecznie wydostać się na brzeg. Lecz wtedy Chastity wymierzyła w brata pistolet i powiedziała, że nie pozwoli mu wyjść z wody, póki nie zgodzi się przyznać do wszystkiego ojcu i nie opuści na zawsze domu. Albert zaśmiał się jej w twarz i odpłynął. To była burzliwa noc. Ciało znaleziono kilka godzin później.

Sydnam nie musiał mówić niczego więcej. Czasami los sam wymierza

sprawiedliwość, pomyślał. Leżeli przez chwilę w milczeniu.

- Posiekam Henry'ego Arnolda na kawałki, gdybyś chciała - powiedział w końcu. -

Chcesz?

- Och, nie. - Zaśmiała się cicho i dotknęła prawej strony jego twarzy. - Nie ma po co.

Dawno przestałam go nienawidzić.

- A czy przestałaś go też kochać? Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Była zarumieniona i miała czerwone powieki, ale i tak wyglądała ślicznie.

- O, tak. I cieszę się teraz, że nie miał odwagi wytrwać przy mnie. Gdyby tak się stało, nie spotkałabym ciebie.

- A czy to byłoby źle?

- Tak. - Powiodła lekko palcami po jego policzku. - Źle. Obróciła się, żeby pocałować go w usta. Poczłł nieoczekiwany przyływ podniecenia.

- Gdyby nie spotkało nas tyle złych rzeczy, nie poznalibyśmy się nigdy. I nie byłoby nas tutaj. Zgadza się?

- Zgadza.

- Czyli warto było przejść przez to wszystko, co wycierpieliśmy, żebyśmy mogli tu być?

Nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej.

- Warto.

- Tak. Nie odwracała od niego wzroku.

- Kochajmy się tutaj. Tak tu pięknie. I można poczuć się czystym. A ja bym tego bardzo chciała. Od dziesięciu lat czuję się... taka zbrukana.

- Cicho, Anne. Nie zamartwiaj się.

- Kochajmy się tu - powtórzyła. - Oczyszć mnie. Proszę, oczyszć mnie.

- Anne, moja kochana.

- A może ty mnie nie chcesz? Bo ja... Zamknął jej usta pocałunkiem.

Nawet nie wiedziała, że czuje się taka zbrukana. Podłość, niesprawiedliwość, ból nękały ją bezlitośnie, pozbawiały godności, prawości. Nigdy o tym przedtem z nikim nie rozmawiała. Nie pozwalała sobie nawet o tym myśleć. Zaprzeczała własnemu cierpieniu. Nigdy nie płakała. Aż do dzisiaj.

Płacz złagodził jej rozpacz i wszystko odpłynęło gdzieś w przeszłość - Albert, Henry, Sarah, rodzice. Wszyscy. Została tylko ona, Anne. Znalazła ukojenie dzięki innemu samotnemu człowiekowi. Był tu teraz razem z nią. Sydnam Butler, jej mąż.

W tym uroczym zakątku byli sami, otoczeni jedynie naturą. Wszystko wydawało się jej idealne - prócz nękającego ją uczucia zbrukania. Ale czystość, spokój i radość mieli wreszcie na wyciągnięcie ręki. Kryły się w sile miłości. Kochała Sydnama uczuciem o wiele silniejszym niż romantyczna miłość, a teraz wiedziała też, że może być darzona taką samą miłością, że nareszcie zasługuje, żeby ją kochano.

Nawet jeśli on nie mógł jej dać tego rodzaju miłości, o którym marzy każda kobieta.

Nie miało to jednak znaczenia.

To był Sydnam i tylko on mógł...

- Oczyszć mnie - powtórzyła z ustami tuż przy jego ustach. Spojrzała w jego twarz, tak piękną mimo wszystkich blizn. Nie, piękną właśnie dzięki nim, bo uczyniły go tym, czym był.

- Jesteś gotowa, Anne?

- Tak.

Wszedł w nią powoli. Odchylił głowę w tył, przez cały czas patrząc jej w oczy.

Być może, pomyślała po chwili, nie wybrałby jej na towarzyszkę życia, gdyby mógł

dokonać swobodnego wyboru, ale był kimś pełnym miłości, serdeczności i współczucia.

Kochał się z nią powoli, głęboko, rytmicznie, wciąż w nią wpatrzony. Nie było już w niej miejsca na szpetotę, nienawiść, gorycz. Tylko na miłość.

Po prostu miłość.

Była to z pewnością najwspanialsza chwila w jej życiu. Czuła zapach trawy, wody, widziała słońce.

- Anne - szepnął - jesteś taka piękna. Taka piękna.

- I czysta - odparła, uśmiechając się sennie. - Wreszcie znów czysta. Dziękuję ci.

Dotknął jej ust swoimi, gdy zasypiała.

Już wyjechali?

Księżna Bewcastle siedziała w salonie dworu Alvesley, wyciągając ręce ku kominkowi, żeby je ogrzać.

- Dzisiaj rano - wyjaśniła Lauren. - Co za szkoda, że się pani z nimi minęła.

- Może uznacie mnie za osobę źle wychowaną - ciągnęła księżna, uśmiechając się do hrabiny i Lauren - gdyż przybyłam tutaj nie tylko po to, by się zobaczyć z państwem Butler, ale też i z wami. Muszę jednak przyznać, że ich wyjazd mnie rozczarował. Wiesz, Lauren, że smutno mi z powodu tego ich skromnego ślubu.

- Nas to także zmartwiło, Christine - przyznała hrabina. - Musieli się jednak pobrać możliwie szybko, bo... jak przypuszczam, bardzo się w sobie zakochali.

Księżna się uśmiechnęła.

- Wiem o wszystkim. David nam o tym powiedział. Biedny chłopiec musiał potem ponieść konsekwencje swojej szczerości. Wulfric omal go nie spopielił swoim spojrzeniem przez lorgnon!

Wszystkie trzy roześmiały się serdecznie.

- Sydnam znowu zaczął malować - powiedziała Lauren, sadowiąc się głębiej w fotelu.

- Lewą ręką i ustami. A pejzaż, który nam pokazał, był wspaniały, prawda, mamó? Chociaż twierdził, że jest okropny! Powiedział tak jednak z chytrym uśmiechem i jasne było, że to tylko żart i że będzie nadal próbował. Ojciec musiał pospiesznie wyjść z pokoju, ale wszyscy usłyszeliśmy zza drzwi, jak głośno wyciera nos.

- Och! - Księżna złożyła ręce na podołku. - Ależ Wulfric będzie zadowolony, kiedy się dowie, że pan Butler znów maluje! Morgan też się ucieszy. Zaraz do niej napiszę.

- Jak mi się zdaje, cała ta zmiana jest zasługą Anne - uznała hrabina. - Jesteśmy bardzo

wdzięczni za zaproszenie jej tego lata do Glandwr. Sydnam zyskał dzięki temu szansę, żeby ją poznać.

- Ależ to Freya ją zaprosiła! Przecież Joshua i ojciec Davida byli kuzynami. Joshua bardzo się przywiązał do chłopca. Chętnie jednak sobie przypiszę tę zasługę, skoro nalegacie... W końcu gdybym nie postanowiła pojechać z Wulfrikiem do Walii po chrzcinach Jamesa, to nikt inny by tam nie przyjechał, no i nie zaproszono by Anne.

- Polubiliśmy ją ogromnie - odezwała się Lauren.

- Wszyscy robiliśmy, co tylko było można, żeby się do siebie zbliżyli - przyznała księżna. - Z wyjątkiem Wulfrica i Aidana, którzy, jak to zwykle mężczyźni, żywią przekonanie, że prawdziwej miłości nie trzeba pomagać!

Znów roześmiały się serdecznie wszystkie trzy.

- Jakżebym chciała, żeby zostali tu choć trochę dłużej - dodała księżna.

- Pojechali do hrabstwa Gloucester - wyjaśniła hrabina. - Żeby poznać rodzinę Anne.

- Doprawdy? Przecież Joshua mówił nam, że krewni się jej wyrzekli. Odrzucenie przez bliskich zawsze jest czymś smutnym. Dali mi to poznać na własnej skórze moi powinowaci, kiedy wyszłam za mąż po raz pierwszy.

- Domyślamy się, że namówił ją do tego Sydnam - powiedziała Lauren.

- Ach, tak? - Księżna westchnęła i tym razem ona usadowiła się głębiej w fotelu. -

Najwyraźniej będą dobrym małżeństwem, nawet i bez wspaniałego wesela. Kiedy mówiłam o tym z Wulfrikiem, był zdania, że pan Butler zapewne wcale sobie by nie życzył żadnej uroczystości, ale w końcu uległ i pozwolił mi urządzić dla nich weselne przyjęcie. Chciałam się was poradzić w tej kwestii, lecz cóż z tego, skoro wyjechali.

- Och, co za wspaniały pomysł - uznała Lauren. - Powinnam była sama o tym pomyśleć.

- Wulfric będzie zadowolony - westchnęła księżna - kiedy wrócę i powiem mu o ich wyjeździe.

- Ale to był bardzo dobry pomysł, Christine - pocieszyła ją hrabina.

- Ano, cóż - odparła księżna, spoglądając to na jedną, to znów na drugą - nie będzie na razie weselnego przyjęcia w Lindsey Hall, ja jednak nie tracę nadziei. Ile osób można zawiadomić w najbliższym czasie? Chociaż nie jest to może najlepszy z planów...

- A czy istnieje inny? - spytała Lauren.

- Ja zawsze mam w zanadrzu jakiś inny. Może byśmy się tak naradziły we trzy?

Pan Jewell mieszkał z żoną w skromnym dworku tuż za wsią Wyckel, w bardzo malowniczej części hrabstwa Gloucester.

Powóz minął wieś, a potem wjechał między dwa kamienne słupki bramy i zahamował na niewielkim, brukowanym dziedzińcu przed frontowymi drzwiami. Sydnam nagle się zorientował, że Bath leży najwyżej pięćdziesiąt kilometrów dalej. Anne przez wiele lat żyła więc całkiem niedaleko swojej rodziny.

Wyglądała bardzo elegancko w brązowym płaszczu i dopasowanym do niego kapeluszu z jaskrawopomarańczowym! wstążkami, ale też była raczej blada. Położyła rękę na jego dłoni. Dzisiaj to ona siedziała koło męża, a David naprzeciwko. Chłopiec przycisnął nos do okienka, nie kryjąc wielkiego podniecenia.

Sydnam uśmiechnął się do żony i uniósł jej dłoń do warg. Odwzajemniła uśmiech, lecz widział, że pobladły jej nawet usta.

- Dobrze, że uprzedziłam ich listownie.

- Przynajmniej brama była otwarta.

Jakby się poczuła, gdyby nie chcieli jej przyjąć? A David? Sydnam wciąż jednak był zdania, że postąpili słusznie. Cztery dni wcześniej, na małej wysepce w Alvesley, Anne

zmierzyła się z najgorszą zmurą swego życia i najwyraźniej odzyskała siłę ducha. Kochali się też każdej nocy i miał pewność, że sprawia jej to równie wiele satysfakcji, jak jemu. Dziś jednak nie była w pogodnym nastroju.

- To tu mieszkają dziadek i babcia? - David zadał całkiem zbędne pytanie.

- Właśnie tu - odpowiedziała Anne, gdy woźnica otwierał drzwiczki. - I ja też tutaj kiedyś mieszkałam.

Mówiła opanowanym, cichym głosem, ale twarz miała ściągniętą.

Drzwi się otworzyły, nim do nich zastukali, a służąca - zapewne gospodyni - skłoniła się przed Sydnmem, który właśnie wysiadał, zwrócony do niej swoim lepszym, lewym profilem.

- Dzień dobry państwu. - Służąca spojrzała na Anne, której mąż właśnie podawał rękę.

Zanim zdołał odpowiedzieć, odsunęła się, a z domu wyszło małżeństwo w średnim wieku.

Dwie inne, młodsze pary postępowały z tyłu, a spoza drzwi wyglądała cała gromadka zaciekawionych dzieci.

Proszę, cała rodzina przyszła powitać zbłąkaną owieczkę, pomyślał z ironią. Dłoń Anne zacisnęła się kurczowo na jego rękę.

- Anne - zaczęła starsza pani, wysuwając się przed mężczyznę, którym był zapewne pan Jewell. Była pulchną kobietką o miłym wyglądzie, starannie ubraną, w koronkowym czepeczku na siwiejących włosach. - Och, Anne... to ty!

Zrobiła jeszcze kilka kroków, wyciągając ku córce obydwie ręce.

Anne nie ruszyła się z miejsca. Jedną dłonią trzymała rękę Sydnama, drugą wyciągnęła ku Davidowi, który zszedł już po schodkach i stanął przy niej, zaciekawiony.

- To ja - odparła lodowato. Matka zatrzymała się i opuściła ręce, które zwisły bezwładnie wzdłuż ciała.

- Wróciłaś do domu - ciągnęła - a my wszyscy przyszedliśmy cię powitać.

Anne nie patrzyła na nią. Przyglądała się teraz ojcu i dwóm młodszym małżeństwom.

Spojrzała przelotnie na drzwi, w których tłoczyły się dzieci.

- Wstąpiliśmy tu po drodze - oznajmiła, podkreślając ostatnie słowa. - Zabrałam ze sobą Davida, żebyście mogli poznać mojego syna. A to Sydnam Butler, mój mąż.

Pani Jewell przypatrywała się chłopcu, lecz spojrzała też i na Sydnama, który właśnie stanął twarzą do zebranych. Drgnęła i cofnęła się dość wyraźnie. Inni zeszywnieli. Kilkoro dzieci znikło nagle w głębi domu. Niektóre, odważniejsze, gapiły się na niego natrętnie. Jeszcze kilka miesięcy temu poczułby się tym przygnębiony, zwłaszcza zachowaniem dzieci. Przez całe lata żył jak w ukryciu, tam, gdzie go już znano i gdzie przyjeżdżało niewielu obcych. Teraz się tym nie przejmował. Anne zaakceptowała go takim, jakim był, i - co ważniejsze - on również zaakceptował siebie. Dziś jednak była to ciężka próba. Nie dla niego. Dla Anne.

- Panie Butler - matka Anne odpowiedziała dygnięciem na jego ukłon - to pan Jewell, Matthew Jewell, nasz syn, Susan, jego żona, Sarah Arnold, nasza córka, i Henry Arnold, nasz zięć.

Henry Arnold był mężczyzną średniego wzrostu, o sympatycznej aparycji i przerzedzonych już jasnych włosach. Nie wyglądał ani na herosa, ani na nędznika. Sydnam zmierzył go wzrokiem.

Spojrzenie było krótkie, ale jednoznaczne. Arnold domyślił się, że Sydnam wie o wszystkim.

Potem nastąpiły kolejne ukłony i słowa powitania. Anne skinęła wszystkim głową w taki sposób, jakby byli całkiem obcymi osobami.

Pani Jewell ponownie skupiła uwagę na Davidzie.

- Czy pani jest moją babcią? - spytał, jakby wcale nie zdawał sobie sprawy z nastrojów dorosłych. Potem przeniósł spojrzenie na pana Jewella, wysokiego, chudego mężczyznę o siwych włosach i sztywnej pozie. - A pan... moim dziadkiem?

Jewell założył ręce za plecy.

- Tak.

- Prawdziwym dziadkiem i babcią? - ciągnął David. - Bo mam także innych dziadków w Alvesley i bardzo ich lubię, ale oni są tylko przyrodni. A wy jesteście ci prawdziwi!

- Och, tak! - pani Jewell zakryła dłonią usta, jakby na wpół się śmiała, a na wpół płakała. - My jesteśmy tymi prawdziwymi. Masz tu także wujów i ciotki, a te dzieci, które zresztą wcale nie powinny wyglądać przez drzwi, bo im tego surowo zabroniono, to twoi kuzynowie. Poznaj się z nimi. No i chyba musisz być głodny?

- Kuzynowie? - David zerknął w otwarte drzwi.

- Jaki duży już jesteś! - szepnęła pani Jewell. - Masz dziewięć lat, prawda?

- Prawie dziesięć.

Anne nadal nie ruszała się z miejsca, a jej dłoń, sztywna i nieruchoma, wciąż tkwiła w dłoni Sydnama.

- No cóż - odezwał się niespodziewanie pan Jewell - wejdźcie i ogrzejcie się przy ogniu.

- Czas już na herbatę, Anne - powiedział Matthew. - Czekaliśmy z nią na twój przyjazd.

- Anne... - wyrwało się Sarah, lecz siostra chyba jej nie usłyszała, bo nawet nie spojrzała w jej stronę.

Sydnam uznał, że nie jest to co prawda zbyt radosny powrót do domu, ale też nie można go nazwać obojętnym. Cała rodzina Anne stawiała czoło wyzwaniu, mimo że niektórzy

mieszkali zapewne dość daleko. Przyjechali tu jednak, choć niechętnie, bo spodziewali się jej powrotu.

To mimo wszystko dobrze rokowało.

Ścisnął mocno rękę żony.

Chociaż był to jej rodzinny dom, Anne siadła, sztywno wyprostowana, na krześle w saloniku od frontu. Całkiem jak ktoś obcy.

Ojciec się postarzał. Posiwiął już zupełnie, a ostre linie biegnące od nosa ku kątom ust rysowały się mocniej i nadawały mu surowszy wygląd.

Był aż do bólu znajomy, ale mimo to obcy.

Matka przytyła. Ona także posiwiała. Spoglądała teraz ku niej niespokojnie. W latach młodości Anne była dla niej prawdziwą ostoją. A dziś stała się obca.

Matthew nie wyglądał już tak chłopięco, jak niegdyś, chociaż pozostał smukły i nadal miał bujną czuprynę. Pięć lat temu, jak zdążył jej powiedzieć, został proboszczem w niezbyt odległym kościele. Jego żona, Susan, ładna blondynka, starała się, jak mogła, żeby rozmowa toczyła się naturalnie. Mieli dwoje dzieci, siedmioletnią Amandę i pięcioletniego Michaela. I byli jej obcy.

Sarah również przytyła. Henry zaczynał łysieć. Mieli aż czworo dzieci - dziewięcioletniego Charlesa, siedmioletniego Jeremy'ego, czteroletnią Louise i dwuletnią Penelope.

Charles miał dziewięć lat.

David wraz ze wszystkimi dziećmi został zaprowadzony do innej części domostwa i chyba dobrze się bawił w ich towarzystwie. Nigdy przecież nie miał dosyć zabawy z dziećmi, zwłaszcza jeśli chodziło o kuzynów, których do niedawna wcale nie miał.

Anne piła herbatę, nie czując jej smaku. Prowadzenie rozmowy pozostawiła matce,

Sydnamowi, bratu i Susan.

Nie spodziewała się, że przywitają aż tylu członków rodziny. Sądziła, że ojciec i matka będą sami. Ze Matthew, jako duchowny, może nią gardzić. No i że Sarah wraz z Henrym pojawią się tu dopiero po jej odjeździe. Chybaby się nawet nie starała z nimi zobaczyć.

Ale oni tu byli, choć wiedzieli, że Anne przyjeżdża.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Anne także milczała, odkąd tu weszła.

Sydnam opowiadał o Alvesley o swojej rodzinie, o Glandwr i Ty Gwyn, gdzie miał zamiar zawieźć potem żonę i pasierba. Wspomniał, że walczył jako oficer w Hiszpanii i że tam właśnie został ranny.

- Przeżyłem jednak. - Uśmiechnął się do wszystkich zgromadzonych. - Tysiącom innych się to nie udało.

Anne zastanowiło nagle, że w Glandwr zawsze był milczący, siadał w najodleglejszym kącie salonu i - choć wcale nie był ponurakiem ani odludkiem - nie chciał zaznaczać swojej obecności. A tutaj właśnie tak robił, biorąc na siebie cały ciężar konwersacji i wiedząc, że stał się ośrodkiem zainteresowania. Ogarnęła ją wdzięczność.

Matka wstała nagle od stołu.

- Matthew i Susan mieszkają daleko stąd, a Sarah i Henry niewiele bliżej. Dla małych dzieci to długa droga. Muszą tu zostać na noc, bo nikt nie zechce chyba odjechać przed obiadem. Pewnie jesteś zmęczona po podróży, Anne. Pan Butler także. Może się położycie w swoim pokoju? Porozmawiamy później.

O tak, przyjechała tu przecież po to, żeby porozmawiać. Żeby stanąć z nimi twarzą w twarz. Żeby się z nimi pogodzić, jeśli to możliwe. Lecz może lepiej odłożyć wszystko na

później? Matka miała rację. Anne naprawdę była zmęczona.

A jednak nie wstała, spojrzała tylko na swoje ręce, złożone na podołku.

- Dlaczego? - spytała. - Chciałam się tego od was dowiedzieć. Przyjechałam, żeby was o to spytać. Dlaczego tak się stało?

Przestraszyły ją własne słowa. Owszem, dlatego właśnie przyjechała, ale czy nie należało raczej spytać o to innym razem? Tylko kiedy? Czekala już dziesięć lat.

Wszyscy inni także się przestraszyli. Mogła to wyczuć po milczeniu, jakie zaległo w pokoju. Czyżby się spodziewali, że przyjedzie - jako zameżna, a więc znów godna szacunku osoba - chcąc jedynie, by przyjęli ją ponownie na łono rodziny? I ciesząc się, że przeszłość można będzie przemilczeć?

Matka ponownie usiadła. Anne wciąż na nią patrzyła.

- Co mieliście na myśli, mówiąc wówczas „my ci wybaczymy”? Jacy „my”? I co ja takiego zrobiłam, żeby trzeba mi było wybaczać?

Matthew odchrząknął, lecz wcześniej zdążył zabrać głos jego ojciec.

- On był bogatym człowiekiem, Anne, i dziedzicem tytułu. Pewnie myślałaś, że się z tobą ożeni, co powinien był zresztą zrobić. Ale ty powinnaś była wiedzieć, że ktoś taki jak on nie będzie się chciał wiązać z guwernantką - zwłaszcza kiedy już dostał od ciebie to, czego chciał.

Matka wydała jakiś nieartykułowany dźwięk. Sydnam podszedł do okna i stanął tam, wyglądając przez nie. Anne splotła ciasno dłonie.

- Sądzisz, że chciałam złapać w ten sposób męża?

- Może nie miałaś takich zamiarów, ale na pewno go ośmielałaś! A on przestał nad sobą panować. Nieraz tak bywa. I zawsze się uważa, że to wina mężczyzny!

- Przecież miałam wyjść za Henry'ego - odparła, nic sobie nie robiąc z jawnego

zażenowania Henry'ego i Sarah. - Dobrze wiedziałeś. Znałam go i kochałam całe życie. Nie chciałam wcale sięgać wyżej. Nigdy nie miałam takich ambicji. Nie mogłam się doczekać, żeby wrócić do domu i wyjść za mąż!

- Anne - odezwała się Sarah, lecz zaraz urwała. Nikt jej zresztą nie słuchał.

- Zdołałabyś go powstrzymać, gdybyś naprawdę chciała - wybuchnął ojciec. - Na pewno!

- Był silniejszy. O wiele silniejszy.

Ojciec drgnął i zmarszczył czoło. Matka ukryła twarz za chusteczką.

- Matka chciała do ciebie pojechać. Ja zamierzałem napisać do markiza i spytać go, jakie jego syn ma zamiary względem ciebie. Ale chodziło o to, że pracowałaś tam jako guwernantka! A tymczasem Sarah ni stąd, ni zowąd oświadczyła nam, że wychodzi za Arnolda, on zaś od razu się o nią oświadczył. Kiedy odmówiłem zgody, zagrozili, że Sarah ucieknie z domu. Zrobiłbym z siebie głupca. Matthew właśnie wtedy objął swój pierwszy wikariat. Ten sam, gdzie teraz jest pastorem. Podobny skandal zagroziłby jego karierze. Nie pozwoliłem więc matce na wyjazd, ale kazałem napisać, że ci wybaczymy. Nie wierzyłem, żebyś świadomie popełniła rozpustny czyn.

Owszem, trochę inaczej to wyglądało, niż sobie wyobrażała. Przyglądała się uważnie ojcu, - wzorowi wszelkich cnót, którego niegdyś kochała, podziwiała i któremu była posłuszna jako młoda dziewczyna. Każdy jednak zaczyna uważać kiedyś rodziców za zwykłych ludzi. A zwykli ludzie nie są wzorem doskonałości. Bywają nawet od niej dalecy. Matka odsunęła w końcu chustkę od twarzy.

- I twój ojciec... i my... pomyśleliśmy, że lepiej będzie, żebyś tu nie wracała.

Przynajmniej nie od razu. Wybuchnąłby skandal na całą okolicę. A to... to byłoby czymś okropnym. Dla ciebie.

O, tak. I dla matki. I dla ojca. Dla Sarah i dla brata, pomyślała z sarkazmem.

- Ale ja wprost usychałam z tęsknoty za tobą, Anne, i za Davidem.

Nie na tyle jednak, żeby przyjechać do niej w odwiedziny... Tak, matka zawsze była posłuszną, obowiązkową żoną. Nigdy nie zrobiła czegoś, na co nie pozwolił ojciec. Zawsze uchodziło to w jej oczach za cnotę.

- Jakie z niego śliczne dziecko, Anne. I taki podobny do ciebie!

- David jest podobny do Alberta Moore'a, swego ojca, przystojnego mężczyzny.

Owszem, coś niecoś wziął i po mnie, ale przede wszystkim jest sobą. Ma też niemało wspólnego ze swoim nowym ojcem. Sydnam maluje, David także. Robią to razem.

Powiedziała, że David jest podobny do swego ojca, nie kryjąc, że był nim Albert Moore! Zdumiały ją własne słowa. Spojrzała na Sydnama, który nadal stał, odwrócony do wszystkich plecami. I nagle poczuła, że kocha go wprost nieprzytomnie.

- Anne - zabrała głos Sarah - proszę, wybac mi! Wiem, zrobiłam straszną rzecz, ale byłam taka zakochana! A potem ani przez jeden dzień nie zaznałam spokoju. Bardzo tego żałuję! Czy mi wybaczysz?

Anne po raz pierwszy spojrzała na nią uważniej. Tak, siostra utyla i stała się bardziej podobna do matki. Nadal była jednak jej siostrą, niegdyś najbliższą przyjaciółką i powiernicą.

- Anne - zaczął niepewnie Henry - ja bym się z tobą ożenił, gdybyś wróciła do domu, jak zamierzałaś, tylko... no cóż... ty byłaś tam... a Sarah tu.

Anne spojrzała z kolei na niego. Jaka szkoda, że nie zbrzydł! Mogłaby się wtedy zastanawiać, co w nim właściwie widziała? Z pewnością jednak odstręczająca okazała się jego słabość charakteru. Ale to był Henry, którego znała przez całe lata.

- Gdybym za ciebie wyszła, Henry, nie byłoby Davida, który od wielu lat jest moim największym skarbem. No i nie mogłabym wtedy poślubić Sydnama. Straciłabym jedyną

szansę na szczęście.

Matthew znowu odchrząknął.

- Dobrze sobie poradziłaś, Anne. Najpierw uczyłaś te dzieci w Kornwalii, potem dostałaś miejsce w szkole, a teraz zostałaś żoną syna hrabiego Redfielda.

- Dziwne, że tak wiele o mnie wiecie, a ja o was nic. Nie wiedziałam nawet, że mam siostrzenice i bratanków.

- To chyba lepiej, Anne - uznała matka - bo inaczej pewnie byś za nimi tęskniła.

- Chcę was wszystkich zapytać, czy to, że radziłam sobie dość dobrze przez te wszystkie lata, pomaga wam zdusić wyrzuty sumienia po tym, jak się ode mnie odwróciliście?

- Och, Anne! - W głosie Sarah zabrzmiała rozpacz. Ojciec odpowiedział nieco bardziej wyczerpująco.

- Nie! - parsknął ostro. - Wcale nie czuliśmy się spokojniejsi. Łatwiej nam było tylko wierzyć, że wzięłaś całą winę na siebie, a tym samym czuć ulgę, że stawiasz losowi czoło w pojedynkę. Łatwiej nam było wierzyć, że lepiej ci tam, gdzie byłaś, z dala od plotkarskich języków naszych sąsiadów. Cierpiałaś wprawdzie, borykając się z losem, ale być może lepiej się stało, że uniknęłaś skandalu. Ale ja wcale nie czuję się lepiej z tego powodu, że cię tak potraktowałem. Nigdy nie było mi dobrze z tą świadomością. A dziś, kiedy mogę spojrzeć ci w oczy, czuję się jak nędznik. I zasłużyłem sobie na to. Nie miej pretensji do matki.

Pojechałaby do ciebie, ale jej na to nie pozwoliłem.

- Powinienem był chociaż napisać do ciebie, Anne - przyznał Matthew. - Gdybym lepiej sobie radził w Oksfordzie, nie musiałabyś pracować jako guwernantka.

- Sarah zawsze się potem czuła bardzo nieszczęśliwa - powiedział cicho Henry. - I ja także.

- No, cóż - Anne wstała - jeśli wcześniej byłam zmęczona, to teraz jestem wyczerpana.

Chciałabym odpocząć przed obiadem. Sydnam pewnie też. Przeszłość jest okropna, jeśli dotyczy nas samych, nie sądzicie? A dzieje się tak dlatego, że już nie można w niej niczego zmienić. Nikt z nas nie zdoła cofnąć się w czasie i postąpić inaczej. Możemy tylko dążyć do przodu z nadzieją, że przeszłość nas czegoś nauczyła. Przez wiele lat nie było mnie tutaj, bo miałam do was żal. Chciałam wtedy, żebyście cierpieli i żebym ja mogła się sycić swoją goryczą, do której, jak sądziłam, miałam prawo. Teraz jednak tu jestem. I choć na pewno będę płakać, kiedy pójdę do siebie, to jestem zadowolona, że przyjechałam. A także, co ważniejsze, wybaczam wam wszystkim i mam nadzieję, że wy mi wybaczycie, iż się przyczyniłam do waszej zgryzoty.

Wszyscy wstali, bardzo przejęci, lecz nikt się jakoś nie kwapił, by ją uściskać. Nic też nie wskazywało, żeby ona miała na to ochotę.

Było za wcześnie.

Kiedyś wszakże przyjdzie na to czas. Wszystkim potrzeba było przebaczenia i zgody.

A potem znów się staną rodziną. Lecz jeszcze nie teraz.

Sydnam nagle znalazł się tuż przy niej i podał jej ramię. Anne posłała wszystkim dość cierpki uśmiech i wyszła za matką z salonu. Po szerokich, drewnianych schodach poszła do swego dawnego pokoju. Był nietknięty, bo przeznaczano go jedynie dla wyjątkowych gości.

A oni byli przecież bardzo wyjątkowymi gośćmi.

Gdy się tam znalazła, spojrzała pytająco na matkę, która czekała przy drzwiach.

- Cieszę się - szepnęła - że wróciłaś i że przywiozłaś ze sobą Davida. I że wyszłaś za pana Butlera.

- Za Sydnama.

- Tak, za Sydnama. - Matka uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Nagle Anne odwróciła się bez słowa i objęła ją. Matka odwzajemniła uścisk. Mocno.

- Odpocznij teraz - odezwała się dopiero wtedy, gdy Anne cofnęła się o krok.

- Dobrze, mamó. A potem drzwi się zamknęły i została sama z Sydnmem.

- Przepraszam cię - zwróciła się do niego. - Chyba będę płakać.

- Ależ oczywiście, że będziesz płakać.

- Czy powrót do malarstwa był dla ciebie tak trudny, jak dla mnie dzisiejszy dzień?

- Tak - odparł z głębokim przekonaniem. - A czeka mnie jeszcze wiele trudu i udręki.

Dopiero zacząłem i ten pierwszy wysiłek był czymś niewyobrażalnym. Będę kontynuował moje zmagania do porażki albo do zwycięstwa. Porażki nie będą się jednak liczyć, bo zmuszą mnie tylko do większego wysiłku. Jak zawsze. A jeśli mi się nawet nie uda, będę przynajmniej wiedział, że próbowałem, że się nie cofnąłem przed życiem.

- Ja też wreszcie przestałam przed nim uciekać.

Tak, z pewnością. Zaczęła wreszcie płakać.

Mimo wszystko dzieci Jewellów i Arnoldów pozostały w gościnie dłużej niż planowany jeden wieczór. David był wniebowzięty. Choć razem z Sydnmem wybrali się pewnego ranka na wspólne malowanie, szczerze się cieszył, że resztę czasu mógł spędzić z kuzynami, zwłaszcza z Charlesem Arnoldem, ledwie kilka miesięcy młodszym od niego. Sydnam kilka razy wybrał się na przejażdżkę z ojcem Anne i Henrym Arnoldem, i przekonał się, że bardzo chcieli go bliżej poznać. Z początku sądził, że będzie ich nienawidzić, i wprost kipiał z gniewu, słuchając tego, co jej mieli do powiedzenia pierwszego dnia. A jednak przy bliższych kontaktach obaj okazali się zwykłymi i sympatycznymi ludźmi, chociaż z ich poglądami niekoniecznie się zgadzał.

Anne spędzała większość czasu z matką, siostrą i bratową, wieczory zaś - z całą rodziną. Wszyscy dokładali starań, żeby stać się nią ponownie.

Miało to jednak zabrać dużo czasu. Sydnam dobrze pamiętał, jak długo trwało, nim zdołały wrócić do normy jego relacje z Kitem po powrocie z Półwyspu Pirenejskiego.

Wydawało się jednak, że Anne i jej bliscy się pogodzą.

A on? Sydnam nie potrafił zapomnieć, co Anne powiedziała Arnoldowi pierwszego wieczoru o utracie szansy na szczęście. Nie był wprawdzie pewien, ile w tym było prawdy, a ile chęci utarcia nosa Arnoldowi. Uważał jednak, że chodziło raczej o to pierwsze.

Tak, on też był szczęśliwy.

Początkowo obydwójce zamierzali zatrzymać się w hrabstwie Gloucester na kilka dni tylko wtedy, gdyby spotkało ich życzliwe przyjęcie. Anne nie spieszyła się jednak z odjazdem, a Sydnam jej nie ponaglał. Pozostali więc nawet i wówczas, gdy Matthew z jego rodziną wrócił na swoją plebanię, a Henry Arnold odjechał ze swoją, zabierając na kilka dni Davida.

Pani Jewell, uradowana, że może gościć u siebie starszą córkę, zaplanowała mnóstwo wizyt u sąsiadów oraz herbatek i obiadów. I tak kilka dni zmieniło się w cały tydzień.

Ósmego dnia Anne otrzymała list. Ojciec położył go podczas śniadania przy jej nakryciu.

- To z Bath - powiedziała, biorąc go do ręki. - Ale nie od Claudii czy Susanny. Znam skądś jednak ten charakter pisma.

- Można się bez trudu przekonać od kogo go dostałaś - odparł cierpko ojciec. - Jest na to prosty sposób.

Roześmiała się i złamała pieczęć.

- Od lady Potford! - zawołała, patrząc na podpis. - No oczywiście, przecież już do mnie pisywała.

- Kim ona jest?

- Babką Joshuy. Mieszka w Bath. Byłam u niej kilka razy z wizytą.

Przeczytała list, podczas gdy matka nakładała Sydnamowi grzanki na talerz.

- Och, Sydnamie - westchnęła Anne - lady Potford czuje się dotknięta, bo nie powiadomiliśmy jej o naszym ślubie. A ponieważ nie mogła na nim być, pragnie wydać dla nas wystawne śniadanie. Czyż to nie miło z jej strony?

- Bardzo! - zgodziła się pani Jewell. - Ona cię chyba bardzo lubi?

List zawierał nie tylko wyrzuty.

- Ach! - Anne uniosła wzrok znad kartki. - Joshua przyjedzie do Bath w przyszłym tygodniu. Jak pisze lady Potford, przykro mu, że nie mógł być na naszym ślubie i że nie widział się z nami później. Lady Potford prosi więc, byśmy wstąpili do Bath przed odjazdem do Walii, tak żeby mogła wydać dla nas małe przyjęcie.

Do Bath nie było zbyt daleko, ale za to wcale nie po drodze. Sydnam chciał jak

najprędzej osiąść z rodziną w Ty Gwyn. Anne zaś w ciąży nie powinna była zbyt wiele podróżować.

Bath było jednak jej domem przez wiele lat, a markiz Hallmere traktował ją niezwykle życzliwie. Bez Hallmere'ów Sydnam nigdy by jej też nie spotkał.

- Chcesz tam pojechać? - spytał.

- Nie wydaje mi się to zbyt rozsądne. Jechać do Bath tylko dlatego, żeby wypić herbatę lub zjeść obiad z Joshua i lady Potford?

- A jednak chcesz się tam udać? - spytał, choć znał odpowiedź.

- Joshua zaprosił mnie i Davida do Penhallow na święta. Oczywiście, to już niemożliwe i David zapewne nieprędko go zobaczy. A jest jego kuzynem. Ja...

- Anne, chcesz tam pojechać?

- Chyba powinniśmy. Masz coś przeciwko temu? Ty Gwyn będzie musiał poczekać.

- W przyszłym tygodniu? - spytał, po czym zwrócił się do pani Jewell.

- Czy możemy liczyć na gościnność kilka dni dłużej, niż się spodziewaliśmy?

- Nawet miesiąc! I tak w połowie następnego tygodnia, kiedy mieli być już w drodze do Walii, Anne i Sydnam znów jechali do Bath. David co prawda zmartwił się rozstaniem z dziadkami, lecz przeważała perspektywa ponownego spotkania z Joshua, a także pana Keeble'a, który zawsze wyciągał dla niego z przepastnych kieszeni jakieś słodycze, gdy nikt tego nie widział.

Anne uroniła parę łez przy pożegnaniu, lecz ojciec zapewnił ją uroczyście, że bez wątplenia wszyscy się niebawem zobaczą. Matka również była tego zdania.

I w ten sposób Anne siedziała w powozie, z dłonią w dłoni Sydnama, wsparta o jego ramię.

Stanowczo to małżeństwo okazało się dla niej błogosławieństwem.

W Bath mieli się zatrzymać u lady Potford. Gdy ich powóz podjechał pod wysoki dom na Great Pulteney Street, drzwi otworzyły się niemal natychmiast i wyjrzał przez nie kamerdyner. A więc Joshua już przyjechał! David oczywiście popędził mu zaraz naprzeciw.

- Nie jesteś ani trochę lżejszy niż latem, chłopcze - uznał markiz Hallmere, podnosząc Davida. - A zatem twoja mama wyszła za mąż, co?

- Wyszła! - krzyknął David tak głośno, jakby się zwracał do kogoś, stojącego o kilkaset metrów dalej. - Za mojego ojczyma! On mnie uczy jazdy na koniu i potrafi nawet przeskoczyć na nim żywopłot, chociaż tego nie widziałem. A stryj Kit powiedział, że go przywiąże do najbliższego słupka i tak zostawi, jeśli kiedykolwiek będzie chciał tak zrobić! Ojczym uczy mnie też malować farbami olejnymi i jest najlepszym z nauczycieli! O wiele lepszym niż pan Upton - dodał niełojalnie. - No i mam teraz mnóstwo kuzynów tam, gdzie mama kiedyś mieszkała. Charles także ma dziewięć lat, ale ja jestem trochę starszy. Czy Daniel i Emily są tutaj?

- Są. Pobiegnij do nich, bo inaczej Daniel gotów się zapłakać na śmierć.

I Joshua obrócił się z uśmiechem ku Sydnamowi, potem zaś uściskał Anne tak mocno, że aż ją to nieco zgorszyło.

Więc Freya z dziećmi też przyjechała do Bath? Lady Potford nie wspomniała o tym w liście.

- Freya i wszyscy inni Bedwynowie wraz z żonami uważali początkowo, że tego lata ich zabiegi matrymonialne spaliły na panewce. Chyba się jednak pomylili! Można sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli znów zechcą zrobić coś podobnego. A wam najwyraźniej małżeństwo służy. Nie wyglądacie na zmartwionych!

Anne wybuchnęła śmiechem. Coś podobnego! Bedwynowie zauważyli ich rosnącą zażyłość i próbowali ją nawet podsycać! Byłaby zażenowana, gdyby o tym wiedziała.

- Istotnie - przyznał Sydnam. - Nie mamy powodów do zmartwień.

- W takim razie powiedz to Freyi i mojej babce, dobrze? Żadna z nich nie była zadowolona z wieści, że wzięliście ślub w sekrecie. Z największą przyjemnością okazałyby ciście królewską wzgardę.

Anne mimo woli posmutniała. W końcu mnóstwo ludzi marzy o wspaniałym weselu w gronie bliskich i przyjaciół, a ona wcale się od nich nie różniła. Po cóż jednak narzekać? W końcu ślubowi asystowały Claudia i Susanna oraz David, a małżeństwo dało jej, jak dotąd, o wiele więcej szczęścia, niż się spodziewała.

No tak, ale Sydnam też nie miał przy sobie żadnego z krewnych.

Dopiero gdy szła po schodach, wsparta na ramieniu Joshuy, zastanowiło ją, od kogo właściwie lady Potford dowiedziała się o jej małżeństwie. No i skąd miała pewność, że list należy wysłać do hrabstwa Gloucester?

Lady Potford oznajmiła, że wynajęła już salę w Upper Assembly Rooms na następny wieczór, gdzie ich ugości - zrobiło się zimno i nie można było urządzić pikniku. Dodała, że muszą się tam stawić jak najlepiej ubrani i oczywiście z dziećmi. Daniel i Emily znajdą się na przyjęciu pod opieką piastunki.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu - powiedziała nazajutrz

Anne do męża, gdy dostrzegła w lustrze gotowalni jego spojrzenie. Sydnam wyszedł właśnie z garderoby już ubrany.

- Och! - Anne okręciła się dokoła na taborecie. - Ależ przystojnie się prezentujesz!

Mąż miał na sobie czarny, dopasowany surdut, jedwabne, kremowe spodnie, haftowaną kamizelkę i śnieżnobiałą koszulę. Wyglądał po prostu wspaniale.

- Ty też.

Anne była ubrana w suknię z różowego muślinu, najpiękniejszą ze wszystkich, które

jej kupił, obszytą marszczoną falbanką, z wysokim stanem, małymi, bufiastymi rękawkami i skromnie wyciętym dekoltem. Pokojówka lady Potford ułożyła jej włosy w wymyślną, ale bardzo twarzową fryzurę.

- Dziękuję ci - powiedziała, wstając sprzed lustra. - Idziemy tylko na herbatkę w wynajętej sali. Co sobie inni o nas pomyślą? Wyglądamy zbyt wytwornie!

Oczywiście, zawsze marzyła o takiej herbatce, a nawet o tańcach. Dobrze też pamiętała, jak bardzo dwa lata temu zazdrościła Frances, kiedy przyjaciółka zaprosiła ją właśnie do Upper Assembly Rooms.

- Ha, cóż - odparł - zapewne wszyscy spojrzą na mnie i z wrzaskiem uciekną, nim zdążą zauważyć całą naszą elegancję.

- Och, Sydnamię! - Jęknęła, lecz mąż tylko się roześmiał, a ona w końcu mu zawtórowała.

- Musimy jakoś przetrwać to przyjęcie, jutro zaś wpadnę na krótko do szkoły. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Dziś rano napisałam do Claudii, że tu jesteśmy. A potem będziemy mogli wreszcie pojechać do domu. Pewnie się bardzo cieszysz?

- A ty? Podał jej ramię.

- Och, ja także. Wprost nie mogę się doczekać! Najpierw jednak należało pójść do Upper Rooms. Anne nie mogła się tego doczekać. Udali się tam powozem lady Potford, Joshua i Freya jechali w następnym, za nimi. A w kolejnym - dzieci z piastunką.

- Ślicznie wyglądasz, moja droga - powiedziała lady Potford, gdy wysiedli na małym dziedzińcu pod Upper Rooms. - Ale też można pomyśleć, że jesteś śmiertelnie przerażona. Nie obawiaj się! Wynajęłam salę wyłącznie dla nas, nie będą cię tam niepokoić żadni ciekawscy. Mamy też salę do tańca. Sądzę, że trochę muzyki nie zaszkodzi przy jedzeniu, a dzieci będą sobie mogły tam pobiegać, nie przeszkadzając nam w niczym..,

Co takiego? Anne wymieniła pełne zaskoczenia spojrzenie z Sydnmem. Cała sala dla pięciorga osób i trojga dzieci z nianią? I jeszcze sala do tańca? I muzyka!

- Jak się domyślam, madame - stwierdził Sydnam - urządziła pani jednak dla nas to małe przyjęcie. Jesteśmy zachwyceni. Prawda, Anne?

- I oniemiała. - Anne spojrzała na Joshuę, który właśnie pomagał wysiąść Freyi z powozu. - Czy wiedziałaś o tym?

- O czym? - spytał z najniewinniejszą miną na świecie.

- O przyjęciu dla pięciorga dorosłych ludzi i trojga dzieci w dwóch wielkich salach.

- Ach, o tym? Owszem. Moja babka jest co nieco ekscentryczną osobą. Nie zorientowałaś się jeszcze?

Po wejściu znaleźli się w obszernym westybulu, zupełnie pustym i cichym. Joshua zatrzymał się przed drzwiami, które musiały prowadzić do sali bankietowej. Stał przy nich służący w pięknej liberii.

- Babciu, Freyo, proszę tędy - Joshua wziął obydwie kobiety pod rękę. - Sydnamie, mój drogi, podaj ramię Anne i wejdź za nami.

Drzwi się otworzyły.

W pierwszej chwili Anne poczuła się mocno zakłopotana. Najwyraźniej zaszła jakaś niesłychana pomyłka w planach lady Potford, najpewniej co do daty. Salę bankietową, wielką i z wysokim sufitem, wypełniał tłum gości, którzy wstali, patrząc na otwarte drzwi.

A potem na Sydnama i na nią posypał się deszcz płatków różanych, nienaturalny spokój zastąpiła zaś radosna wrzawa. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, zabrzmiały wesołe śmiechy, skrzypiały krzesła przesuwane gwałtownie po gładkiej drewnianej posadzce.

- Cóż to takiego? - Sydnam przycisnął jej rękę do swego boku, a potem nagle zaczął się śmiać.

- Niespodzianka! - Alleyne znalazł się nagle tuż przy nich. - Szkoda, Sydnamie, że ubrałeś się na czarno.

- Ale za to płatki różane pięknie wyglądają na głowie Anne - stwierdził hrabia Rosthorn.

- Och! - wyrwało się Anne. - Och! W głębi sali dostrzegła matkę i ojca. Ojciec wyglądał srogo - jak zwykle - a matka była rozpromieniona, lecz trzymała chusteczkę przy oczach. Sarah, Susan, Matthew i Henry stali po bokach.

Potem zaś ujrzała Frances, hrabiego Edgecombe i pannę Thompson, a koło nich Christine, Judith, rodziców Sydnama z Kitem i Lauren, a wreszcie Susannę, Claudię i Aidana wraz z księciem Bewcastle.

Wszystko to spostrzegła w kilka sekund. W sali było też jednak wielu innych gości.

Księżna Bewcastle klasnęła w ręce i wszyscy umilkli. Anne i Sydnam wciąż stali w progu, obsypani płatkami róż.

- Moi drodzy państwo Butler - zaczęła mówić żywo i z ciepłym uśmiechem. - Bardzo sprytny był ten wasz cichy ślub sprzed kilku tygodni, lecz teraz wasi bliscy i przyjaciele was dopadli! Witajcie na przyjęciu weselnym!

Gdy Anne wspominała później to, co okazało się jednym z najszcześniejszych dni w jej życiu, z trudem mogła przypomnieć sobie dokładnie, co potem nastąpiło. Zwłaszcza co wtedy jadła. Musiała jednak coś jeść, skoro nic już nie mogła przełknąć przez resztę dnia.

Pamiętała za to wrzawę, śmiechy i cudowne wprost uczucie, że znalazła się wraz z Sydnamem w centrum życzliwego zainteresowania. Ściskano ją, całowano i rozmawiano z nią wesoło niemal bez przerwy. Kilka rzeczy mimo to zapamiętała wyraźnie.

Joshua zbliżył się do niej, prowadząc pod ramię ładną, uśmiechniętą młodą kobietę,

która machała ku niej zawzięcie ręką. Poznała ją. Prue Moore, teraz już Prue Turner. Kobieta

objęła dawną guwernantkę w uścisku.

- Panno Jewell, panno Jewell - wołała infantylnym głosem - och, jak ja panią strasznie kocham! A teraz jest pani panią Butler! Ogromnie go lubię, nawet z tą czarną opaską na oku! I jestem ciotką Davida! Joshua tak mówi, Constance też i ja się bardzo z tego cieszę.

A pani?

Potem zaś uściskała Sydnama z takim samym entuzjazmem.

Anne zapamiętała również, jak objęła ją Constance - niegdyś Constance Moore.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że obydwie musiały tu przybyć aż z dalekiej Kornwalii.

Pamiętała także Frances, która rozplakała się ze wzruszenia. Pamiętała pełen szczęścia uśmiech Lauren, a także przypominała sobie młodzieńca, którego przedstawiła jej bratowa - wicehrabiego Whitleafa, kuzyna Lauren, o takich samych jak u niej fiołkowych oczach.

Kuzyn przyjechał do niej z wizytą w tydzień po odjeździe Anne i Sydnama.

Zapadły jej w pamięć słowa Claudii.

- Anne - powiedziała surowo przyjaciółka - chyba wiesz, jak cię kocham. I tylko dlatego zgodziłam się przebywać w jednym pomieszczeniu z tą kobietą i z tym mężczyzną. Muszę cię jednak przeprosić za to, co mówiłam o księżnej Bewcastle i o markizie Hallmere. Zrobiła się w końcu całkiem sympatyczna, może pod wpływem męża? Ale musiało mu to zająć dużo czasu!

Ojciec śmiał się, wyjaśniając jej, że dostał list od lady Potford tego samego dnia, co ona. Zachował to jednak w sekrecie i uważał za wspaniały żart.

Matka oczywiście płakała ze szczęścia. Sarah również.

Kuzyni Sydnama także zjawili się w Bath. Przedstawiono ich Anne, choć następnego dnia mąż musiał jej przypominać wszystkie nazwiska.

Przez pierwszych kilka pełnych chaosu minut dzieci plątały się wszystkim pod

nogami, póki ktoś wreszcie nie kazał im przenieść się do sali balowej. Podejrzewała, że mógł to zrobić książę Bewcastle.

Najbardziej jednak zapadł jej w pamięć widok rozradowanego, uszczęśliwionego Sydnama i, oczywiście, zaimprovizowana mowa dziękczynna, wygłoszona przez niego przed nieoczekiwanym audytorium.

- Mogą się państwo spodziewać, że Anne i ja będziemy sobie przez całą zimę łamać głowy, jak się na was odegrać!

Dźwięki muzyki dolatywały z sali balowej przez cały czas. Nikt nie zwracał na to większej uwagi, lecz Joshua, który siedział tuż przy niej, coś sobie przypominał.

- Właśnie tutaj po raz pierwszy tańczyliśmy walca, Freyo, pamiętasz to?

- Jakże mogłabym zapomnieć? Przecież właśnie podczas tego tańca błagałeś mnie, żebym się z tobą na niby zaręczyła, a potem, nim się obejrzałam, byliśmy już małżeństwem.

Tyle że wcale nie na niby!

- My również tu tańczyliśmy, Frances - powiedział hrabia Edgecombe - choć nie po raz pierwszy.

- Po raz pierwszy - odparła Frances - robiliśmy to w zimnej, ciemnej i pustej sali balowej, a w dodatku bez żadnej muzyki.

- Doprawdy, co za wstyd - uznał Kit - że mamy dla siebie orkiestrę i jedną z najświetniejszych sal balowych w tym kraju, a nie tańczymy! Każę muzykom zagrać walca.

Nie zapominajmy, że to przyjęcie weselne! Panna młoda musi zatańczyć pierwsza. Czy mogę cię prosić do walca, Anne?

Spojrzał przy tym na Sydnama. Sydnam wstał.

- Dziękuję ci, Kit - odparł jej mąż zdecydowanym tonem - ale jeśli nie istnieje jeszcze zwyczaj, że to pan młody tańczy pierwszy taniec z panną młodą, to stanowczo należy go

wprowadzić. Anne, czy zechcesz tańczyć walca?

Przez moment czuła strach. Wszyscy zamilkli. Niewątpliwie będą też na nich patrzyli.

Sama rzadko tańczyła, odkąd skończyła szkołę, a Sydnam...

Ale Sydnam mógł zrobić wszystko, co chciał, jeżeli się tylko uparł.

- Tak - odpowiedziała - chcę.

I chyba się jej nie zdawało, że zebrani koło nich goście westchnęli wtedy wszyscy naraz.

Sydnam podał jej ramię i poprowadził ją do sali balowej. Niemal wszyscy poszli w ślad za nimi i stanęli pod ścianami, podczas gdy Kit zamienił kilka słów z pierwszym skrzypkiem. Dzieciom kazano się wycofać. Większość z nich pobiegła zaraz do sali bankietowej.

A wtedy Anne i Sydnam - całe trzy tygodnie po swoim ślubie - zatańczyli przed gośćmi weselnymi. Sydnam ujął jej prawą dłoń w swoją lewą, a ona położyła mu lewą rękę na ramieniu. Kiedy muzyka zaczęła grać, ruszyli do tańca trochę może za wolno i niezbyt zręcznie, póki Sydnam nie uśmiechnął się do niej, kładąc jej rękę na swoim sercu. Był to znak, by objęła go za szyję i znalazła się tym samym bliżej niego.

Od tej chwili wirowali zgodnie w takt muzyki, póki inne pary nie dołączyły do nich -

Joshua z Freyą, Kit z Lauren, Frances z hrabią Edgecombe, Christine z księciem Bewcastle, reszta Bedwynów z żonami, Sarah z Henrym, Susanna z wicehrabią Whitleafem i Matthew z Susan.

- Czy jesteś szczęśliwa? - spytał Sydnam, szepcząc jej to wprost do ucha.

- Och, tak. A ty?

- Bardziej niż mógłbym to wysłować. Tak. Akurat tę część wesela Anne mogła sobie przypomnieć bez żadnych trudności.

I chciała ją pamiętać przez resztę życia.

Anne i Sydnam przybyli wraz z Davidem do Ty Gwyn w chłodne listopadowe popołudnie. Mimo chłodu świeciło słońce i Sydnam opuścił w dół okienko powozu, gdy woźnica zatrzymał się, by otworzyć bramę parkową.

- Przejdziemy resztę drogi pieszo.

W kilka minut później stali i patrzyli, jak powóz zjeżdża w dół po stoku, a potem wspina się na przeciwległe zbocze.

- To jest Ty Gwyn - wyjaśnił Sydnam Davidowi, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. -

Tam stoi nasz dom.

- Czy te owce też są nasze? Mogę do nich podejść?

- Oczywiście. Może nawet spróbujesz złapać którąś z nich? Są jednak bardzo płochliwe.

Chłopiec popędził przez łąkę z radością. Owce pospiesznie ustępowały mu z drogi.

- No i co, Anne? - Sydnam zwrócił się do żony.

- Wszystko porządku. - Przez chwilę patrzyła na widniejący w oddali budynek. -

Wiesz, chyba przejdę przez przełaz. Muszę sobie zrekompensować tamtą próbę. Okazałam się wówczas taką niezdarą.

- Powinienem obejrzeć ten dolny stopień. - Westchnął. Patrzył, jak wspina się na schodek, siada na przełazie i przerzuca nogi na drugą stronę, w ciepłym, rdzawym płaszczu, z policzkami zaróżowionymi od chłodu. Kilka pasemek włosów wymknęło się jej ze starannie upiętej fryzury i powiewało na wietrze. Jego przepiękna Anne. Podszedł do niej.

- Proszę pozwolić sobie pomóc, madame. - Wyciągnął rękę.

- Dziękuję. - Przyjęła ją, a potem powoli, majestatycznie zeszła na ziemię. -

Widziałeś? Teraz wyglądałam całkiem jak królowa!

Stali twarzą w twarz, ze złączonymi rękami i patrzyli sobie w oczy przez długą chwilę.

Lecz potem Anne przestała się uśmiechać.

- Sydnamie... Wiem, że... że nie jestem typem kobiety, którą wybrałbyś sobie na żonę...

- Naprawdę? A czy ja jestem typem mężczyzny, którego ty wybrałabyś sobie na męża?

- Byliśmy samotni, przyszliśmy tu pewnego pięknego dnia i...

- Tak, to był piękny dzień.

Przechyliła głowę na bok i zmarszczyła lekko czoło.

- Dlaczego nie pozwalasz mi dokończyć tego, co chcę powiedzieć?

- Bo wciąż nie jesteś pewna, czy w głębi duszy nie żałuję, że się z tobą ożeniłem. I wciąż nie mam pewności, czy ty nie żałujesz, że za mnie wyszłaś. Chyba powinienem był ci coś powiedzieć już dawno temu, ale początkowo nie chciałem, żebyś mi współczuła albo uważała się za zobowiązaną do czegokolwiek. Później nabrałem przekonania, że nie trzeba już nic mówić. Wiesz przecież, że mężczyznom trudno czasem wyrazić uczucia słowami.

Widzisz, ja cię kocham. I myślę, że kochałem cię zawsze. I wiem, że zawsze będę cię kochał.

- Sydnamie... - Łzy nabiegły jej do oczu, a czubek nosa, jak się obawiała, poczerwieniał. - Och, ja cię tak strasznie, tak mocno kocham.

Sydnam potarł jej nos swoim, a później ją pocałował. Objęła go, oddając pocałunek.

- Zawsze mnie kochałeś? - Odchyliła głowę i się roześmiała. - Od samego początku?

- Widziałem cię wtedy w nocy, w moich snach, wyłoniłaś się z mroku, a potem odwróciłaś się i uciekłaś.

- Och, Sydnamie! - Objęła go za szyję jeszcze mocniej. - Och, mój kochany.

- Mam w kieszeni coś, co od dawna tam nosiłem. Może to cię przekona w sposób

ostateczny.

Patrzyła ze zdumieniem, jak Sydnam wyciąga z kieszeni płaszcz chustkę i rozchyła kciukiem jej fałdy. W środku tkwiła muszelka. Dotknęła jej palcem.

- Zachowałeś ją? Nosłeś ją ze sobą przez cały czas?

- To niemądre, prawda? Gdy chował chustkę z powrotem do kieszeni, usłyszeli głośny krzyk.

- Mamo, spójrz! - wołał ze środka łąki David. - Patrz, tato! Złapałem owcę!

Kiedy spojrzeli ku niemu, zirytowane zwierzę wyrwało się chłopcu z rąk i czym prędzej pobiegło przed siebie, żeby szczypać trawę z koniczyną. David ze śmiechem rzucił się w pogoń.

Sydnam objął Anne w pasie i przygarnął do siebie. Powiódł dłonią po jej brzuchu i wsparł głowę w zagłębieniu jej szyi.

- Nazwał cię tatą - powiedziała półgłosem.

- Słyszałem. Uniósł głowę i objął spojrzeniem wszystko - dom, stajnie, ogród, łąkę, drzewa, chłopca ścigającego owcę, kobietę obok niego. Poczł pod palcami lekką wypukłość brzucha Anne.

- Czy to nie głupie, że stoimy tutaj na zimnie, skoro czeka na nas ciepły dom?

- Całkiem głupie. - Pocałowała go. - Zabierz mnie tam.

- Przecież jesteśmy w domu - odparł, rozluźniając uścisk, żeby ująć ją za rękę. - I zawsze będziemy. A kiedy już do niego wejdziemy, przekonamy się, czy jadalnia ma już kolor pierwiosnków.

- I czy hol nie wygląda weselej bez tego brązu. Niemal zbiegli ze stoku w stronę Ty Gwyn. Ze śmiechem.

Trzymając się za ręce.